- **Przy otwartej kurtynie**
- **Miłość, namiętność i reszta**
- **Śmierć w gwiazdach**
- **Apokalipsa wg. św. Krzysztofa**
- **Jak rozwiązać rozwiązane?**
- **Rozmowa z matką Violetty**

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 41 (1332) ROK XXVI 8 PAŹDZIERNIKA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Foto: Mirosław Zajdler

„Jestem niewinny..."

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

Piotrkowska afera mieszkaniowa, bo tak się o niej mówiło. przyciągała uwagę opinii publicznej od października ubiegłego roku, kiedy to doszło do pierwszych aresztowań. Do lutego br. opowiadano sobie, że *„ten B. to główny aferzysta, ale jego nie tięgną. bo ma plecy"*. W trzeciej dekadzie lutego br. Stefan B. został zatrzymany do dyspozycji organów ścigania.

1 sierpnia, w upalny, letni dzień przed Sądem Wojewódzkim w Piotrkowie, w sali, którą od z górą lat siedemdziesięciu zwą „salą Macocha" (pisałem o tym, jak i o początkach procesu w „Odgłosach" z 27 sierpnia — *„To będzie kosztować..."*) rozpoczął się proces Stefana B. i 19 innych oskarżonych — pracowników spółdzielczości mieszkaniowej, wydziału lokalowego Urzędu Miejskiego oraz pośredników, powołujących się na „chody" i je, jak dowiódł proces zakończony 23 września, wykorzystujących.

***„Z dużej chmury mały deszcz"* — powiada dziś wielu, myśląc o łagodnych, zdaniem ich, wyrokach sądu. Ostatecznie (w chwili, kiedy to piszę, wyroki nie są prawomocne) odbywać karę więzienia przyszło tylko dwom skazanym: Stefanowi B., byłemu prezesowi Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych i Andrzejowi Z., pełnomocnikowi Biura Handlu Zagranicznego „Locum". Pozostali, głównie kobiety, choć w trzech przypadkach wymierzono im kary wyższe niż głównemu oskarżonemu (po 3 lata pozbawienia wolności), opuściły salę rozpraw w dniu ogłoszenia wyroków wolne, gdyż sąd wziął pod uwagę sytuacje rodzinne, więc względy humanitarne, stosując uchylenie aresztu wobec matek mających małe dzieci. Wcześniej także, z wolnej stopy odpowiadały inne oskarżone, młode kobiety, które skazano na kary od 1 roku i 6 miesięcy do 6 miesięcy więzienia w zawieszeniu i odpowiednio wysokie grzywny.**

WĄTPLIWOŚCI

Dlaczego wyrok, przede wszystkim wobec byłego prezesa WZSM — Stefana B., rozmija się z odczuciem społecznym? Skazano go na 2 lata i 10 miesięcy pozbawienia wolności, grzywnę w wysokości 300 tys. zł. 5 lat pozbawienia praw publicznych i zakaz wykonywania funkcji kierowniczych na 5 lat, podczas kiedy prokurator do-

7

Na Kreszczatiku dojrzewają kasztany

KORESPONDENCJA WŁASNA Z KIJOWA

Od kilkudziesięciu lat slawiści, czyli uczeni zajmujący się językiem, literaturą, kulturą i historią krajów słowiańskich, ich wzajemnymi związkami i zależnościami, w pięcioletnich odstępach spotykają się na kongresach, gdzie prezentują wyniki swoich badań. I tak po Pradze w roku 1968, po Warszawie w roku 1973, po Zagrzebiu w roku 1978 — żeby ograniczyć się do historii tych zjazdów w ostatnich latach — Międzynarodowy Komitet Slawistów postanowił, korzystając z zaproszenia władz Związku Radzieckiego i Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, swój kolejny IX kongres odbyć w Kijowie.

W ciągu 9 dni — od 6 do 14 września — w pięciu równoległe obradujących sekcjach (językoznawczej, literaturoznawczej, literacko-lingwistycznej, folklorystycznej i historycznej) wygłoszono około 600 referatów, nie licząc już setek wypowiedzi w dyskusjach i w posiedzeniach tzw. okrągłego stołu. Kijowski zjazd zgromadził ponad dwa tysiące slawistów z przeszło dwudziestu krajów: od Stanów Zjednoczonych po Japonię, od Australii i Izraela do Skandynawii. Najliczniej — co zrozumiałe — reprezentowane były kraje słowiańskie.

Pozostawiając na boku szczegółowy opis problematyki naukowej kongresu — zainteresowani znajdą teksty referatów i sprawozdania w specjalistycznych wydawnictwach i czasopismach — powiem tylko, że obrady objęły swym zasięgiem prawdziwie imponujące bogactwo tematów: od historii języka prasłowiańskiego, językowej sytuacji w Rusi Kijowskiej, badań nad fonologią, gramatyką i leksyką współczesnych języków słowiańskich, od zagadnień znaczenia twórczości Turgieniewa w światowej kulturze, tradycji i rozwoju realizmu socjalistycznego, do porównawczych problemów literatur słowiańskich, teorii i praktyki przekładu, folklorystyki i kultury materialnej. W sumie zatem wyniki badań nad kulturą i literaturą jaka rozwijała się w ciągu — z grubsza licząc — dziesięciu wieków na znacznych obszarach Europy.

Miejsce zjazdu, a więc Kijów, kolebka wschodniej Słowiańszczyzny, miasto, które w ubiegłym roku obcho-

12

Polska gwiazda w Ameryce...

Z IRENĄ JAROCKĄ rozmawia BOHDAN GADOMSKI

Nasze gwiazdy piosenki rzadziej niż dawniej wyjeżdżają na zachodnie wojaże. Do Stanów Zjednoczonych nieliczni, wśród których znalazła się ostatnio jedna z najpopularniejszych polskich piosenkarek — IRENA JAROCKA.

29 czerwca br. Irena Jarocka szczęśliwie wylądowała na warszawskim lotnisku, nie zdążyła na FPP w Opolu, gdzie zapowiadana była premiera jej nowego programu estradowego, nie pojawiła się na święcie Czytelników „Głosu Robotniczego", ale za to rozmawia z Czytelnikami „Odgłosów", którym ujawnia rąbka kulis amerykańskich występów polskich gwiazd. Ciekawy jestem, czy nasze (Wasze) wyobrażenia na ten temat pokrywają się z zastaną przez polską gwiazdę piosenki — rzeczywistością?

— Witam i widzę panią zupełnie odmienioną. Szkoda, że Czytelnicy „Odgłosów" nie mogą obejrzeć na żywo wizerunku Ireny Jarockiej — 83. Opiszmy więc zasadnicze zmiany w wyglądzie gwiazdy...

— Włosy skręciłam w drobne pukle, przez co nie mam kłopotów z fryzurą, która jest wciąż w stałej gotowości. Psychicznie towarzyszy mi duży luz, charakterystyczny dla Amerykanów. Jestem młodsza o 11 miesięcy, bo to wiek mojej córki Moniki. Odkąd pojawiło się dziecko, mój czas stanął w miejscu. Moda w Ameryce? Super-mini, podkoszulki baweniane, tenisówki. Szał na modę chińską, tj. wielką prostotę w kroju. Sekret uroku tych kreacji leży w materiałach, których u nas, niestety, nie ma. Panuje moda na srebrne dodatki, kolor czerń i biel, buty wiązane w kostkach i na płaskim obcasie. No i oczywiście gimnastyka — aerobic, która zawładnęła całą Ameryką, weszła do mody, tańca, jest połączeniem elementów gimnastycznych z tańcem robotów. Polega głównie na pracy stawami, kocich ruchach, w rytmie szybkiej muzyki mechanicznej. Na ulicach widzi się tańczących za drobną opłatą Murzynów. Nareszcie coś nowego, innego, a więc i inne stroje.

— Ameryka jakoś szczególnie dobrze oddziaływuje na polskie piosenkarki, które powracają stamtąd odmienione prawie nie do poznania. Pani też tak to odczuwa?

— Czasami trzeba wyjechać, znaleźć się w innej atmosferze, w nowym kraju, w nowych zwyczajach. Tylko, że to smutne, gdy często więcej się mówi o wyglądzie piosenkarek, a mniej o tym jak śpiewają.

— Może na to nie zasługują? Kiedy była pani po raz pierw-

10

W najbliższych numerach:

- NA CAŁY ZEGAR — O SYTUACJI CHŁOPO-ROBOTNIKÓW
- DYSKUSJA O MIEJSCU LITERATURY I POWINNOŚCIACH PISARZA
- RELACJA Z WIZYTY W KOREI
- O WAKACYJNYCH TOURNEE ŁÓDZKIEJ FILHARMONII
- LISTY ŻOŁNIERZY

Przegląd prasy

Żadne zjawisko, wydarzenie, żaden proces, jaki zachodzi w naszym życiu społecznym, politycznym czy gospodarczym nie może być wolny od oceny i analizy. Gdybyśmy bowiem zakładali, że takimi czy innymi zjawiskami czy procesami nie zajmujemy się, to otrzymany obraz rzeczywistości byłby niepełny i przez to fałszywy. Również i nasze oddziaływanie byłoby niepełne, a przez to mogłoby być nieskuteczne, błędne, a niekiedy wręcz szkodliwe. Tak więc politycy, publicyści, działacze społeczni czy gospodarczy, socjolodzy powinni interesować się wszystkim, co dzieje się w naszej rzeczywistości i zjawiska, procesy, wydarzenia poddawać analizie i ocenie. Wydaje się, że to, co tu napisałem nie ulega wątpliwości, jest oczywiste, a przez to aż banalne. Tymczasem wcale tak nie jest.

Jeśli bowiem wszystko powinno podlegać ocenie, to również takiej ocenie powinna podlegać pozareligijna działalność Kościoła katolickiego. Kościół katolicki we współczesnej Polsce ma znaczącą pozycję i zrozumiałe, że dla oceny sytuacji społeczno-politycznej w kraju nie można unikać oceny działalności Kościoła. Aliści, jeśli tylko taką ocenę podejmuje się publicznie, i to nie daj Boże z pozycji marksistowskich, rozlega się natychmiast krzyk, że władza znów niszczy w Polsce religię i rozpoczyna wojnę z Kościołem. Ulegania tego rodzaju poglądom może doprowadzić do sytuacji, w której Kościół znajdzie się poza zasięgiem jakichkolwiek analiz i ocen, a to byłoby bezwzględnie szkodliwe i błędne. I to nie tylko ze względu na bieżące potrzeby polityczne i społeczne, ale również ze względu na to, że fenomen polskiego katolicyzmu nie został do tej pory dogłębnie zanalizowany, zbadany i wyjaśniony. Wprawdzie różne próby były czynione i — mam nadzieję — nadal będą podejmowane.

Taką próbę

ZASTANOWIENIA SIĘ NAD SKUTKAMI KULTU MARYJNEGO W POLSCE

podjął na łamach „ARGUMENTÓW" (nr 40 z 2 października 1983 r.) Wiesław Rogowski w artykule *„Polityczna Madonna?"*. Pisze on na wstępie:

„Musimy jednakże powiedzieć, że kult ten, jeśli byłby masowy doprowadziłby do zaniku myślenia krytycznego, skoro istotą tej wizji jest opieka, ucieczka przed światem i miłość tym bardziej przecież zawsze ślepa i bezkrytyczna, im silniejsza... Postawa dziecka oddającego się całkowicie w opiekę i czekającego na opiekuńcze decyzje, jest i byłaby swoistym wyrazem bierności w odniesieniu do poszukiwanych celów życia — gdyż te wskazuje Matka — i własnej aktywności, nie nakazanej przez Matkę. Idzie tu zatem o podporządkowanie w aurze miłości i opieki, lecz w istocie w aurze bezwzględnego posłuszeństwa Kościołowi, hierarchii i jej celom — państwa polskiego".

Wiesław Rogowski zastrzega się, że nie interesuje go *„kult maryjny jako fenomen wiary, uczuć, swoistych tęsknot"*, ale tylko *„polityczna otoczka tego kultu w Polsce"*. Wszakże kult maryjny w polskim katolicyzmie zajmuje główne miejsce i trzeba go rozpatrywać na tle tego wszystkiego, co składa się na *„fenomen polskiego katolicyzmu"*.

Ma przecież bezwzględną rację Wiesław Rogowski, kiedy pisze, że *„Królowa Polski istnieje wyłącznie w polskich granicach uczucia i pomawania, nigdzie indziej"*. Z tego też powodu próba upowszechnienia tego kultu w innych krajach i na innych kontynentach musi być skazana na niepowodzenie. A to po prostu dlatego, że *„te najgłębsze swoistości polskiej tradycji maryjnej, ów wiernopoddańczy synowski stosunek cichej miłości, całkowitego posłuszeństwa i pełnej wierności myślowej, aż konserwatywnej — byłby chyba nie do zastosowania i nie do powtórzenia w świecie tak odmiennych nastawień, cywilizowanym inaczej i inaczej kształtowanym przez tradycję"*.

Jest to wszakże stwierdzenie. Prawdziwe. Warto byłoby się natomiast pokusić o dogłębne zbadanie źródeł społecznych i politycznych, które kult ten w Polsce ukształtowały i uczyniły go takim, jakim jest obecnie. Bowiem nie bez racji Wiesław Rogowski pisze:

„Miłość wszakże nie musi akceptować tego co jest, może być również siłą napędową poszukiwań i dążeń ulepszających świat. Nie jest zatem konieczne, by kult maryjny był przepaską na oczach, może być swoistym światłem i wskazówką dla wierzących: idź i działaj w miłości, dla innych".

Ale jest inaczej.

„Bierność, oddanie, bezgraniczna ufność i wiara w najserdeczniejszą opiekę Matki Boskiej — pisze dalej W. Rogowski — *to motywy, które mogą być i są politycznie wykorzystywane przez siły zachowawcze. Świat piękna moralnego i miłości duchowej, świat religijnego piękna mistycznego brukany był i jest bez wstydu dla celów ściśle politycznych, zachowawczych, antyrewolucyjnych i sprzecznych z realnymi uwarunkowaniami"*.

Wiesław Rogowski dotknął jednego problemu. Nie przeczę, że istotnego, ale właściwie tylko zasygnalizował zagadnienie. Być może wywoła dyskusję, być może tylko falę oburzenia, co dla nas jest bardzo charakterystyczne i powstaje na zasadzie, aby nie szargać świętości. A rzecz przecież nie jest wcale bagatelna. Katolicyzm jest częścią składową naszej politycznej i społecznej rzeczywistości, dlatego nie jest bez znaczenia poznanie go i ocenienie. Musimy wiedzieć, jakie rodzi on postawy, jakie preferuje tradycje, jak wpływa na współczesność i jak będzie wpływał na kształtowanie przyszłości? To nie są pytania bez znaczenia.

Próbę odpowiedzi na te pytania dał Zenon Rudny w „POLITYCE" (nr 39 z 24 września 1983 r. w artykule pod tytułem:

„CESARZOWI — CO CESARSKIE, BOGU — CO BOSKIE"

Z tego artykułu chciałbym przytoczyć trzy bardzo trafne stwierdzenia. Pisze więc na przykład Zenon Rudny, że *„moralność pracownicza nigdy nie należała do priorytetowych zadań Kościoła rzymskokatolickiego. Gdyby tak było, pomyślność ekonomiczna byłaby udziałem większej ilości krajów katolickich"*. Trudno zaprzeczyć temu stwierdzeniu, choć zapewne mało kto się do tej pory nad tym zastanawiał. U nas myślenie historyczne zastępują na ogół historyczne mity. A rzecz jest warta głębszej, opartej na historycznych i współczesnych faktach analizy.

Zenon Rudny wysuwa też sugestię ewolucji, jaka musi się dokonać w polskim katolicyzmie. Pisze on:

„Obrzędowy sposób religijności, jakkolwiek by się wydawał integrujący, prowadzi donikąd. Jest zdumiewające, że społeczeństwo polskie tak zapatrzone na Zachód oraz jego wzorce cywilizacyjne i kulturowe uprawia u siebie tak anachroniczną formę religijności. Model ten jest na dłuższą metę nie do utrzymania. Kościół, który myśli kategoriami wiecznymi, wcześniej czy później dokona tu zmian. Przed II Soborem wiele spraw wydawało się również niemożliwymi".

Model ten charakteryzuje się następująco: *„świecki model życia i świeckie motywacje + uczestnictwo w obrzędach"*.

Zenon Rudny powiada jeszcze, że *„jest ważne, aby charakterystyka religijności dokonywana przez partię była właściwa. Błędna diagnoza prowadzi do mylnych wniosków"*. W pełni się z tym zgadzam jak również i z tym, że partia *„musi być laicka"*.

Nasze czasy, tak pełne sprzeczności i paradoksów, tak trudne i w gruncie rzeczy niebezpieczne, będą w przyszłości — i to wcale nie w takiej dalekiej — przedmiotem zainteresowań historyków. A historyk wiadomo, aby wyrobił sobie pełny pogląd o przeszłości musi mieć maksymalnie dużo dokumentów, źródeł. A my nie dbamy o dokumenty, nie dbamy o to wcale,

ABY POZOSTAŁ PO NAS ŚLAD

aby nasi potomni mogli sobie wyrobić o nas właściwe zdanie. Można nie dbać zupełnie o przyszłość, niech się martwią o to nasze wnuki, ale nie można lekceważyć własnej kultury, nie można w sposób beztroski zrywać ciągłości między tym, co było i tym, co będzie. Na ten trudny a niedoceniany problem zwraca uwagę Ryszard Wójcik w „POLITYCE" (nr 40 z 1 października 1983 r.) w artykule pt. *„Utrwalić ślad"*. Uważa on, że cała nasza archiwistyka nastawiona jest wyłącznie na przechowywanie, chronienie i utrwalanie dokumentów pisanych, natomiast zupełnie nie interesuje się dokumentem fotograficznym lub fonograficznym.

Moim zdaniem Ryszard Wójcik przesadza z tą troską o dokumenty pisane. Wyobrażam sobie wściekłość naszych przyszłych badaczy, to znaczy tych, którzy za sto i więcej lat będą się interesowali drugą połową XX wieku i nie będą mogli pojąć naszej lekkomyślności, jeśli chodzi o traktowanie dokumentów epoki. Ale istotnie wobec stanu archiwów foto- i fonograficznych jest to bardzo dobrze.

Nie ma bowiem zapisu foto- i fonograficznego wielu wybitnych Polaków, ludzi nauki, działaczy kultury, pisarzy, polityków, twórców różnych dziedzin i tak dalej. Jeśli nie uczestniczyli akurat w jakichś wydarzeniach, nie byli na trybunie, nie przemawiali, nie witali lub żegnali, to być może ich obraz zaginął zupełnie, lub pozostał tylko w rodzinnych archiwach, a te bywają różne i różny spotyka je los. Poza tym telewizja, która ma najprostszy — bo magnetowidowy — sposób rejestrowania, cierpi na brak taśmy i... wiele materiału o ogromnej wartości archiwalnej kasuje. I tak na przykład *„podobno w krakowskim ośrodku Tv mają stary videozapis jakiejś dyskusji studyjnej, w której przez półtorej minuty słychać i widać mówiącego Adama Ważyka. A jeszcze niedawno było tych videokaset „aż" pięć..."*. Kiedy wybitny człowiek — taka była przecież praktyka — podpadał urzędnikom z różnych względów i był „trefny", to potomni zupełnie nie mają już na co liczyć. Ani go obejrzą, ani usłyszą.

Człowiek zorientowany w sytuacji powie zapewne: no, a Archiwum Dokumentacji Mechanicznej?!?

Zdaniem Ryszarda Wójcika — a jest on dobrze zorientowany — spełnia ono *„dość sprawnie zadanie gromadzenia i zabezpieczania istniejących materiałów wytworzonych techniką fotofonograficzną"*, ale to nie jest wystarczające. Ono powinno samo tworzyć takie materiały wedle własnego planu. Apeluje też o nadanie uprawnień ADM do rejestracji.

„Gdyby ADM posiadało — pisze R. Wójcik — *z mocy ustawy sejmowej, odpowiednie uprawnienia do rejestracji materiałów wedle programu „zleconego" przez organizacje polityczne, związki twórcze itd. — wówczas postulat naczelny niniejszego apelu byłby spełniony: mielibyśmy wreszcie w Polsce Muzeum Słowa czy — jak to nazwiemy? — Fono-Filmo-Video-Tekę?"*.

A zarówno zleceniodawców — organizacji, stowarzyszeń, muzeów — jest sporo, jak również wykonawców, że wymienię tylko radio i telewizję. Myślmy więc również o przyszłości, nawet teraz, kiedy gnębi nas kryzys. A może nawet zwłaszcza teraz!

Tak się złożyło, że w tym samym numerze „Polityki" znajduje się

PRZYPOMNIENIE WIKTORA MARKIEWKI

pióra Andrzeja Koniecznego w artykule pt. *„Człowiek z węgla"* Kim był Wiktor Markiewka? Przecież *„to było tak dawno, kto by tam jeszcze pamiętał"*. A pamiętają. Ale nie władze Świętochłowic, nie w kopalni „Polska", ale na ulicy Bochynka (dawniej Ratuszowa), gdzie 10-letni chłopiec powiada, że *„tu każdy zna pana Markiewkę"*.

Wiktor Markiewka był przodownikiem pracy, inicjatorem długofalowego współzawodnictwa pracy, posłem na Sejm PRL, posiadaczem w 1952 roku jednej z trzech „If" (typ samochodu), jakie wówczas nadeszły z NRD do Polski. Sympatią darzył go Bolesław Bierut. Ale Wiktor Markiewka miał niewyparzony język i był — jakbyśmy to dziś powiedzieli — człowiekiem kontrowersyjnym i konfliktowym. Mimo wielu honorów nie miał lekkiego życia. Ówczesny I sekretarz KW PZPR w Katowicach często mówił niechętnym i zawistnym: — *„O co wam chodzi? Robi swoje w kopalni, posłuje jak należy? Zostawcie go w ęc w spokoju..."*.

„Nie zostawili — pisze A. Konieczny — *jak tylko skończyła się era przodowników pracy, wygasła kadencja poselska i zbliżał się wiek emerytalny. Inna rzecz, że pomógł bardzo swym adwersarzom, którzy mieli wreszcie okazję odegrać się. Zamknął się w sobie unikając ludzi i... zebrań. Za brak aktywności skreślony został z partii"*.

Aleksander Scibor-Rylski, który swego czasu poświęcił mu książkę „Węgiel", teraz wykrzyknął: — *„To gotowy materiał na scenariusz filmowy, lepszy od tego, z którego powstał „Człowiek z marmuru", mam nawet tytuł „Człowiek z węgla", trzeci do mojego tryptyku"*. Ale trzeci film chyba nie powstanie, gdyż — jak cytuje A. Konieczny słowa A. Ścibora-Rylskiego — *„można co najwyżej udawać, że się zapomniało, jak ja, tamte czasy i Wiktora Markiewkę.."*, bo wymazać tego z naszej przeszłości się nie da. Ale czy wolno zapominać!?.

Jeśli nadal namiętności budzi fakt rozwiązania ZLP, to wolno mi się domyślać, że właśnie z tego powodu, aby nasza literatura nie tylko oddawała potok świadomości jednostki, ale też i potok dziejów społeczeństwa. Aby nie było białych plam, pomijanych i niechętnych tematów, aby ludzie mogli konfrontować swoje przeżycia i przemyślenia z literackimi uogólnieniami. Na ten temat — między innymi oczywiście — ukazała się w „RADARZE" (nr 38 z 22 września 1983 r.)

ROZMOWA Z TADEUSZEM HOŁUJEM

„Chcemy utrzymać zasadę — powiedział Zofii Szlachta Tadeusz Hołuj — *wydawania książek jedynie ze względu na ich treść i wartość, a nie ze względu na nazwisko ich autorów"*. Wiemy przecież, że nie tak dawno inaczej bywało. Tadeusz Hołuj mówi też o *„bojkocie towarzyskim"* w środowisku krakowskim, że rozwiązanie „Kuźnicy" odczuł jako *„niesłuszność i krzywdę"*. Chciał w „Kuźnicy" grupować inteligencję zbliżającą się lub bliską socjalizmowi. I choć odczuł to boleśnie, to — jak przyznaję — *„nie lamentowałem, lecz zaraz zawiązałem „Krakowską Kuźnicę"*. W rozmowie jest jeszcze i o tym, że związek najbardziej potrzebny jest średnim pisarzom.

Na zakończenie przeglądu prasy chciałbym zwrócić uwagę na felieton Daniela Passenta z nr 40 „Polityki" pt. *„Bociany przynoszą chleb"*, w którym słusznie zwraca on uwagę, że brak chleba nie wynika z winy złej pracy urzędników, narad i uchwał, tylko ze złej pracy piekarzy i tych, którzy chleb rozwożą do sklepu i tych, którzy go sprzedają. Tymczasem winię za niedostatki ponieśli... urzędnicy. Chyba, że w myśl przysłowia: „Kowal zawinił, Cygana powiesili".

A także chciałbym donieść Czytelnikom, że „NAD WARTĄ" (nr 39 z 29 września 1983 r.) przynosi

FRASZKI O ZDUŃSKIEJ WOLI

Oto jedna z nich, autorstwa Jerzego Kujawskiego:

„Niech się komisja nie fatyguje, nie bada:
Najwięcej na Zduńską Wolę fraszek przypada".

Oby tylko były to dobre fraszki!

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

75 LAT

ukończyła 26 września 1983 roku Michalina Tatarkówna-Majkowska. Działaczka ruchu robotniczego, widzewianka, przez wiele lat I sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR. Obecnie na emeryturze.

Z całą serdecznością przyłączamy się do życzeń, jakie w dniu Jej urodzin napłynęły pod adresem Jubilatki. 100 lat w zdrowiu!

W BRATOSZEWICACH

zespół szkół rolniczych otrzymał imię Batalionów Chłopskich. Początek Batalionom Chłopskim dała Chłopska Straż powołana do życia jesienią 1940 roku przez Stronnictwo Ludowe „Roch". Wiosną 1941 roku przemianowane na Bataliony Chłopskie. Współdziałały one z oddziałami AK, AL i partyzantką radziecką. Brały udział w obronie Zamojszczyzny przed wysiedleniem stamtąd chłopów, a także w bitwach partyzanckich w lasach janowskich. lipskich i Puszczy Solskiej.

50 LAT MA JUŻ LUBELSKA „KAMENA"

Z tej okazji nr 20 pisma z tego roku ukazał się jako numer jubileuszowy. Przynosi on ciekawsze wypowiedzi różnych autorów z minionych 50 lat. Jest więc tam m.in. artykuł Kazimierza Andrzeja Jaworskiego — współzałożyciela pisma, rozmowa z filozofem Zdzisławem Cackowskim, artykuły i wypowiedzi: Bruno Szulca, Tadeusza Bocheńskiego, Anny Kamieńskiej, Alojzego Srogi, Władysława Tatarkiewicza, Szymona Kobylińskiego, Jerzego Topolskiego, Lesława M. Bartelskiego, Józefa Szajny, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego oraz wiersze Józefa Czechowicza, Czesława Miłosza, Juliana Przybosia, Sergiusza Jasienina, Edwarda Stachury.

We wstępie do numeru jubileuszowego redakcja stwierdza: *„Drodzy Czytelnicy! „Kamena", założona w 1933 r. w Chełmie przez Kazimierza Andrzeja Jaworskiego i Zenona Waśniewskiego, obchodzi właśnie pół wieku swego istnienia. Rzadki to jubileusz w prasie polskiej, a w rodzinie pism literackich i kulturalno-społecznych chyba jedyny (za dwa lata 50-lecie obchodzić będą „Szpilki", dodajmy dopiero za dwa lata...)"*.

Zespołowi „Kameny" życzymy długich lat istnienia, jeszcze kilka razy po 50 lat! — oraz coraz więcej wiernych czytelników!!!

ZNÓW WIECZORAMI BĘDĄ PALIŁY SIĘ ŚWIATŁA

w oknach domów studenckich. Uroczyście zainaugurowano kolejny rok akademicki. Takie inauguracje odbyły się też w uczelniach wyższych Łodzi.

Wykładowcom, pracownikom nauki, studentom życzymy postępów w pracy naukowej, dydaktycznej i terminowego kończenia studiów.

POWRÓCIŁ DRUGI PROGRAM TELEWIZJI

Powrócił 1 października 1983 roku i jak na początek tylko dwa razy w tygodniu: w sobotę i niedzielę. „Dwójkę" mają wypełniać regionalne ośrodki TvP. Sporo propozycji zgłosiła Łódź i zostały one przyjęte. A więc zapowiada się cykle filmowe i o filmie, piosenki w wykonaniu aktorów, 5-odcinkowy musical Piotra Skowikowskiego i Piotra Hertla „Ona i on", koncerty zespołów rockowych i country, klub miłośników fantastyki, wieczory teatralne i operowe oraz balet. Zapowiada się bogato, oby było też interesująco.

Trudno wszakże po dwóch dniach oceniać jakość programu drugiego. Potrzeba na to czasu. Zobaczymy, ocenimy.

Możemy tylko z satysfakcją odnotować, że program drugi 1 października 1983 r. prowadziła dziennikarka Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego — Iwonna Łękawa. Oby był to dobry początek!!!

JESZCZE SIĘ NIE ZACZĘŁO

a już są nieporozumienia. Chodzi o zapowiadaną „rewolucję telefoniczną". Ma ona nastąpić dopiero pod koniec listopada 1983 r. Niektórzy zrozumieli, że nastąpi to 7 października 1983 r., kiedy to w ramach obchodów 100-lecia łódzkiej telefonii uruchomi się jedynie nową centralę telefoniczną „Centrum".

Natomiast operacja przełączania numerów na sześciocyfrowe odbędzie się dopiero pod koniec listopada. Jest więc jeszcze trochę czasu, aby operację tę należycie przygotować. Miejmy nadzieję, że specjalne informacje Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji dotrą do abonentów na czas. Inaczej powstanie potworny bałagan. Można sobie wyobrazić, co będzie się działo, jak numery zostaną przełączone, a abonenci nie będą mieli właściwej informacji, do kogo teraz dzwoni się pod jaki numer.

DO BIAŁEGOSTOKU

można już dzwonić bezpośrednio. Wystarczy wykręcić numer 10-85, aby otrzymać automatyczne połączenie z Białymstokiem. Korzystać z tego nie mogą jedynie posiadacze telefonów, których numery zaczynają się na „2" i „3". Ale od końca listopada 1983 r. i oni będą mogli korzystać z połączeń automatycznych.

POLOWANIE NA SER

twardy, żółty. Nie można bowiem kupić ot tak sobie, wedle potrzeby, wchodząc do sklepu. Dlaczego tak się dzieje? Tłumaczy się to brakiem „mocy przerobowych", limitami, procesem produkcyjnym, który wymaga czasu, aby sery dojrzały i wieloma jeszcze innymi przyczynami. Ale to w niczym nie zmienia faktu, że sera twardego w sklepach nie ma i że dopiero import tego sera złagodzi nieco braki na rynku. A ser miał być swego odzaju substytutem mięsa. Poza tym płynęła rzeka mleka, a na ser trzeba polować. Skomplikowane to nasze życie. Ciągle czegoś brakuje za wyjątkiem wyjaśnień. Wyjaśnić potrafimy absolutnie wszystko, czasem nawet przekonywająco.

ŁÓDZKI CHLEB

ma się niedługo pojawić na rynku. Będzie bielszy i ma być smaczniejszy. Oby tylko przymiotnik „łódzki" nie stał się synonimem złego chleba!

JAN TOMASZEWSKI W BYDGOSZCZY

szkolił trenerów piłkarskich zajmujących się młodzieżą. Zaprezentował tam rpogram szkolenia bramkarzy. Ćwiczenia taktyczne demonstrował trenerom Wojciech Łazarek — szkoleniowiec poznańskiego Lecha.

SENSACYJNA KRADZIEŻ PTAKÓW W POZNANIU

Z tamtejszego ZOO skradziono 19 najcenniejszych okazów bażantów: diamentowe, uszaki brunatne, siwe bażanty królewskie, humea, mikado. Pozostawiono natomiast w wyłamanych klatkach bażanty mniej cenne. Skradzione były jedynymi okazami w Polsce, a na świecie jest ich bardzo mało. Podejrzewa się, że skradziono bażanty, aby przewieźć je i sprzedać za granicą.

A. B. SEKATOR

Przy podniesionej kurtynie

Dziś spotyka się z przedstawicielami nowo powstałych i powstających nadal związków zawodowych. Jeszcze nie opadły emocje po jego wystąpieniu w Stoczni Gdańskiej, a już po raz kolejny zasiada do rozmów, tym razem w robotniczej Łodzi.

Za kilka dni minie rocznica sejmowej ustawy o związkach zawodowych. Wśród załóg robotniczych coraz bardziej dojrzewała świadomość potrzeby odrodzenia się ruchu zawodowego, odrodzenia się od podstaw. Początki były trudne, wręcz niepopularne. Ale przecież nikt inny, jak sami robotnicy, tworzyli grupy inicjatywne, opracowywali programy i statuty. Stąd rodzi się pewność, że charakter nowych związków będzie klasowy, robotniczy związany z rzeczywistą siłą narodu, jaką jest klasa robotnicza. Będą te związki służyły tej klasie i działały w jej interesie. Trzeba jednak pamiętać, że nowy ruch powstaje w niełatwych warunkach, ma przeciw sobie wewnętrznych i zewnętrznych wrogów, zakonspirowaną opozycję, torpedującą wiele inicjatyw i negującą potrzebę ruchu związkowego. Przecież jeszcze nie tak dawno, dziewięć miesięcy temu, w województwie miejskim łódzkim było zaledwie 5.000 członków nowych związków, dziś ta liczba uległa zwielokrotnieniu. Co miesiąc przyjmuje się 10—15 tysięcy nowych ludzi. W tej chwili jest to ponad 100-tysięczna rzesza. I choć nie jest to, jak na naszą aglomerację, liczba imponująca, jest to już jednak siła, partner mogący rozmawiać z władzami politycznymi i administracyjnymi. Jest to partner, którego nie można już zepchnąć do drugiej linii, nie wysłuchać lub pominąć.

Na sali rośnie podniecenie i wzmaga się upał. Jupitery oślepiają, dym papierosowy wywołuje łzawienie. Wreszcie jest!

Sala milknie, z twarzami w stronę mównicy.

Wicepremier, wbrew przypuszczeniom, zamiast o związkach zawodowych, szeroko nakreśla sytuację społeczno-polityczną kraju. Mówi, że tę sytuację określają postawy społeczeństwa i jego nastroje. Te z kolei są uwarunkowane czynnikami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Tak politycznymi, jak i ekonomicznymi. Czynniki wewnętrzne polityczne: już drugi rok następuje w Polsce proces uwiarygodnienia się polityki władzy, proces wzrostu zaufania do tej władzy. Ciągle jest to jeszcze proces, a nie pożądana stabilizacja. Drugi czynnik: po 13 grudnia nie udało się siłom ekstremalnym osiągnąć swoich celów. Ponieśli porażkę, przede wszystkim w organizowaniu demonstracji ulicznych. Szerokie rzesze ich nie poparły. I to była dla opozycji największa klęska. Innym czynnikiem jest fakt, że siłom tym nie udało się powstrzymać procesu odradzania się ruchu związkowego. Próby torpedowania tego procesu także skończyły się fiaskiem. Ekstrema chciała wykazać przed światem, że nowy ruch związkowy jest organizowany przez władzę i nie znajduje poparcia klasy robotniczej. Dziś wiemy, że to im się nie udało. Oczywiście, zanim ruch związkowy stanie się spójną siłą polityczną, która obejmie większość pracujących, upłynie jeszcze trochę czasu. Ale to nieuchronnie nastąpi. Nie udało się także opozycji przeszkodzić partii i rządowi w realizacji uchwał IX Zjazdu PZPR, a każdy dzień i każdy tydzień realizacji tych uchwał zbliżają nas do chwili, kiedy będziemy mogli powiedzieć, że Polacy oceniają pozytywnie stanowisko rządu i partii. Normują się stosunki na linii państwo — Kościół. Jednak antykomunistyczny Zachód, który wiązał z „Solidarnością" określone nadzieje, dziś szuka nowego konfliktu, a najbardziej odpowiadałby mu konflikt między socjalistycznym państwem a Kościołem. Ale w Polsce nikt nie zamierza walczyć z Kościołem, laickie państwo prowadzi szeroko pojętą politykę tolerancji. Nie tak dawno Kościół był mediatorem między władzą a „Solidarnością". Dziś, kiedy powstają związki zawodowe, nie ma między kim mediować. A więc Kościół może zająć stanowisko albo partnerskie wobec władzy, albo konfrontacyjne. Władza pragnie partnerstwa. Jest to potrzebne i konieczne dla pozycji Polski w świecie.

A teraz o czynnikach ekonomicznych. Są one ważne i mają wpływ na nastroje społeczne, ponieważ byt określa świadomość. Porównując sytuację gospodarczą z roku 1981 z sytuacją w roku 1983, trzeba powiedzieć, że są nieporównywalne. W 1981 roku spadek stopy życiowej dotknął całe społeczeństwo. Ale to nie wpłynęło na nastroje społeczne. Natomiast czynnikiem decydującym o nastrojach była polityka, zagrożenie bytu i losów państwa. Dziś zaczyna działać prawo ekonomiczne: im bardziej stabilizująca będzie polityka w kraju, tym większą uwagę ludzie zwrócą na czynniki ekonomiczne. Stąd rodzi się zadanie numer jeden — na dziś i na najbliższą przyszłość: wychowanie ekonomiczne.

Dalej wicepremier mówił o czynnikach zewnętrznych. Są one polityczne i ekonomiczne. Zachód, od sierpnia 1980, związał z „Solidarnością" nadzieje na stały niepokój w kraju. Nie udało się. Toteż sięgnięto po restrykcje. Do dziś są stosowane sankcje gospodarcze i nieprzyjazne kroki polityczne wobec nas. Zachód nie może pogodzić się z faktem, że Polska zmierza ku stabilizacji, że nie rozpada się blok socjalistyczny.

W Polsce uspokaja się wzburzone morze. Dla wielu ludzi nastał czas refleksji. Dokonują oni analiz co było słuszne, a co niesłuszne. Władza nie stosuje siły i nakazu — pomijając sytuacje wyjątkowe — co sprawia, że ludzie zaczynają się zastanawiać i analizować niedawną przeszłość. Trzeba cierpliwie czekać aż podejmą sami decyzje.

Sala słucha w milczeniu. Prawie wszyscy notują, obracają się szpule magnetofonów. Żadne słowo nie zostaje pominięte. I kiedy wreszcie następuje czas dyskusji, ludzie mówią i mówią. Nie pomagają wezwania prowadzącego spotkanie, aby ograniczyć się do konkretów — pytań i wniosków. Większość mówców przyszła z referatami. Jest w nich wszystko: i to co gnębi załogę, co przeszkadza w pracy, co tę pracę utrudnia. A obok są własne komentarze. A więc mówią o tym, że jeśli nawet zakład wykonuje zadania, zwiększa wydajność, podwaja lub potraja produkcję, jakże często nie ma czym wywieźć gotowych wyrobów. Mając własny transport, trzeba zlecać przewozy Pekaesowi, choć strata na każdym kilometrze wynosi 30 groszy. Dlaczego tak jest? Ano dlatego, że gdy w zakładzie zaplanowano kupno dwóch samochodów, zakład został natychmiast ukarany przez bank. Ukarano go za samo zamierzenie kupna. A w odczuciu załogi jest to kara za jej wysiłek i pracę. Gdy się tę karę zapłaci, do podziału pozostanie mniejszy zysk.

Ktoś inny mówił o tym, że pracownik, korzystając z urlopu wypoczynkowego, traci około 1000 zł. bo nie wlicza mu się sobót. W tej sprawie pisano nawet do ministra pracy, płac i spraw socjalnych. I nic. Cisza. Albo taka sprawa: narastanie konfliktu pomiędzy radami pracowniczymi, do których w większości weszli byli działacze „Solidarności" a nowo powstałymi związkami zawodowymi. Wyjaśnienia wymaga także fakt, dlaczego przemysły: lekki i chemiczny, będące w gestii jednego ministra, mają różne przywileje.

Zgłaszano także postulat, by nie rozliczać byłych komisji socjalnych, które powołano w chwili wprowadzenia stanu wojennego. Dziś Urząd Skarbowy karze ludzi za ich ciężką i niewdzięczną pracę. Odczucie jest takie, że za pracę społeczną zamiast podziękowania otrzymuje się cięgi.

Przedstawiciel budownictwa mówił o odchodzeniu ludzi z ich przedsiębiorstwa. Przyczyny? — proszę bardzo. Dziś buduje się mniej niż 4 lata temu. Dlaczego? Ponieważ budowlani wolą iść do innej pracy ze względu na lepsze warunki finansowe. Brak bodźców i zachęty powoduje, że nie ma kto dziś pracować na budowach. Do tego trzeba dodać i to, że prawie wcale nie ma materiałów budowlanych. Jeśli tego się szybko nie załatwi, droga do własnego „M" okaże się nie mieć końca.

Był też głos mówiący o tym, że w zakładach wielu jest takich, którzy tylko czekają aż nowe związki potkną się, popełnią błąd, nie udźwigną stawianych sobie zadań.

Ktoś inny domagał się szybkiego podziału majątkowego po byłych związkach zawodowych. Bo nowe nie mają innych funduszy, jak tylko ze składek. Jak można działać w takiej sytuacji?

Jeszcze inny chciał wiedzieć, skąd i dlaczego w sklepach są dywany po 800.000 zł. Dla czyjej to kieszeni towar, bo przecież nie dla włókniarskiej. Albo dlaczego w prywatnych sklepach są tak wyśrubowane ceny. Czyżby tam nie obowiązywały kontrole cen?

Był też postulat — mało realny — by oddawać mieszkania w stanie surowym i niech sam użytkownik je wykańcza.

Na spotkaniu byli też nauczyciele. Mówili, że 50 proc. istniejących u nas szkół, to są szkoły wybudowane jeszcze przed wojną. Większość tych szkół pracuje na dwie zmiany. Warsztaty szkolne są także puste, bo nie ma materiałów, nie ma na czym szkolić młodzieży. Zastraszające braki są w zaopatrzeniu szkół w pomoce naukowe. Dziś szkolnictwo stoi przed problemem wymagającym natychmiastowego rozwiązania. Jest nim brak nauczycieli, szczególnie dla nauczania początkowego. Do szkolnictwa praktycznie przyjmuje się każdego, kto się zgłosi: leśnika, kogoś po technikum, jakiegoś inżyniera-rolnika. Wszyscy są dobrzy, byleby byli.

Nie lepiej sprawa przedstawia się w sektorze służby zdrowia. Do związku zgłosiło się dotychczas 10 proc. zatrudnionych. W tym środowisku istnieje wielka rozbieżność w interesach pomiędzy poszczególnymi grupami zawodowymi, a także pomiędzy personelem leczącym a pacjentami. Lekarze zarabiają mało, średnia zarobku wynosi 10,5 tys. złotych, przy 13 tys. średniej krajowej. Stąd rodzą się wynaturzenia w postaci wyciągania od pacjentów korzyści materialnych. A tak w ogóle to brakuje pielęgniarek, salowych, elektryków, kierowców, itp. Jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie zamykać szpitale, przychodnie, stacje pogotowia ratunkowego.

Ale był i taki postulat: wszystkich nierobów, tych urodzonych w niedzielę, skierować do prac publicznie użytecznych. Bowiem najwięcej przestępstw jest właśnie w tych kręgach, wśród marginesu społecznego, który zresztą społeczeństwo musi utrzymywać.

Za oknem zagęszcza się jesienny mrok. Dawno wypito ustawioną na stołach „Mirindę". Dym drapie w gardle, ale nikt nie wychodzi.

Ponownie na mównicę wychodzi wicepremier. Mówi, że rząd zna potrzeby ludzi i zdaje sobie sprawę z faktu, iż interesy grup zawodowych są rozbieżne. Niestety, nie ma z czego już dawać. Chyba, co jest oczywistym żartem, że uruchomi się czwartą zmianę w Wytwórni Papierów Wartościowych i będzie się dzień i noc drukować pieniądze. W niczym to jednak nie poprawi sytuacji. Toteż dzieli się to, co jest i stara się robić to w sposób maksymalnie doskonały.

Nawiązując do sprawy mieszkań, określanej jako głód mieszkaniowy, wicepremier powiedział, że jest to prawda, ale trzeba spojrzeć na miasto, na dzisiejszą Łódź: czy zawsze była taka? Przecież wszystko to zostało wybudowane po wojnie, zrobiła to władza ludowa. Więc nie można mówić, że się nie buduje, ale raczej należy zastanowić się, jak ten deficyt mieszkaniowy zmniejszyć.

Ustosunkowując się do problemu płac, do sprawy niskich zarobków, stwierdził, że wszyscy wkoło o tym mówią, natomiast nikt nie przyznaje się, że do pensji dochodzi rekompensata, praca w wolne soboty, nagrody, itp. Owszem, są grupy zawodowe, które mają niskie dochody i to trzeba zmienić. Natomiast generalnie nie jest aż tak źle.

Mówiąc o młodzieży, wicepremier stwierdził, że kiedy słyszy, iż młodzież w Polsce nie ma perspektyw, doprowadza go to do białej gorączki. A kto tej młodzieży broni pracować? kto nie pozwala jej uczyć się? przejawiać twórczych inicjatyw? Owszem, jest w tym wina i naszej polityki, bo ustawiliśmy socjalizm jako instytucję dobroczynną. Ale, jak to jest, że nauczyciel, mając 50 lat, jest tak zmęczony, że tylko pragnie jednego: emerytury, emerytury, emerytury... Czy nie jest to jednak sprawa moralności? Czy inni mniej pracują, w lepszych warunkach?

Często wini się rząd za niedoskonałość rządzenia. Tak, to się zdarza. Ale krytykują rząd także i ci, którzy nowy styl rządzenia winni wprowadzać u siebie, którzy sami są kierownikami w administracji terenowej, posiadają władzę i uprawnienia. Ale lepiej nic nie robić, a zrzucić winę na rząd.

Sprawą, która powraca w spotkaniach z wicepremierem, jest podnoszenie rangi poszczególnych zawodów. A dlaczego nie podnieść po prostu rangi Polaka? Trzeba się wreszcie nauczyć łączyć interes grupowy ze społecznym. Ta umiejętność winna także cechować dobrego działacza związkowego. Dobry działacz związkowy musi także mówić własnym głosem, własnym językiem, a nie językiem swojego dyrektora.

Wielkim błędem politycznym było to, że każdy zakręt w powojennych dziejach, każde „tąpnięcie", nazywaliśmy szumnie kryzysem. Na Zachodzie tego typu zjawiska są częste, ale tam z tego powodu nie rozdziera się szat, tylko zakasuje rękawy.

Ustosunkowując się do konfliktów na linii dyrektor — robotnik wicepremier powiedział, że część dyrektorów tak się rozkochała we władzy, że dziś zaszła konieczność ich resocjalizacji, uczenia szacunku do nowych związków zawodowych. Bo jeśli administracja podchodzi do ludzi uczciwie, wiele konfliktów można zlikwidować, zanim jeszcze powstaną.

Parę słów o paliwach: brakuje nam jednego miliona ton ropy. Nie mamy za co jej kupić. Prywatnych samochodów mamy już trzy miliony, a co dzień przybywają nowe. Jednakże, mimo ograniczeń, marnuje się wielkie ilości paliwa. Bo u nas nie ma tradycji myślenia ekonomicznego. Niepodważalną jest prawda, że posiadamy w gospodarce nieprawdopodobne rezerwy, ale traktujemy to jako rzecz normalną. Nikomu się nie opłaca na przykład pracować za 3-procentowy zysk.

Ceny: skąd takie zaskoczenie, skoro o mających nastąpić podwyżkach rząd już mówił w lipcu. Ale jakoś nikt tego wówczas nie zauważył. Teraz, kiedy minister Krasiński wystąpił z tym ponownie, podniósł się w całej Polsce krzyk. Wicepremier zapewnił, że ceny będą zmieniane, ale tam, gdzie jest to niezbędnie konieczne. Ale propozycje tych zmian muszą być przekonsultowane.

Na zakończenie wicepremier podzielił się następującą refleksją: Ważne jest jedno — czas skończyć z ustawianiem się na pozycji władza i ja. I cały czas zastanawiać się, jak tej władzy przyłożyć. Nadszedł już czas, by zacząć wspólnie z tą władzą walczyć o normowanie sytuacji w poszczególnych środowiskach i unormowanie sytuacji w całej Polsce. Czas nie na pisemne porozumienia, ale na ich codzienną praktykę.

Spotkanie miało być krótkie, a skończyło się późnym wieczorem. Mimo to ludzie długo jeszcze nie wychodzili. Stali w grupkach, dyskutowali. Jutro muszą przekazać relację ze spotkania z wicepremierem Rakowskim swoim załogom. I tam odbędzie się dalszy ciąg dzisiejszej dyskusji.

EUGENIUSZ IWANICKI

Parlamentarna premiera

W pierwszym posiedzeniu jesiennej sesji Sejm udzielił sobie jeszcze urlopu od intensywnej działalności legislacyjnej — tak intensywnej, że nawet nawykli do śledzenia na bieżąco całej parlamentarnej „produkcji" ustawodawczej zawodowi prawnicy uskarżali się na nadmierne tempo. Ale był to urlop nie całkiem konsekwentny — w jednym z punktów porządku obrad przedstawiono rządowy projekt ustawy o gospodarce gruntami i wywłaszczaniu nieruchomości; są to przepisy niezmiernie ważne, albowiem obowiązujące dotąd regulacje prawne nie są już dostosowane do gospodarczej rzeczywistości i potrzeb w tej mierze na przyszłość.

Przede wszystkim jednak posiedzenie poświęcone było realizacji funkcji kontrolnych parlamentu — wysłuchano dwóch sprawozdań rządowych — o realizacji ustawy o amnestii oraz o stanie zdrowotnym społeczeństwa naszego kraju, o działalności służby zdrowia i opieki społecznej.

Sejmowa kontrola nad działalnością administracji, aczkolwiek od dawna należy do zespołu jego uprawnień, właściwie od niedawna na serio weszła do codziennej praktyki na ulicy Wiejskiej. Przy czym nie jest to kontrola ani iluzoryczna, ani grzecznościowa. Wielu ministrów rządu PRL przekonało się o tym, zdając relacje ze swej pracy i odpowiadając na interpelacje.

Sprawozdanie o wykonywaniu ustawy o amnestii nie zawierało — jak się wydaje — elementów wzbudzających szczególne kontrowersje. Minister sprawiedliwości Sylwester Zawadzki podkreślił, że funkcjonowanie amnestii jest zgodne z oczekiwaniami społecznymi i sprzyja procesowi normalizacji oraz narodowego porozumienia. Przepisy ustawy zastosowano dość szeroko — wobec blisko 1500 sprawców przestępstw popełnionych z powodów politycznych i prawie 1200 sprawców takichże wykroczeń. Do dnia posiedzenia Sejmu ujawniło się 327 działaczy podziemia byłej „Solidarności", w tym 10 za granicą w polskich przedstawicielstwach. Minister Zawadzki przewiduje, że proces ten w październiku nasili się, wobec upływu terminu wyznaczonego w ustawie. W sprawozdaniu rządowym wysoko oceniono społeczną skuteczność aktu amnestyjnego — jednym z warunków było zobowiązanie do poszanowania prawa przez osoby amnestionowane, pod rygorem cofnięcia dobrodziejstw amnestii. Do tej pory nie było przypadku powrotu zwolnionych do działalności przestępczej i politycznej w strukturach podziemnej opozycji.

Niebawem możemy oczekiwać kolejnego rządowego sprawozdania o wykonywaniu amnestii, albowiem jej realizacja przebiega stale pod kontrolą publiczną.

Wystąpienie ministra zdrowia i opieki społecznej Tadeusza Szelachowskiego wywołało znacznie więcej kontrowersji i dyskusji nad tezami sprawozdania. Przemawiając w imieniu Klubu Poselskiego ZSL poseł Henryk Rafalski wezwał Sejm i rząd do pilnego podjęcia prac nad urealnieniem rządowego programu rozwoju ochrony zdrowia i opieki społecznej. Program taki, uchwalony przed dziesięcioma laty, nigdy — zdaniem posła (podzielanym zresztą przez większość opinii społecznej) — nie był realizowany z należną mu uwagą. W latach siedemdziesiątych służba zdrowia nigdy nie znalazła się na kapryśnej huśtawce priorytetów, mimo wielu deklaracji i obietnic bez pokrycia. Dopiero w lutym 1981 roku podjęto konsekwentnie realizowane decyzje w tej mierze, skierowane jednak na powstrzymanie zagrożeń dla stanu zdrowotnego społeczeństwa. Program ten został zrealizowany, co więcej — jak z satysfakcją podkreślił to minister Szelachowski — nastąpiła wyraźna poprawa, mimo sytuacji kryzysowej. Najczulszym jej miernikiem jest najwyższy od ponad dwudziestu lat wskaźnik urodzeń (w 1982 roku ponad 702 tysiące nowych obywateli) i jednoczesny najniższy wskaźnik umieralności niemowląt. Nie sprawdziły się zatem przewidywania opozycji o epidemiach, głodzie; kłamliwa okazała się teza o biologicznym zagrożeniu narodu — powiedział minister Szelachowski.

Jednocześnie kryzysowa sytuacja gospodarki ujawniła liczne słabości naszej służby zdrowia i opieki społecznej. Ujawniło się z całą ostrością wstydliwe, a wręcz karygodne uzależnienie systemu od importu — nie tylko w zakresie najnowocześniejszej techniki medycznej, co jest w pewnej mierze usprawiedliwione, ale w sprawach najprostszych: środków opatrunkowych, powszechnie stosowanych leków, prostego sprzętu, igieł i strzykawek jednorazowych, rękawic i nici chirurgicznych, że wspomnę tylko najdotkliwsze braki, z trudem teraz przezwyciężane. Świadczy to o zerwaniu więzi służby zdrowia z resortami gospodarczymi, odpowiedzialnymi za produkcję dla medycyny. Ich odbudowa to najpilniejsze zadanie.

Niepokojąca jest również sytuacja w dziedzinie inwestycji — podkreślił zabierający głos w dyskusji poseł Franciszek Odrzywolski — przytaczając wyniki kontroli NIK, wedle których opóźnienia, nawet wieloletnie są w budownictwie medycznym regułą. Poseł Wacław Auleytner zwrócił uwagę na szczególnie groźne — wobec wzrostu społeczności ludzi starych — opóźnienia w dziedzinie opieki społecznej. W Polsce na 10 tys. mieszkańców jest np. tylko 16 miejsc w domach opieki, podczas gdy w NRD — 60, a w CSRS — 45.

To tylko niektóre z wątków poselskiej dyskusji. Wprawdzie podkreślone przez ministra Szelachowskiego hasło „twoje zdrowie w twoich rękach" winno znaleźć się na stałe w społecznej świadomości, ale nic nie zastąpi realnego programu, bez nadmiernych obietnic. Dlatego powracam do wezwania posła Henryka Rafalskiego, aby możliwie jeszcze w tym roku taki konkretny program sformułować i umożliwić śledzenie jego realizacji nie tylko przez służbę zdrowia, rząd i Sejm, ale przede wszystkim przez opinię publiczną.

T. SAS

Śmierć w gwiazdach

JÓZEF SMIAŁOWSKI

Czytelniku, tytuł kojarzy Ci się zapewne ze śmiercią spokojną, pełną godności, przychodzącą w czasie, gdy człowiek po dokonaniu wszystkiego, czego dokonać pragnął, oczekuje na nią jak na przyjaciela. Jeśli uległeś tej sugestii, muszę Cię wyprowadzić z błędu. Będzie to bowiem historyczna relacja o śmierci brutalnej, zadanej tysiącom ludzi, przez innych, którym wpojono, że są nadludźmi Będzie to relacja o śmierci kilku tysięcy Żydów, wymordowanych przez hitlerowców, w zduńskowolskim getcie i w obozie zagłady w Chełmnie nad Nerem. Czemu więc śmierć w gwiazdach? Ponieważ z woli przywódców herrenvolku, Żydzi musieli nosić na odzieży wyróżniającą się z daleka żółtą, sześcioramienną gwiazdę Dawida. Musiała ona być umieszczona z przodu na lewej piersi i z tyłu na prawej łopatce. Na prawym ramieniu musieli też mieć białą opaskę z taką samą gwiazdą. To w tych gwiazdach spotykała ich śmierć.

Już w momencie wkraczania, w dniu 8 IX 1939 r., żołnierzy Wehrmachtu do Zduńskiej Woli, zostali przez nich zastrzeleni, w mieszkaniu Ojzerowicza, w nie istniejącym dziś domu na rogu ul. Sieradzkiej i Rynku (dziś Plac Wolności) trzej bezbronni, modlący się Żydzi. Stanowiło to groźną zapowiedź losu Żydów pozostałych w mieście. Było ich w 1939 r. około 9—10 tysięcy. Zamieszkiwali głównie północno-zachodni rejon miasta, wyznaczony ulicami: Sieradzką, Juliusza, Ogrodową, Stęszycką. Zamożniejsi zamieszkiwali na obszarze całego miasta.

Już 21 IX 1939 r. szefowie grup operacyjnych Policji Bezpieczeństwa Rzeszy otrzymali drogą telefoniczną tekst rozporządzenia szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Reinhardta Heydricha w sprawie założeń i metod rozwiązywania problemu żydowskiego na okupowanych terytoriach. W tym celu należało: w każdej gminie żydowskiej tworzyć z pozostałych na miejscu i cieszących się autorytetem osobistości Żydowskie Rady Starszych (Altestenrat) liczące do 24 członków. Rady te należało obarczyć odpowiedzialnością za dokładne i terminowe wykonywanie wszystkich poleceń i zarządzeń władz okupacyjnych. Należało też ostrzec rady, że niewykonywanie lub opieszałość w wykonywaniu poleceń władz niemieckich spowoduje represje w stosunku do członków rad. To samo rozporządzenie nakładało na Rady Starszych obowiązek przeprowadzenia w swoich gminach spisu ludności żydowskiej z podziałem na płeć i grupy wiekowe.

Rada Starszych została utworzona i w zduńskowolskiej gminie żydowskiej. Jej przełożonym został znany przed wojną działacz społeczny i członek Rady Miejskiej Zduńskiej Woli, lekarz, doktor Jakób Lemberg. Obowiązki te pełnił aż do chwili likwidacji getta zduńskowolskiego.

Dla ogólnego nadzoru i zarządzania gettem utworzono przy burmistrzu Zduńskiej Woli specjalny wydział Gettoverwaltung, na czele którego, w okresie od 1941 r. do likwidacji getta stał Wilhelm Bittel.

Tworzenie ścisłego getta zduńskowolskiego odbywało się etapami, podobnie jak to miało miejsce w odniesieniu do innych gett. Początkowo jego obszar obejmował ulice: Sieradzka — północna strona od nr 32 do nr 2 przy rogu Rynku, następnie zachodnią i północną część Rynku i dalej zachodnią część ul. Juliusza (dziś Marcelego Nowotki) do zbiegu z ul. Szadkowską i z ul. Opiesińską. Tu granica getta skręcała w kierunku zachodnim i przez słabo zabudowany teren przez ul. Wileńską i Narwiańską biegła wzdłuż odkrytego kanału skręcając na południe, do ul. Sieradzkiej.

W ciągu kilku miesięcy Żydzi zajmujący mieszkania w budynkach frontowych przy ul. Sieradzkiej, Juliusza i Rynku musieli je opuścić. Budynki te o nieco lepszym standardzie zostały z getta wyłączone i granica między dzielnicą żydowską a aryjską biegła na ich zapleczu.

Już w ostatnich miesiącach 1939 r. rozpoczęto usuwanie Żydów z terenów nie przewidzianych pod getto. Getto zduńskowolskie utworzono w maju i czerwcu 1940 r. Początkowo miało ono charakter otwarty Od samego początku zaczęto do niego wysiedlać rodziny żydowskie z małych miasteczek i osad Sieradzkiego, a następnie także z Sieradza, Kalisza i Pabianic. Powodowało to okresowy wzrost liczby ludności getta z około 8 300 osób na przełomie 1939—1940 r. do około 12 tysięcy osób w 1941 r. Wszystkich przybyłych trzeba było umieścić w tych samych zasobach mieszkaniowych, jakie getto posiadało od początku. W tej sytuacji w ciasnych izbach, o bardzo złym stanie technicznym zamieszkiwało w niesamowitym tłoku, po kilka i kilkanaście osób.

Jesienią 1940 r. najprawdopodobniej, podobnie jak w Warszawie, w październiku, getto zduńskowolskie zostało całkowicie zamknięte. Izolowano je od reszty miasta wysokim ogrodzeniem (ok. 2,5 m) z drutu kolczastego. Przy czterech istniejących bramach wartę trzymała żydowska służba porządkowa, przepuszczająca tylko posiadających przepustki. Za przekroczenie granic getta bez przepustki groziły wysokie kary łącznie z karą śmierci.

Zamknięcie getta pogorszyło i tak niełatwe warunki życia społeczności żydowskiej. Przed jego zamknięciem, Żydzi mając pewną swobodę poruszania się, a także możliwość kontaktowania się z Polakami mogli kupować z czarnego rynku żywność. Polskiej konspiracyjnej siatce samopomocy łatwiej też było udzielać im pomocy. Po zamknięciu getta pomoc ta, choć w ograniczonym zakresie, działała dalej. Według oświadczeń Tadeusza Dobrzyckiego, Marii Niewiadomskiej i Tomasza Stępnia, żywność i leki do getta przerzucano dwoma punktami przy ul. Sieradzkiej, obok posesji Kucnera i przy ogrodzie Kurnatowskiego, u wylotu rowu ściekowego. Trzeci punkt przerzutu żywności i lekarstw funkcjonował w posesji Formańskiego przy ul. Juliusza 42.

Władze okupacyjne pozbawiły ludność żydowską źródeł utrzymania, konfiskując jej cały majątek nieruchomy, warsztaty pracy, a także co cenniejsze ruchomości. Stosownie do zarządzenia władz okupacyjnych z dnia 12 X 1939 r. Żydzi byli zobowiązani złożyć w depozycie wszelkie posiadane przez siebie kosztowności, obligacje itp. Również gotówkę musieli wpłacić na zablokowane konta bankowe pozostawiając sobie maksimum 2 000 zł. Ciągłe kontrybucje i łapówki wymuszane przez różnej rangi urzędników niemieckich pogłębiały nędzę ludności getta.

Już w pierwszych tygodniach okupacji wprowadzono przymus pracy w odniesieniu do ludności żydowskiej w wieku od 12 do 60 lat. W praktyce był on stosowany od momentu wkroczenia wojsk niemieckich do miasta, nim jeszcze zostały w tej sprawie opublikowane jakiekolwiek rozporządzenia. Żydzi byli przymusowo używani do różnych prac porządkowych, plantowania i zasypywania rowów strzeleckich, schronów, uprzątania nieczystości itp. Niejednokrotnie sprawujący nadzór nad pracującymi Żydami znęcali się nad nimi. Jak relacjonuje jeden z naocznych świadków. *„W początkach października 1939 r. grupa koło 40 Żydów pracowała przy plantowaniu wykopów na ul. Aleja Kościuszki, pod nadzorem miejscowych żandarmów. Przeważnie byli to Żydzi ubrani w chałaty, z długimi włosami i brodami. Po zasypaniu rowu jeden drugiego brał za nogi i wlókł plecami po ziemi na długości ok. 200 m, a następnie ten, który wlókł, musiał się kłaść i kolejno był wleczony. W ten sposób plantowali i równali wykopy. Przedtem jeszcze porozbierano Żydów z chałatów, musieli wrzucić te chałaty do dołów i żandarmi nożycami ucinali im owłosienie na brodach, a włosy te wrzucano również do dołów. Od tego czasu żaden Żyd nie mógł pokazać się w mieście z owłosioną brodą, bo każdy miejscowy Niemiec miał prawo uciąć mu owłosienie na brodzie"*.

Już w lipcu 1940 r. na terenie getta zduńskowolskiego zostały zorganizowane warsztaty pracy realizujące zamówienia firm niemieckich, bądź też bezpośrednio im podlegające. Wyrabiano w nich kożuchy, artykuły dziewiarskie, wyplatano dla potrzeb wojska słomiane „buty" ocieplające, zakładane na normalne obuwie. Jeden z takich warsztatów, zwanych też „schopami", mieścił się w pomieszczeniach zlikwidowanej przez Niemców bóżnicy, na rogu ul. Sieradzkiej i Rynku. Podlegał on niemieckiej firmie Striegel et Wagner. Jej przedstawicielem był Neubauer.

Pracowali też Żydzi poza granicami getta przy porządkowaniu miasta, w niektórych fabrykach tkackich, przy paczkowaniu marmolady, przy budowie strzelnicy na Frajszycy, w jednej z podmiejskich cegielni i przy wydobyciu torfu na tak zwanych Pastwiskach. Od jesieni 1940 r. kilkudziesięcioosobowe grupy Żydów pracowały przy montażu domów w podzduńskowolskich wsiach Białym Ługu, Michałowie, Krobanowie i Krobanówku przeznaczonych dla niemieckich osadników z Wołynia i Besarabii.

W marcu 1942 r. było zatrudnionych w formach zorganizowanych około dwa i pół tysiąca Żydów, z tego około 2 000 w warsztatach (schopach), wewnątrz getta i około 500 na robotach publicznych na zewnątrz getta.

Praca na zewnątrz getta, szczególnie zaś w okolicznych wsiach dawała pewne szanse zdobycia dodatkowo żywności. Było to szczególnie ważne ze względu na głodowe racje, jakie Żydzi otrzymywali na przydziały kartkowe. Tygodniowy przydział dla dorosłej osoby wynosił np. 1 500 g chleba, 50 g oliwy, 200 g mięsa. W tym samym czasie Niemiec otrzymywał odpowiednio — chleba białego i czarnego — 2 250 g, tłuszczów — 172 g, mięsa 350 g, plus przydział drobiu, ryb, jaj, mleka tłustego, serów i innych produktów, których Żydzi i Polacy nie otrzymywali wcale.

Możliwości uzupełniania zaopatrzenia przez zakupy na czarnym rynku były niewielkie, zarówno ze względu na izolację getta, jak i na bardzo wysokie ceny. Kilogram chleba kosztował 6 marek, 100 kg ziemniaków 100 marek, tyle samo 100 kg węgla. Tymczasem płace dzienne robotników żydowskich wahały się w granicach od 1 marki 20 fenigów przy wydobyciu torfu do 1 marki 30 fenigów przy pracach w warsztatach.

Skutki wygłodzenia społeczeństwa żydowskiego dały się widzieć bardzo szybko. Jak czytamy w informacji przekazanej do Londynu przez Delegaturę Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Kraj, śmiertelność w getcie zduńskowolskim wynosiła w marcu 1942 r. ponad 90 osób. Niemal przy tej samej liczbie ludności żydowskiej zamieszkującej Zduńską Wolę przed wojną, była to liczba zgonów mających miejsce w ciągu całego roku. Otwartą gruźlicę miało 120 Żydów. Niemal wszystkie dzieci chorowały na zapalenie opon mózgowych. Około 10 proc. dzieci było w wyniku niedożywienia cofniętych w rozwoju co najmniej o 3 lata, a dzieci w wieku do lat 3 nie chodziły i nie mówiły.

Ogromne spustoszenie czynił też tyfus, trudny do opanowania ze względu na ogromne zagęszczenie izb, a często i pomieszczeń niemieszkalnych i brak jakichkolwiek środków dla zabezpieczenia minimum wymogów sanitarnych. Nie mogła też temu skutecznie przeciwdziałać pomoc udzielana przez społeczeństwo polskie.

W getcie działał też legalnie, kontrolowany przez podlegający burmistrzowi Zduńskiej Woli Gettoverwaltung Żydowski Komitet Pomocy (Jüdische Hifskomitee).

Zamordowany przez Niemców, żydowski historyk Samuel Ringelblum, przebywający w getcie warszawskim, zapisał w notatkach pod datą 10. VI. 1942 r. słuszne spostrzeżenie „Wydaje się, że plan eksterminacji Żydów w Polsce jest wykonywany w większych miastach przez wygłodzenie". Ringelblum nie mógł wówczas wiedzieć, że dla hitlerowców Żydzi z głodu konali zbyt wolno i że 20. I. 1942 r. grupa przywódców NSDAP z udziałem R. Heydricha i A. Eichmana opracowała ostateczną wersję „rozwiązania kwestii żydowskiej". Określono ją kryptonimem „Einsatz Reinhard". Do początku marca 1942 r. odbyło się kilka brzemiennych w skutki narad poświęconych „problemowi żydowskiemu". W ich następstwie rozpoczęły się masowe egzekucje mające na celu fizyczną likwidację ludności żydowskiej.

Pierwsze uderzenie nastąpiło w dniu 3. III. 1942 r. kiedy to wypadało żydowskie święto „Purim", rodzaj polskich ostatków, obchodzone na pamiątkę ocalenia Żydów od zagłady przygotowywanej im przez perskiego dostojnika królewskiego Hamana. Wówczas to pod pretekstem popełnienia przestępstw dewizowych i sabotażu powieszono w getcie zduńskowolskim 10 Żydów. Podobne egzekucje miały też miejsce w Bełchatowie, Sieradzu, Wieluniu, Warcie, Złoczewie, Ozorkowie, Pabianicach i Brzezinach. Perfidia tego oskarżenia wyłania się jaskrawo, jeśli dodamy, że „popełniających owo przestępstwo" w Zduńskiej Woli miał na polecenie władz niemieckich wytypować przewodniczący Rady Starszych gminy zduńskowolskiej dr Lemberg. Na skutek jego kategorycznej odmowy zrobiło to gestapo. Nie było też chyba przypadkiem, że uderzenie przyszło w dniu święta ocalenia narodu żydowskiego od zagłady.

Druga publiczna egzekucja, w czasie której stracono dalszych 10 Żydów, miała miejsce 21. V. 1942 r. w przeddzień żydowskich świąt „Szewuoth" — zielonych świątek. Obie egzekucje odbyły się na placu przy ul. Stęszyckiej. Obie potraktowano jako pokazowe, mające zastraszyć społeczeństwo żydowskie i polskie. Musiała w nich uczestniczyć cała ludność getta i wielu Polaków. Obserwowało je także wielu miejscowych i okolicznych urzędników i dygnitarzy niemieckich wraz z rodzinami. Egzekucjami tymi wykonanymi przez miejscową żandarmerię i oddział SS kierowali: zastępca szefa policji ochronnej (schupo) Helmrich, Filip Giener i W. Bittel.

Ostateczną likwidację getta zduńskowolskiego podjęli Niemcy nocą z 23 na 24 sierpnia 1942 r. Była to noc z niedzieli na poniedziałek. Uprzednio przygotowano cmentarz żydowski, leżący poza terenem getta, na miejsce izolacji mordowanych Żydów. Ogrodzono go dodatkowo drutem kolczastym, ustawiono silne reflektory i wieże strażnicze.

Ciemną nocą, w czasie strasznej ulewy, do getta weszły oddziały sonderkomanda, żandarmerii, schupo i SS. Zaskoczonej ludności dawano 10 minut na ubranie się i opuszczenie mieszkań. Do ociągających się lub niesprawnych strzelano mordując na miejscu. Przerażoną ludność spędzono na plac przy ul. Stęszyckiej, a później przepędzono na cmentarz. W szpitalu przy ul. Ogrodowej wymordowano wszystkich chorych, którzy go wcześniej nie opuścili. Dawał tam upust swym morderczym instynktom Hans Biebow, który kierował całą tą operacją.

Tej ulewnej, ciemnej nocy rozświetlanej błyskami policyjnych reflektorów, pędzono około dziesięciotysięczny tłum wynędzniałych istot ludzkich, starców, dzieci, mężczyzn i kobiet w sile wieku podobnych do starców. Posuwali się w tym makabrycznym pochodzie ku śmierci jak ogromna chmura niosąca na sobie żółte, sześcioramienne gwiazdy Dawida, którymi oznaczona była ich odzież. Ulicami Stęszycką, Wieluńską i Narwiańską pochód ten dotarł na cmentarz żydowski, gdzie rozegrał się kolejny akt dramatu. Spędzonych posegregowano na zdolnych do pracy w liczbie około 1500-1600 osób i resztę uznanych za niezdolnych do pracy przeznaczając ich na śmierć Tych ostatnich — ok. 8 tys. ludzi — wywożono samochodami w ciągu czterech dni do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem. Zdolnych do pracy przewieziono pociągami do getta w Łodzi, ładując do jednego wagonu towarowego po 140-150 osób, i zabijając wszystkie otwory. W tych warunkach, nim transport dojechał do Łodzi, 27 osób udusiło się z braku powietrza.

W aktach Przełożonego Starszeństwa Żydów w Getcie Łódzkim znajdują się dwa wpisy o przyjęciu do getta łódzkiego w dniach 26. VI. i 27. VIII 1942 r. dwóch transportów Żydów ze Zduńskiej Woli z łączną liczbą 1566 osób.

Jeszcze przez cały wrzesień co kilka dni patrole niemieckie wyłapywały w opuszczonym getcie grupy i pojedyncze osoby ukrywające się. W sumie schwytano i rozstrzelano ponad 40 osób.

W całej tej relacji nie wymieniłem ani jednego nazwiska z zamordowanych. Jak bowiem wyróżnić pamięć jednych, a pominąć innych? A jak wymienić około 9 000 znanych nazwisk? Jak zidentyfikować kilkuset, których nazwisk nie znamy?

Marszałek K. Woroszyłow

Taka była rzeczywistość

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Związek Radziecki od dłuższego czasu dążył do zacieśnienia stosunków z państwami zachodnimi: Francją i Wielką Brytanią.

W pierwszych miesiącach 1939 r. uaktywniła się w tym kierunku działalność komisarza spraw zagranicznych ZSRR Maksima Litwinowa, a po jego ustąpieniu w maju tegoż roku Wiaczesława Mołotowa. Wszczęte przez dyplomację radziecką rokowania nie przyniosły spodziewanego efektu. Oto co pisze na ten temat znany działacz i członek Biura Politycznego KPZR Andriej Żdanow (1896—1948) w artykule zamieszczonym w centralnym organie KPZR „Prawda" z dnia 28 czerwca 1939 r.:

„1. Pertraktacje angielsko-radzieckie trwają już 75 dni, z czego 59 dni stracono na zwłokę Anglików i Francuzów.

2. Ta sama Anglia, gdy jej to było potrzebne, zawarła pakt o wzajemnej pomocy z Turcją i Polską w bardzo krótkim czasie.

3. Podczas pertraktacji Anglicy i Francuzi robią najrozmaitsze sztuczne trudności, co ma wywołać wrażenie poważnej rozbieżności zdań między Anglią i Francją z jednej, a ZSRR z drugiej strony: powoływanie się dyplomacji angielsko-francuskiej na to, że państwa bałtyckie nie życzą sobie rzekomo gwarancji, jest wyraźnie nieuzasadnione: dyktuje je chęć utrudnienia zerwania pertraktacji. Nie wiadomo, czy zapytywano Litwę i Holandię, czy życzą sobie gwarancji Anglii i Polski; państwa te nie prosiły o gwarancje, jednakże nie przeszkodziło to Wielkiej Brytanii i Polsce zawrzeć pakty o obustronnej wzajemnej pomocy, do których włączono także gwarancje dla tych państw.

Wszystko to świadczy o tym — mówi w konkluzji Żdanow — że Anglicy i Francuzi nie chcą takiej umowy z ZSRR, która opierałaby się na zasadzie równości i wzajemności (...), lecz takiej, która wyznaczałaby ZSRR rolę parobka dźwigającego na swych barkach cały ciężar obowiązków. Ale żaden szanujący się kraj nie pójdzie na taką umowę, jeśli nie chce być igraszką w rękach ludzi, którzy lubią wyciągać kasztany z ognia cudzymi rękami. Tym bardziej nie może pójść na taką umowę ZSRR, którego siła, potęga i poczucie godności znane są całemu światu".

W miesiącach poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej, rząd radziecki zaproponował państwom zachodnim zawarcie wspólnego przymierza w wypadku agresji hitlerowskiej i zagwarantowanie państwom środkowej i wschodniej Europy gwarancji ich niepodległości i bezpieczeństwa, a w wypadku wojny udzielenia im natychmiastowej pomocy.

Oficjalnie Anglia i Francja akceptowały propozycję rządu radzieckiego, ale w praktyce sabotowały ją.

„Lord Halifax (brytyjski minister spraw zagranicznych — przyp. F. L.) — oświadczył w parlamencie b. premier Wielkiej Brytanii Lloyd George (1863—1945) w dniu 27 lipca 1939 r. — złożył Hitlerowi i Goeringowi wizytę: Chamberlain trzykrotnie padał führerowi w objęcia. Udał się sam do Rzymu, by uściskać Mussoliniego i zaofiarować mu osobiście oficjalne uznanie zaboru Abisynii, jak również zapewnić go, że nie będziemy go niepokoić z powodu inwazji w Hiszpanii.

Dlaczegóż więc wysyłamy drugorzędnego dyplomatę, by nas reprezentował wobec nieporównanie potężniejszego kraju, który zaofiarował nam swą pomoc?

Na to pytanie jest tylko jedna odpowiedź: Pan Neville Chamberlain, lord Halifax i sir John Simon nie życzą sobie żadnego porozumienia z Rosją".

O bagatelizowaniu propozycji radzieckiej wiedzieli także hitlerowcy. Świadczy o tym depesza ambasadora III Rzeszy w Londynie Dirksena z dnia 29 lipca 1939 r.:

„Dalsze rokowania o pakt z Rosją — pisał dyplomata hitlerowski — mimo wysłania misji wojskowej — lub właśnie dlatego — oceniane są tu sceptycznie. Świadczy o tym skład angielskiej misji wojskowej: admirał, dotychczasowy komendant Portsmouthu, faktycznie jest na emeryturze i nigdy nie był w sztabie admiralicji; generał jest również zwykłym oficerem frontowym; generał lotnictwa — to wybitny lotnik i nauczyciel lotnictwa, ale nie strateg".

Członkowie wspomnianej komisji brytyjskiej, wysłanej do Moskwy, oficjalnie nie reprezentowali rządu brytyjskiego i nie mieli żadnych pełnomocnictw, upoważniających do podpisywania umów wiążących w imieniu rządu Wielkiej Brytanii z ZSRR. Gdy w dyskusji usłyszeli, iż rząd radziecki gotów jest rzucić na front przeciwko agresorowi 136 dywizji, pięć tysięcy dział, dziesięć tysięcy czołgów i ponad pięć tysięcy samolotów, odpowiedzieli, iż Anglia w wypadku wojny może wystawić najwyżej pięć dywizji piechoty i jedną dywizję zmotoryzowaną.

Sceptycznie odnosili się do propozycji radzieckiej również przedstawiciele państw, przez terytoria których armie radzieckie musiałyby przemaszerować w wypadku agresji hitlerowskiej. Zarówno Polska, jak i Rumunia odmówiły zgody na propozycję radziecką.

Stanowisko Polski i Rumunii nie zniechęciło dyplomacji radzieckiej. Stojący na czele Komisji do rokowań z Anglią i Francją komisarz obrony ZSRR, marszałek Kliment Woroszyłow (1881—1969) ponowił w imieniu rządu radzieckiego propozycję utworzenia bloku antyhitlerowskiego z udziałem Polski i Rumunii. Oto co na ten temat pisał minister skarbu, a późniejszy premier Francji Paul Reynaud (1878—1966):

„W dniu 14 sierpnia (1939 r. — przyp. F. L.) marszałek Woroszyłow postawił pytanie, czy Polska i Rumunia zgodzą się na wkroczenie do tych krajów wojsk rosyjskich. Stwierdził, że jest to pytanie „zasadnicze". Chciałbym otrzymać — powiedział — jasną odpowiedź. Jeśli te dwa kraje, Polska i Rumunia, zbyt późno zwrócą się do Rosji, to ich armie zostaną zmiażdżone, a Rosja nie będzie mogła w niczym dopomóc sojusznikom...".

Z pismem Woroszyłowa zaznajomił głównodowodzącego wojsk francuskich gen. Maurice Gustave Gamelina szef francuskiej misji wojskowej w czasie rokowań moskiewskich w 1939 r. Joseph Doumenc. Gen. Gamelin w odpowiedzi na pismo Woroszy-

łowa zlecił gen. Doumenc instrukcję w sprawie Polski. Sugerował w niej, iż Polska prawdopodobnie w obliczu niebezpieczeństwa, jakie zagrażałoby jej ze strony agresora hitlerowskiego, zgodzi się na utworzenie na terytorium Polski baz dla lotnictwa radzieckiego, a może nawet na przemarsz jednostek zmechanizowanych, ale nie ma mowy, aby Polska otwarła swe granice „dla wszelkich rodzajów broni radzieckiej".

Gen. Doumenc nie dowierzając sugestiom gen. Gamelina, poprosił o potwierdzenie ich przez wysłanie gen. M. H. Vaillina do Warszawy. Gen. Gamelin pominął milczeniem prośbę gen. Doumenca.

W trzy dni później marszałek Woroszyłow w formie już stanowczej i zdecydowanej zażądał od rządu francuskiego i angielskiego odpowiedzi na zasadnicze pytanie: Czy Polska i Rumunia zgodzą się na przemarsz wojsk radzieckich przez ich terytoria w wypadku agresji hitlerowskiej. Gdy i tym razem państwa zachodnie zwlekały z odpowiedzią, Woroszyłow dla uniknięcia wrażenia całkowitego zerwania rokowań, przełożył termin następnego posiedzenia na 21 sierpnia 1939 r.

Na wiadomość o przełożeniu terminu, rządy Wielkiej Brytanii i Francji wystosowały do rządu radzieckiego notę, w której wyraziły zdziwienie, a zarazem żal z powodu jednostronnego zawieszenia na kilka dni tak ważnych rokowań.

W odpowiedzi Woroszyłow w dniu 21 sierpnia tak scharakteryzował postępowanie rządów państw zachodnich:

„Radziecka delegacja wojskowa wyraża zdziwienie, że rządy i naczelne dowództwo Wielkiej Brytanii i Francji wysłały swe delegacje do rokowań o zawarcie konwencji wojskowej, nie dając im żadnych wskazówek dotyczących zagadnienia tak podstawowego, jak przemarsz i działania radzieckich sił zbrojnych przeciwko wojskom napastniczym na terenie Polski i Rumunii, z którymi Wielka Brytania i Francja pozostają w stosunkach politycznych i wojskowych. W wyniku tego delegacja radziecka obarcza Francję i Wielką Brytanię odpowiedzialnością za przerwy i przewlekania w rokowaniach wojskowych".

W odpowiedzi na pismo Woroszyłowa, premier E. Daladier zatelefonował do gen. Doumenca w Moskwie, informując go o swojej decyzji w sposób dość dwuznaczny:

„Jest Pan upoważniony do podpisania umowy wojskowej według swego najlepszego uznania, w imię wspólnych interesów i w porozumieniu z ambasadorem, z zastrzeżeniem jednak zatwierdzenia tekstu przez rząd francuski".

Gen. Doumenc natychmiast po otrzymaniu depeszy chciał poinformować o niej marszałka Woroszyłowa, ale szef komisji radzieckiej unikał wyraźnie spotkania w tym dniu z Francuzem. Dopiero następnego dnia gen. doręczył depeszę Woroszyłowowi. W odpowiedzi marszałek wyraził żal i zdziwienie, iż Francja ze szkodą dla swoich sojuszników zajmuje takie, a nie inne stanowisko:

„Sprawa współpracy wojskowej z Francją została już podniesiona przed paru laty, lecz nie doczekała się nigdy załatwienia. W roku ubiegłym, gdy ginęła Czechosłowacja, wojska nasze były gotowe, lecz sygnał nie został dany. Rząd i cały kraj, cały naród radziecki chciał okazać pomoc Czechosłowacji. Chciał wykonać swe zobowiązania wypływające z traktatu (...). Rządy francuski i brytyjski przeciągnęły zbyt długo rokowania polityczne i wojskowe. Dlatego nie można wykluczyć ewentualności, że w międzyczasie mogą zaistnieć pewne wydarzenia polityczne (...). Trzeba zdecydować się na jasną odpowiedź tych krajów (Polski i Rumunii), trzeba wiedzieć, czy zgodzą się one na przemarsz naszych wojsk. Gdyby Polacy dali odpowiedź pozytywną, domagaliby się swej obecności w naszych rokowaniach".

Gen. Doumenc przyznał rację Woroszyłowowi i spowodował, iż Polska otrzymała od rządu francuskiego, tym razem w formie kategorycznej, wezwanie do wypowiedzenia się w proponowanej przez Związek Radziecki sprawie przemarszu wojsk radzieckich przez terytorium Polski w wypadku wojny.

„Przed otrzymaniem ostatniego wezwania rządu francuskiego — czytamy we wspomnieniach ministra spraw zagranicznych Rumunii Grigora Gafencu (1892—1959) („Derniers jours de l'Europe. Univoyage diplomatique en 1939" — Paryż — 1946), — *Beck podjął decyzję. Było to zdecydowane i ostateczne „nie!". „Dla nas jest to sprawa zasady — mówił do Leona Noëla (ambasadora francuskiego w Warszawie — przyp. F.L.) wieczorem 19 sierpnia, — nie mamy umowy wojskowej ze Związkiem Radzieckim i nie chcemy jej mieć. Nie dopuścimy, aby pod jakąkolwiek formą można było dyskutować sprawę użytkowania części naszego terytorium przez wojska obce. Nie ma w tym zresztą nic nowego. Było to zawsze naszą doktryną, nieraz ją wykładałem". W ten sposób Beck odpowiadał na ostatnie argumenty Bonneta (ministra spraw zagranicznych Francji — przyp. F. L.), zanim się jeszcze z nimi zapoznał. Traktowany przez Zachód problem pod kątem widzenia technicznego, był dla Becka problemem przede wszystkim politycznym. Co więcej, była to dla niego sprawa zasady. Pułkownik Beck zdawał się odpowiadać ministrowi francuskiemu: „Dlaczego zaangażowaliście się sami w rokowania, które musiały doprowadzić do stanu, w którym się znajdują mimo że nie ukrywaliśmy przed wami nigdy naszej doktryny".*

Generał Stachiewicz, szef polskiego Sztabu Głównego, poparł odmowę Becka: „Polska nie może się zgodzić, aby wojska obce wkroczyły na jej terytorium".

Tak więc na Polsce ciążyła odpowiedzialność najbardziej realna. Beck czynił wszystko, aby spowodować ogólną irytację, a jego akcja dyplomatyczna miała charakter zdecydowanie negatywny. Jego nieprzejednanie, emfaza, a zwłaszcza jego pycha, doprowadziły go do uprawiania z karygodnym uporem gry na rzecz Niemiec".

Władze francuskie nie mogąc dojść do porozumienia z Beckiem postanowiły interweniować bezpośrednio u marszałka E. Rydza-Śmigłego.

Oto co pisał ambasador Francji w Warszawie L. Noël w pracy pt. „L'agression allemande contre la Pologne" (1946):

„...premier Daladier zawezwał (...) do Paryża attache wojskowego w mojej ambasadzie, gen. Musse. Premier polecił mu osobiście udać się w jego imieniu do marszałka Rydza-Śmigłego, aby usiłował przekonać go o konieczności przyjęcia współpracy wojskowej ze Związkiem Radzieckim. Chociaż miał on dużo taktu i był dobrze widziany przez marszałka, nie zdołał on jednak — naturalnie — zmienić punktu widzenia szefa wojska polskiego: Rydz-Śmigły powołał się na poglądy Piłsudskiego i na jego nieprzezwyciężoną nieufność wobec Rosjan. Dla wszystkich, którzy znali kult kierowniczych czynników polskich dla swego bohatera, było jasne, że natknięto się na prawdziwy dogmat.

Od tego czasu nic by już nie usprawiedliwiało gabinetu Daladiera i naszych szefów wojskowych, gdyby rzeczywiście wierzyli w możność polsko-radzieckiego porozumienia wojskowego. Rozumieli to tak dobrze, że gen. Doumenc został jakoby przed wyjazdem z Paryża uprzedzony, iż powinien unikać postawienia tej sprawy ze strony Rosjan. Gdy jednak to się już stało, otrzymaliśmy, gen. Musse i ja, polecenie podjęcia jeszcze jednej próby (...). Attache wojskowy potraktował sprawę z punktu widzenia technicznego. Bez wchodzenia w szczegóły ambasador usiłował poprzeć go argumentami politycznymi. Kładł wobec Becka, który w to nadal nie wierzył, nacisk na ryzyko porozumienia niemiecko-radzieckiego i na pierwszoplanową konieczność przeszkodzenia temu. Rezultat był taki, jakiego można było się spodziewać. Rząd polski i marszałek Rydz-Śmigły nie zgodzili się wejść na drogę, na którą chciały ich wciągnąć Francja i Wielka Brytania na prośbę Związku Radzieckiego.

„Jeżeli wcźmiemy pod uwagę — pisał Wacław Zawadzki w artykule pt. „Jak minister Beck nie dopuścił do koalicji antyhitlerowskiej" („Odrodzenie" — 1947) — *że Beck i Śmigły prowadzili taką politykę w chwili, kiedy wojna Polski z Niemcami była nieunikniona, że sytuacja geograficzna i strategiczna kraju nie dawała Polsce żadnych szans w walce, w której nie mogła liczyć na oparcie o Rosję i jej pomoc, że gra szła o byt państwa, a nawet o samo istnienie narodu, to politykę taką trzeba uznać za zbrodnię i zdradę...".*

Strz. Zbigniew Kraterski — „Saper" (zdjęcie z 1946 r. — po powrocie do Łodzi)

DAMIAN TOMCZYK

Jeden z najmłodszych żołnierzy Powstania Warszawskiego

Wśród weteranów II wojny światowej są też najmłodsi żołnierze Powstania Warszawskiego, którzy po jego upadku znaleźli się w charakterze jeńców w hitlerowskich obozach jenieckich. Małoletni żołnierze Armii Krajowej, zwłaszcza dzieci, znacznie dotkliwiej niż dorośli odczuwali koszmar życia w niewoli Wehrmachtu, chociażby z tytułu mniejszej zaradności i doświadczenia życiowego. Wymagali oni jeszcze opieki rodziców, zwłaszcza ciepła matczynego. Tragiczne warunki bytowe oraz brutalne traktowanie przez niemieckich strażników w mundurach Wehrmachtu pociągnęły za sobą w okresie powojennym przykre następstwa zdrowotne — fizyczne i psychiczne — u dzieci i młodzieży z Powstania Warszawskiego. Ich głęboki patriotyzm oraz wykazany w tych tragicznych warunkach niezwykły hart ducha, a także gehenna jeniecka w niewoli Wehrmachtu, zasługują na rzecz najcenniejszą — trwałą pamięć.

W numerze 32 „Odgłosów" z 3. IX. 1982 r. opublikowałem artykuł **„Pięciu młodych łodzian — żołnierzy Powstania Warszawskiego w obozie łambinowickim".** Podstawę źródłową tegoż tekstu stanowiły przechowywane w Dziale Dokumentacji Muzeum Martyrologii i Walki Jeńców Wojennych w Łambinowicach akta zespołu „Wehrmachtauskunftstelle für Kriegerverluste und Kriegsgefangene" zawierające listy transportowe jeńców — żołnierzy AK z Powstania Warszawskiego ze Stalagu 344 Lamsdorf (obecnie Łambinowice) w rejencji opolskiej. Nazwiska owych pięciu małoletnich łodzian, które odnalazłem w źródłach poniemieckich, nie były znane literaturze Powstania Warszawskiego. Redakcja „Odgłosów" zamieściła po moim tekście apel do osób, które ewentualnie posiadają informacje o dalszych losach tej bohaterskiej młodzieży. Dzięki temu udało mi się nawiązać kontakt z jednym z owych pięciu łodzian — **ZBIGNIEWEM KRATERSKIM.** Jego relacja pozwala pełniej poznać tragiczne losy najmłodszych żołnierzy Polski Walczącej.

Zbigniew Kraterski urodził się 19. X. 1929 r. w Łodzi. Jako ochotnik walczył w Powstaniu Warszawskim w dowodzonym przez mjra Zygmunta Brejnaka — „Zygmunta" Zgrupowaniu AK „Chrobry II", które 20. IX. 1944 r. weszło w skład 15 pułku piechoty AK płka Franciszka Rataja — „Pawła" (28 Dywizja Piechoty AK im. Stefana Okrzei). W okresie walk powstańczych 15-letni strzelec **Zbigniew Kraterski posługiwał się pseudonimem „Saper".** Z okupantem hitlerowskim toczył boje na barykadach stolicy do 2. X. 1944 r., tj. do czasu kapitulacji ostatniej broniącej się dzielnicy Warszawy — Śródmieścia.

Układ kapitulacyjny gwarantował powstańcom prawa kombatanckie armii alianckich, a więc status jeńców wojennych (w myśl Konwencji Genewskiej z 27 VIII 1929 r.). „Saper" zdecydował się pójść do niewoli, chociaż mógł opuścić Warszawę wraz z ludnością cywilną 4 X 1944 r. powstańcy opuścili stolicę i w kolumnach marszowych udali się pod eskortą Wehrmachtu do pierwszego w ich życiu jenieckim punktu etapowego — Ożarowa pod Warszawą, gdzie zgromadzono ich w miejscowej fabryce kabli.

Następnego dnia „Saper" odjechał wraz ze współtowarzyszami niedoli transportem kolejowym przez Częstochowę i Opole do Stalagu 344 Lamsdorf na Śląsku Opolskim (wówczas terytorium III Rzeszy) — jednego z największych w latach II wojny światowej obozów jenieckich dla szeregowców i podoficerów. Podróż odbywał — podobnie jak wszyscy powstańcy — w zakratowanym wagonie towarowym, w ogromnej ciasnocie (na stojąco), bez pożywienia i picia. Do obozu jenieckiego w Łambinowicach przybył 7 X 1944 r. Tam dla hitlerowców jeńcy, nawet małoletni chłopcy, przestali być ludźmi, którzy posiadali imię i nazwisko. 8 X 1944 r. podczas dokonywania ewidencji nowo przybyłych, strz. Zbigniew Kraterski-„Saper", chcąc uchodzić za starszego, podał pisarzowi obozowemu, iż urodził się w 1927 r. Otrzymał on wówczas numer jeniecki 105200.

W Stalagu 344 Lamsdorf, Wehrmacht więził przejściowo 5789 powstańców warszawskich, w tym ok. 600 chłopców (od 11 do 18 lat), którzy byli najmłodszymi jeńcami Wehrmachtu. Dla „Sapera" — podobnie jak dla większości nieletnich żołnierzy AK — pobyt w stalagu łambinowickim stanowił tylko etap przejściowy w drodze do innych obozów jenieckich, położonych w głębi Niemiec i Austrii. Mimo krótkotrwałego pobytu w łambinowickim obozie dla jeńców wojennych „Saper" doświadczył brutalnego traktowania przez niemieckich wartowników w mundurach Wehrmachtu, zimna, plagi różnych insektów, dokuczliwego głodu (dzienna racja żywnościowa ok. 600 kalorii), wielogodzinnych apeli, przeprowadzanych przez władze obozowe bez względu na pogodę.

Dzieci i młodzież do lat 18 wywożono z Łambinowic transportami kolejowymi wraz z dorosłymi jeńcami AK. 21.X 1944 r. wyekspediowano do Stalagu XVIII C w Markt Pongau m. in. 74 nieletnich jeńców, wśród których najmłodszym był 15-letni strz. **Zbigniew Kraterski-„Saper".** Podróż ta, trwająca około 2 tygodni, była prawdziwą gehenną. Jeńcom kazano rozebrać się do bielizny i wieziono ich w nie ogrzewanych wagonach towarowych, bez strawy (poza suchym prowiantem wydanym na drogę) oraz możliwości załatwienia potrzeb fizjologicznych i umycia się. Nieludzkie wręcz warunki podróży ilustruje fakt, iż którejś nocy „Saper" przymarzł koszulą do ściany wagonu.

Po przyjeździe do Markt Pongau niemieccy konwojenci wyrzucili odzież i obuwie jeńców na bocznicę kolejową, skąd każdy z nich musiał w pośpiechu wybrać cokolwiek, popędzany okrzykami i biciem wachmanów. Po dotarciu do obozu całą grupę jeńców AK (ok. 600 osób) umieszczono na placu przed łaźnią i odwszalnią. Dopiero tam można było czynić poszukiwania własnej odzieży i obuwia. Na owym placu jeńcy spędzili 3 doby, po czym dopiero skierowano ich do baraku. Był to obiekt usytuowany w sektorze dla jeńców brytyjskich, prowizorycznie odizolowany drutami kolczastymi. Warunki bytowe w obozie były niezwykle ciężkie. Dokuczało zimno i głód. Jeńcy nie byli zmuszani do prac, nie licząc sporadycznych akcji np. usuwania lawin.

Po około dwumiesięcznym pobycie w Markt Pongau „Sapera" wraz z blisko 200-osobową grupą jeńców wywieziono do Stalagu XVII A w Kaisersteinbrück koło Wiednia, który okazał się najcięższym obozem. W baraku, w którym został umieszczony, nie było wody ani ubikacji. Na toaletę poranną i załatwianie potrzeb fizjologicznych wypuszczano całą grupę rano na 15 minut do latryn obozowych. Odbywało się to w wielkim pośpiechu, przy akompaniamencie krzyków i popychaniu ze strony niemieckich wachmanów. Wyżywienie było tragiczne. Zupa składała się z rozgotowanych ziemniaków (pływały tylko skórki) i zwykłych liści z drzew. Po każdym spożytym posiłku widać było na dnie menażki ok. 2-centymetrową warstwę piasku.

Po dalszych dwóch miesiącach „Saper" wraz z grupą kolegów trafił znów do Stalagu XVIII C w Markt Pongau. Jeńców wieziono 20-osobowymi grupkami w pociągach osobowych. Podczas przesiadki w Wiedniu uciekło wówczas trzech kolegów „Sapera".

Po krótkim pobycie w Markt Pongau „Sapera" wraz z grupą ok. 200 współtowarzyszy niedoli przewieziono do tzw. oddziału roboczego jeńców w miejscowości Tschupbach (powiat Landeck) w Austrii, w sercu Tyrolu, u zbiegu granic austriacko-szwajcarsko-włoskiej. Zatrudniano tam jeńców polskich przy budowie linii kolejowej. Najbardziej dawały się im we znaki głód i zimno. Dzień pracy zaczynali jeńcy od zbierania ślimaków, żab i skąpych roślin. Miały tam miejsce próby trzech nieudanych ucieczek. Ciężka zima, góry oraz nieznajomość terenu sprawiły, iż biorących w nich udział jeńców ujęto; część z nich miała odmrożonych wiele części ciała.

W okolicach autriackiego miasta Landeck było dużo obozów pracy, w których zatrudniano jeńców do budowy linii kolejowej. W końcu kwietnia 1945 r. wojska alianckie opanowały rejon tego miasta. W rękach niemieckich pozostał 30-kilometrowy cypel wraz ze znajdującymi się na tym obszarze obozami pracy jeńców polskich, francuskich, brytyjskich i jugosłowiańskich. Niemieckie komendantury tych obozów poczuły się zagrożone obecnością dużej liczby jeńców państw koalicji antyhitlerowskiej i nie czyniły im przeszkód w przekroczeniu granicy austriacko-szwajcarskiej. 30 IV 1945 r. strz. Zbigniew Kraterski-„Saper" wraz z kolegami przekroczył granicę szwajcarską. Po miesięcznej kwarantannie w miejscowości Bremgarten, gdzie świętowano zakończenie II wojny światowej w Europie, jeńcy z Powstania Warszawskiego dowiedzieli się o wcieleniu ich do 2 Dywizji Strzelców Pieszych gen. bryg. Bronisława Prugara-Ketlinga (od 20 VI 1940 r. dywizja ta była internowaną w Szwajcarii) i statusie internowanych. Dano im do wyboru możliwość pracy lub pobytu w obozie ze skąpym żołdem. „Saper" wybrał pracę. Przebywał w różnych szwajcarskich miejscowościach, najdłużej w Marin koło Neuchatel, pracując przy wydobywaniu torfu, budowie dróg i w winnicach.

W październiku 1945 r. **Zbigniew Kraterski** wyjechał do Francji. Tam początkowo znalazł się w ekspozyturze 2 Korpusu Polskiego w Sorgues, a następnie udał się do Reims, gdzie pełnił służbę wartowniczą przy magazynach amerykańskich.

W lutym 1946 r. „Saper" zwolnił się z tej służby i skontaktował się z ambasadą polską w Paryżu, gdzie zapewniono go, iż zostanie odesłany do Polski. 1 III 1946 r. powrócił do kraju i zamieszkał w Łodzi. Podjął pracę i jednocześnie kontynuował naukę. W 1949 r. wyjechał do Szczecina i mieszka tam do dziś. Wciąż pracuje, zdał maturę, podjął zaocznie studia prawnicze na Uniwersytecie Poznańskim (dyplom magistra w 1964 r.), a obecnie wykonuje zawód radcy prawnego. W 1982 r. został odznaczony Warszawskim Krzyżem Powstańczym, który symbolizuje męstwo i umiłowanie wolności.

W literaturze Powstania Warszawskiego nie ma nazwiska strz. **Zbigniewa Kraterskiego-„Sapera"** — nieletniego żołnierza Polski Walczącej i najmłodszego jeńca Wehrmachtu w Stalagu XVIII C w Markt Pongau. Jest on symbolem niezłomnej, patriotycznej postawy wojennego pokolenia młodzieży i jego tragicznych przeżyć, które wywarły piętno na całe życie tych najmłodszych żołnierzy walczącej Warszawy oraz jeńców hitlerowskich obozów jenieckich.

Damian Tomczyk — doktor, jest pracownikiem naukowym Instytutu Śląskiego w Opolu.

Bardzo drogi choć niepełny reportaż z Bielska...

Parę lat temu napisanie takiego reportażu nie nastręczało większych trudności. Należało tylko użyć wygodnego, wręcz pożądanego szablonu. Najpierw lekki opis okolicy — jakiś „las kominów", „las masztów", „czarne hałdy", „gigantyczne wieże" Potem wchodzimy na mrówczą pracę załogi, jej zaangażowanie. Tu niezbędny jest błyskotliwy wywiad z dzielnym pracownikiem „liniowym" — hutnikiem, prządką, górnikiem, stoczniowcem — do wyboru. Teraz kilka liczb — wydajność z hektara lub z pieca, dyskretne podkreślenie, że jeśli nie czołówka światowa, to europejska z całą pewnością. Parę ciepłych słów o dyrekcji, kierownictwie, czyli — właściwi ludzie na właściwym miejscu. I kończymy barwnym opisem dziejącej się na naszych oczach historii — „milionowa tona", „kolejny wodowany drobnicowiec" czy coś w tym rodzaju. Ech, piękne czasy. Bo i tematów nie brakowało. Port Północny, zagłębie miedziowe, petrochemia płocka, Ursus. Bełchatów, bielskie Fiaty — to tylko niektóre przykłady sztandarowych propozycji.

Ale skończyła się pogoda dla inwestycyjnych bogaczy. Coraz trudniej stwierdzić nie tylko o Coca-coli, że „to jest to", bo i jakieś prozaiczne kłopoty się piętrzą w hołubionych firmach i ludziska jakby stracili wiarę w ten europejski trend. Światowy szyk i przysłowiowe „Q". Dla odmiany wszyscy opanowali teraz do perfekcji metodę narzekania: na kooperantów, wysokie podatki czyli zachłanność fiskusa, brak — jedna z wymówek-patentów — wsadu dewizowego, brak rąk do pracy I zaczyna się „przeginanie" w drugą stronę. O naszych reprezentacyjnych do niedawna firmach nie pisze się nic (Huta „Katowice" jakby się pod ziemię zapadła...) lub w czarnych, no, przyciemnianych barwach Jak kryzys, to kryzys.

Z mieszanymi uczuciami gnałem asfaltowym szlakiem w kierunku Bielska Białej. Wyciśnie się z nich jakąś realnie optymistyczną nowinę, czy tylko „brak mocy, trudności, opóźnienia etc.?" Niedawno obchodzili skromny jubileusz: bodaj w pierwszych dniach czerwca 1973 roku opuścił bramę FSM pierwszy, zmontowany tam z włoskich części „maluch". — I co dalej z Fiatem? — zastanawiałem się, wypatrując intensywnie radaru w przydrożnych krzakach, bo z przeciwka mrugano zapamiętale. Stali rzeczywiście tuż za ostrym zakrętem, ale w ostatniej chwili zdążyłem się schować za potężnym „Jelczem" i przedefilowaliśmy obaj przepisową siedemdziesiątką.

A wracając do fabryki, to między nami mówiąc, sprawdzić chciałem naocznie, czy rzeczywiście nie produkują już chluby naszej rodzimej motoryzacji — „Syreny". Wiem, wiem — ma ona wielu zagorzałych wielbicieli i pewnie długo mieć jeszcze będzie. Ale ilekroć spojrzę na ten wytwór polskiego rękodzieła artystycznego, przypomina mi się przygoda znajomych, których stęskniona rodzina zamieszkała bodaj od wojny w Holandii powitała okrzykami pełnymi podziwu: „Ach Zdzisiek, jaki ty jesteś zdolny! Taki duży samochód zrobić własnoręcznie...!"

Do fabryki nie sposób nie trafić. Niezależnie od wielkich napisów reklamowych. Jakiż inny zakład w kraju może mieć parking zastawiony taką ilością małych Fiatów?! Z piskiem opon wyprzedziła mnie biała „Panda" na próbnych numerach rejestracyjnych. Dopadła do bramy, łańcuch natychmiast poszedł w górę i z wyciem silnika wyprysnęła zakładowym duktem.

Przepychając się wśród rozświergotanej wycieczki, która uzgadniała szczegóły zwiedzania zakładu, dobrnąłem do telefonu w portierni. Dziewczyna po drugiej stronie nie miała dobrych nowin.

— Niestety, rzecznik prasowy, inżynier Wosadka, niespodziewanie się rozchorował, jest w szpitalu. Nie wiem czy zdążył uzgodnić pańskie spotkanie z szefami, a w ogóle mamy dziś ważnego gościa...

Wynalazek wuja Bella w naszym krajowym wydaniu odmówił w tym momencie posłuszeństwa, nie zdążyłem się zapytać kto zacz. Wykręciłem ponownie parę cyfr, ale dla odmiany włączyłem się „na trzeciego" w jakąś gorączkową rozmowę.

— Te papiery muszą poczekać, wiesz kto przyjechał...

— Jest już u nas?

— Nie, na razie w Tychach, tu ma być o dwunastej, więc wyobrażasz sobie ile mam roboty, zaraz lecę obiady załatwiać...

— Dobra, przekładamy sprawę do jutra — i do kogoś w pokoju — ludzie, z ostatniej chwili: Gorywoda będzie u nas za trzy kwadranse...

O, niedobrze, wkrótce wybije „godzina zero" i nikt dla dziennikarza nie znajdzie czasu na spokojną rozmowę. Perspektywa krótkiego, nerwowego dialogu z którymś z szefów, gdy Gość stąpa po zakładzie nie była zbyt kusząca. I nierealna chyba prawdę powiedziawszy. Odłożyłem słuchawkę, prosząc dziewczynę za szybą o wystawienie przepustki do Biura Dyrektora.

— To łatwe; pójdzie pan prosto, potem w dół, tunelem, następnie wzdłuż hali, do kiosku, za nim w lewo, jakieś trzysta metrów i w prawo i tam będzie ten budynek administracyjny — facet w granatowym uniformie cierpliwie mi tłumaczył. I skutecznie — bo nie zabłądziłem. Nie miałem też wątpliwości co się tu produkuje: w owym tunelu minąłem stertę palet załadowanych felgami do malucha, a dalej przemaszerowałem obok odpoczywającej przy krawężniku karawany kilkudziesięciu identycznie żółtych nowych samochodów.

— Zaraz pomyślimy z kim by tu pana skontaktować, ale przepraszam, jeździ pan maluchem? — zastępca chorego Wosadki strzela niespodziewanym pytaniem, nie przerywając konsumpcji śniadania. Chyba drugiego.

— Nie — odpowiadam i widzę, że wszystkim w pokoju jakby ulżyło. Domyślam się jaki był sens „strzału", ale kontrolnie sprawdzam.

— Dlaczego pan pyta? Przecież to dobry wóz.

— Tak, tak, sami najlepiej o tym wiemy, ale wszyscy bez mała szukają jakichś części, a dziennikarze nie są wyjątkiem. Dlatego wolimy uprzedzić fakty, zanim padną prośby o pomoc. Ale z panem nie będzie kłopotu...

Nie byłbym tego taki pewien. Na razie trwa telefoniczne poszukiwanie ewentualnych rozmówców. A ja upewniam się co do Syreny. Więc jednak zakończyli jej produkcję. W lipcu. Zdecydowanie i nieodwracalnie. W sumie wyjechało z bielskich hal 344 077 tych oryginalnych pojazdów, w roku bieżącym ostatnie 7 tysięcy. A przez najbliższych siedem lat wspomnieniem będzie jedynie produkcja części zamiennych. Na razie trwa demontaż krańcowo zużytych maszyn i urządzeń. Zwolnione powierzchnie i ręce, a na wydziałach Syreny pracowało około dwóch tysięcy osób, przydadzą się przy wytwarzaniu malucha.

Tak jak przewidywałem — trudno kogoś namówić na rozmowę. Ten nie ma czasu, ten wyszedł, ten czeka na Gościa, inny przeżywa, że do niego nie zajrzy i też nie może. Nie szkodzi. Wietrzę jakiś ślad, gdy jedna z pań wspomina o Biurze Współpracy z Zagranicą. Ma takowe rozpocząć działalność w styczniu przyszłego roku, jest to już pewna nowość. Ale temat szybko się rozmydla.

— „Odgłosy"? To gazeta centralna? Nie, no mniejsza, ale o biurze jeszcze nie pora pisać — kompetentny głos w słuchawce jest czujny, uważnie cedzi każde słowo. — Za wcześnie, jeszcze prowadzone są rozmowy, trwają różne ustalenia, opisanie mogłoby zaszkodzić sprawie, musimy poczekać z tą rozmową do grudnia...

To czekajmy. Ale jeśli mają się zmienić zasady rozliczeń i handlu z zagranicznymi kontrahentami, to póki co zasięgnę „języka" w dziale sprzedaży.

— Wie pan, eksportem wszelkich wyrobów motoryzacyjnych zajmuje się przedsiębiorstwo „Pol-Mot". W tej puli znajduje się również tzw. eksport wewnętrzny — Marian Stanek szefuje dużemu działowi i widzę, że interesujące mnie sprawy ma w „małym palcu".

— Nie oszukujmy się z tą sprzedażą, przecież u nas samochody są rozdzielane, a nie sprzedawane. Do 90 roku działa jeszcze rozdzielnik, a co dalej — nikt nie wie.

— To jest mała kołomyja. Bo tak: najpierw jest nasza oferta skierowana do resortu, ilościowa i cenowa również, tak, 185 tysięcy samochodów w tym roku i jak na razie wszystko zgodnie z planem, najpierw na eksport miało z tego iść 80 tysięcy, potem trochę zmniejszono, tak że na kraj trafi gdzieś 110 tysięcy...

— Komisja Planowania w oparciu o propozycję resortu decyduje o kierunkach sprzedaży. Na tym szczeblu realizatorem decyzji jest Przedsiębiorstwo Techniczno-Handlowe Motoryzacji. Ono decyduje o ilości pojazdów dostarczanych do poszczególnych „Polmozbytów", które są tylko sprzedawcą. Powiedzmy — realizatorem przedpłat. Odnoszę wrażenie, że te przedpłaty, a przede wszystkim forma, w jakiej zostały wprowadzone w życie, wszystkich tu irytuje. Ludziska wpłacają pieniądze do banku, bank ustala na bieżąco z PTHW sprawy realizacji, natomiast z fabryką żadnych rozmów ni ustaleń od początku nie było. FSM z wpłacanych do banku milionów nie ma ani złotówki, czują się jakby ktoś obracał „ich" forsą. A na dodatek za wszelkie opóźnienia z realizacją przedpłat, a te sięgają mniej więcej roku — odpowiada przed opinią publiczną rzecz jasna fabryka.

Czas biegnie błyskawicznie, zakład wymaga już... modernizacji, zużyty w poważnym stopniu jest park maszynowy, myśleć trzeba realnie o unowocześnieniu produkowanego od 10 lat modelu samochodu, by utrzymać przede wszystkim wysoki eksport. Bez niego fabryka zejdzie na psy. Kółko graniaste, czterokanciaste: by się rozwijać, modernizować, fabryka musi mieć dewizy. W banku dolarów wszak nie kupią. Tak ładnie określany wsad dewizowy w przypadku przeciętnego malucha waha się w granicach 117 dolarów. By je zdobyć trzeba maksymalną ilość Fiatów sprzedać na Zachodzie. O rezygnacji z eksportu nikt obdarzony znajomością zasad ekonomii nawet nie myśli.

— Dotychczas, jak mówiłem, wyłączność na eksport miał Pol-Mot — finiszuje kierownik Stanek. — Oczywiście w tzw. drugim obszarze nasze samochody sprzedaje jedynie sieć handlowa firmy Fiat. Natomiast w przypadku eksportu do krajów socjalistycznych „Pol-Mot" zawiera umowy z poszczególnymi centralami w każdym kraju. Liczymy, że własne Biuro zwiększy naszą operatywność w zakresie sprzedaży, odpadną także niepotrzebne koszty w postaci marży dla „Pol-Motu"...

Dłuższą pogawędkę na temat dnia dzisiejszego i przyszłości najmłodszego dziecka naszej motoryzacji udało mi się uciąć z Andrzejem Szybowiczem — głównym specjalistą ds. planowania. Malkontenci wciąż uważają, że wybór Fiata jako licencjodawcy nie był zbyt szczęśliwy. Wielu domorosłym specjalistom marzył się w miejsce malucha zdecydowanie bardziej ekskluzywny Polo czy Golf, oszczędna francuska Renówka. Wieść gminna niosła, że rewelacje obiecywali nawet Japończycy.

— To są wierutne bzdury, z którymi też się czasem spotykam. — kwituje krótko pan Andrzej. — Mówiąc najbardziej lapidarnie: nikt nie zaproponował nam takich warunków jak Włosi, tak korzystnych, rzecz jasna. A nas interesowały nie montownie, ale nowoczesny zakład produkcyjny, korzystne formy spłaty kredytów i zagwarantowanie sprzedaży w krajach kapitalistycznych. Nie sztuka wyprodukować czy zmontować — trzeba jeszcze korzystnie sprzedać. I Fiat obecnie rozprowadza na samym rynku włoskim z grubsza licząc około 30 tysięcy naszych samochodów.

— Za grosze? Bez przesady, służę panu danymi ze specjalistycznego miesięcznika motoryzacyjnego. O, proszę, ceny obowiązujące w lipcu tego roku we Włoszech, w lirach oczywiście: nasz maluch — 4542 tysiące i dla porównania Fiat Uno 45 — 7284 tysiące lirów, Fiat 127 (1050 ccm) — 7944 tysiące. Zobaczmy jeszcze ceny wozów produkowanych w innych krajach socjalistycznych. Niech pan notuje: Skoda 105L — 4998 tysięcy lirów, model 120LS — 5664 tysiące, Zaporożec — 4300 tysięcy, Dacia 1310 — 6750.

— Jak pan widzi, nasz maluch cenę ma stosunkowo wysoką, a ze wspomnianą choćby wyżej konkurencją wygrywamy przede wszystkim ilością sprzedanych egzemplarzy. Skoda czy Dacia liczy tam swoje sukcesy w setkach egzemplarzy, 126 p sprzedaje się w dziesiątkach tysięcy.

A na co dzień, tu, w Bielsku borykają się z przyziemnymi kłopotami — jakością surowców, komponentów, mają kłopoty z zatrudnieniem i płacami. Już nie są tak atrakcyjni jak 7—8 lat temu. Przeciętna płaca za pierwsze półrocze br. — 13250 złotych przy średniej w przemyśle 14650 zł nikomu nie jest w stanie zawrócić w głowie. W skali województwa, regionu, bo taka miara jest adekwatna — nie są już konkurencyjni.

No i sen z oczu spędza im to nieszczęsne centralne rozdzielnictwo podstawowych materiałów produkcyjnych. Plany sobie, a przydziały blach, opon, akumulatorów — sobie. Oczekiwanie na rozdzielnik centralny, na realizację przydziałów utrudnia, a często uniemożliwia odpowiednio wcześniejsze dogadanie się z kooperantem, który za niewielką, dolarową pomoc (znów ten nieszczęsny wsad dewizowy...) jest się w stanie wywiązać z dodatkowych nawet dostaw swych wyrobów.

Gdy pytam o najbliższe plany dotyczące modernizacji fabryki, a przede wszystkim samego malucha — twarz głównego specjalisty do spraw planowania zmienia się w zagadkowe oblicze buddyjskiego mnicha.

— Słyszał pan, by jakaś firma na świecie powiadamiała konkurencję i klientów, co zamierza wypuścić na rynek za rok czy dwa? Spuśćmy więc na ten temat na razie zasłonę milczenia. Jedno jest pewne: musimy się rozwijać, fabryka musi się modernizować, ten samochód — co tu ukrywać — jest już przestarzały. Plany są przygotowane — ale czasu pozostało niewiele. Aby osiągnąć za cztery lata planowaną zdolność produkcyjną w ilości 250 tysięcy samochodów rocznie, a te udoskonalać, trzeba na modernizację zakładu przeznaczyć około 30 miliardów złotych.

— A samochód? Mogę tylko powiedzieć, że najbliższe dwa lata przyniosą niewielkie zmiany w wystroju, taki „face lifting" — makijaż. Po 1986 roku przyjdzie czas na większe, gruntowniejsze modernizacje, również wyglądu zewnętrznego. Zmiany generalnie podyktowane coraz ostrzejszymi barierami dotyczącymi bezpieczeństwa jazdy, poprawy funcjonalności, dostosowane do wymogów poszczególnych rynków. Innej alternatywy dla fabryki i dla samochodu nie ma. Zastój w FSM, bez stałej modernizacji, unowocześniania produkcji — to powolna śmierć techniczna zakładu, całej branży motoryzacyjnej...

Pech prześladował mnie tego dnia do końca. Zastanawiając się nad wygospodarowaniem owych 30 miliardów na niezbędny — jestem przekonany — rozwój FSM układałem w głowie dziesiątki danych, którymi zasypano mnie w Bielsku. Światowy monopolista w produkcji modelu 126 (Włosi od czterech lat już go nie wytwarzają), potentat na rynku krajowym — 2,5 proc. wartości całej branży nieżywnościowej, a w towarach ogółem — 1,3 proc., wielkość produkcji w aktualnych cenach zbytu w tym roku — ponad 62 miliardy złotych...

Szufladkowanie przerwał mi podwójny błysk światła w lusterku wstecznym. Z wyciem silnika wyprzedził mnie zielony Fiat 125 p; wystawiony przez okno „lizak" nie wróżył nic dobrego. No tak, złapali mnie na „trafipax". A po paru minutach sympatycznej rozmowy o przyszłości rodzimej motoryzacji i urokach Bielska zaproponowali mandat w wysokości 700 złotych.

Foto: Mirosław Zajdler

Dokończenie

magał się dla Stefana B. kary 6 lat pozbawienia wolności, 400 tys. zł grzywny...

Wysoki Sąd zmienił zarówno w stosunku do Stefana B,. jak i np. Jadwigi K. (3 lata pozbawienia wolności) i Ryszardy U. (1 rok i 6 miesięcy pozbawienia wolności) kwalifikację czynów. Uznano, że Stefan B. *tylko pozornie wydawał się pełnić funkcje związane ze szczególną odpowiedzialnością, gdy tymczasem osobiście mieszkań nie przydzielał, powodując wykonywanie poleceń władz, bądź nadzorując realizacje przydziałów dokumentacyjnie przygotowanych przez innych, odpowiedzialnych (?) pracowników.* Dwie byłe kierowniczki newralgicznego, jak się wydawało, wydziału spółdzielni — działu członkowsko-mieszkaniowego PSM: Ryszarda U. i Jadwiga K. także *wykonywały tylko polecenia i czynności biurowe i nie miały wpływu na merytoryczne decyzje przydziału mieszkań.*

W myśl litery prawa, w myśl zakresu czynności! I w obliczu wadliwej organizacji pracy, zarządzania, kontroli, czy niefunkcjonowania samorządu, tu zwłaszcza spółdzielczego! Bo w praktyce przecież obie kierowniczki wspomnianego wydziału miały do chwili odejścia ze spółdzielni wiążący wpływ na te przydziały, o czym świadczą... właśnie przydziały otrzymywane przez protegowanych, za których korzyści majątkowe podjęły, co przewód sądowy przecież ustalił. A czy faktycznie nie miał wpływu na przydziały mieszkań prezes Stefan B.? Że winno hamować jego samodzielność ciało samorządowe, statutowe — zarząd, a tego nie czynił, bo był fikcją? Kto winien? Że wykonywał polecenia?

Jedno wielkie poplątanie z pomieszaniem w rezultacie wadliwości polityki mieszkaniowej w Piotrkowie panujących...

ŹRÓDŁO

Opinia publiczna, oprócz ludzi bliskich głównemu oskarżonemu Stefanowi B., jak powiedzieliśmy, przyjęła wysokość jego kary z dezaprobatą. Cóż, sąd kwalifikuje rzeczywiste czyny, a nie pomówienia. Nie może się też kierować odczuciami i emocjami ludzkimi. Skąd się jednak bierze źródło dezaprobaty wielu statystycznych piotrkowian? Ze stopu autentycznej wiedzy o Stefanie B. oraz „legend" wokół niego krążących. I to od wielu lat — od czasu, kiedy jako młody człowiek przybył do Piotrkowa ze stanowiska z-cy dyrektora Zakładów Wapienniczych w pobliskim Sulejowie i objął odpowiedzialną funkcję sekretarza ekonomicznego KMiP PZPR.

Były to lata sześćdziesiąte — powiadają — *„lata bardziej w porządku aniżeli te siedemdziesiąte, gdy wielu u władzy uległo fatalnemu procesowi deprawacji, skumotrzenia, skostnienia i oderwania od tkanki życia robotniczo-chłopskiego."* Czy aby zaczęło się to dopiero w latach siedemdziesiątych? Toż już wcześniej funkcjonowała hermetyczność powiatów (piotrkowskie osobno, radomszczańskie osobno, kutnowskie, sieradzkie, wieluńskie — osobno), które tylko nominalnie mówiły o ludowładztwie, w praktyce wdrażając autorytaryzm powiatowych książątek.

Struktura nierespektowalności leninowskich zasad centralizmu demokratycznego stwarzała warunki dla sobiepaństwa, *„socjalizmu w słowach"* przy prywatnym hołdowaniu neomieszczańskości w życiu i bycie. Fakt, jedne charaktery się nie wichrowały, inne bardzo szybko.

W warunkach centralizmu bez demokracji socjalistycznej wzrosło wielu podobnych Stefanowi B. I nie pomoże pana mecenasa Mirosława Olczyka tyrada w czasie procesu (zastrzegał się: *„może to demagogia!"* Właśnie.), a polemizująca z jedną z tez mego pierwszego artykułu na łamach „Odgłosów", iż *„Stefan B. zaliczał się do b. decydentów i to właśnie rzutowało na takie jego a nie inne kierowanie WZSM w Piotrkowie. „Boże, ileż ten kraj ma decydentów!"* — wołał pan mecenas — *Jakiż to decydent, skoro był ubezwłasnowolniony, nie decydował o przydziałach mieszkań w Piotrkowie, ani jednego mieszkania faktycznie nie przydzielił!...*

Fakty dowodzą co innego. Ale wolno obronie tak konstruować strategię obronną, byleby przyniosła skutek w postaci przekreślenia któregoś z zarzutów aktu oskarżenia. Publicysta ma obowiązki o wiele szersze, wykraczające poza akt oskarżenia, poza odniesienie do chwili ostatniej, do zderzenia z paragrafem.

JEDNAK...

Był Stefan B. prominentem. Potwierdzają to owe lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

„Jestem niewinny..."

Proszę sprawdzić, czy troszczył się on zbytnio o opinię publiczną! Nie musiał. Nie musi się podobno, dysponując siłą obsadzania na stanowiskach, możliwością zdejmowania ze stanowisk. A o pracę, zwłaszcza w latach sześćdziesiątych, nie było łatwo. O stanowiska dyrektorskie tym bardziej...

Ot, reporterski obrazek, bo przez reportera zanotowany, choć rzecz jasna, w końcu lat sześćdziesiątych nie do publikowania: zakrapiany obiad po uroczystościach Barbórki w FMG „Pioma" w Piotrkowie *„K... mi dajcie!"* — zakrzyknął niespodziewanie były towarzysz B. najważniejsza za stołami osoba. I ledwo go uspokoili. Jedna z kobiet (nazwisko i adres znane reporterowi i świadkom wydarzenia), oburzona zachowaniem przedstawiciela miejskiej władzy, wstała od stołu i opuściła salę stołówki fabryki. Albo popytajcie żyjącego kierowcę, często późną nocą wracającego ze Stefanem B. z polowań. Opowie o chamskim zachowaniu po wódce...

A sposób „montowania" funduszu reprezentacyjnego! Owo wyznaczanie który z dyrektorów ma co przekazać (kawę, koniak). Dyrektor podpiotrkowskiej fabryki przemysłu chemicznego mgr R., już nie żyjący, skarżył się innemu dyrektorowi, jak to mu B. premie kwartalne przekazywać zalecił na ów „fundusz".

Można by więcej, bo żyją ludzie, mogący w każdej chwili pomnożyć liczbę „zdarzeń". Ale jeszcze mieszkanie, wszak na sprawach mieszkaniowych się główny bohater tej aferki „nadział".

Jedni pośród decydentów wykazywali pełne zrozumienie dla mieszkaniowej niedoli wielu obywateli, inni... Np. Wacław W. najpierw prezydent m. Piotrkowa, później I sekretarz KM PZPR. *Nie* — odpowiedział, kiedy mu zaproponowano polepszenie warunków mieszkaniowych. Wychował dwie córki w dwu pokojach z kuchnią, na 50 m kw., bo — dowodził — *„inni żyją w o wiele trudniejszych warunkach"* Prawda, ale nie ówczesny towarzysz B. On miał w sąsiednim bloku na osiedlu Piastowskim mieszkanie identyczne jak Wacław W., nie posiadał dzieci, ale nie interesowała go opinia publiczna, więc przeprowadził się wraz z żoną do obszerniejszego mieszkania z wygodami, by sekretarzując w Zgierzu, mieć jeszcze lokum służbowe...

Był Stefan B. więc prominentem, bonzą, czy nie był?

ROLA!

Bez trudu można odpowiedzieć innej z trójcy obrońców Stefana B. (pozostałych oskarżonych stać było na jednego adwokata broniącego jednocześnie dwóch, nawet trzech oskarżonych w tym procesie) pani Ilonie Nowakowskiej-Górze dlaczego to oskarżona Jadwiga K. (a ten zwrot obrońców Stefana B.: *„kopać leżącej nie będziemy!"*), aresztowana już w końcu października ub. r. jako jedna z pierwszych, dopiero po trzech miesiącach, w lutym 1983 roku zdecydowała się obciążać swego zwierzchnika.

Obrona, a jakże, wiedziała dlaczego! Bo fingowano „proces rozliczeniowy". *Kiedy się produkuje kasowy film* — zdaniem pani mecenas — *potrzebna mocna rola. Znaleziono więc amanta do takiej roli* — Stefana B. (więc nie był prominentem?!). *Jadwiga K., też inni zaczęli go teraz obciążać, „pod dyktando..."*

A może Jadwiga K. i inni oskarżeni oraz świadkowie zaczęli mówić prawdę o Stefanie B. dopiero wtedy, kiedy ugruntowało się w ich świadomości przeświadczenie, *że nawet tacy, jak Stefan B. nie są teraz bezkarni?* Może właśnie to było powodem, a nie wyimaginowany „proces rozrachunkowy, pokazowy".

„WINNI"

Wszystkiemu winne środki masowego przekazu! Towarzyszyło temu procesowi to wołanie obrony, głównie mec. mec. Olczyka z Łodzi, Nowakowskiej-Góry z Piotrkowa. *Prasa stosuje manipulatorstwo, próbuje wywrzeć presję na niezawisłość sądu, „ostrzelać" opinię publiczną* (mec. Lach z Łodzi). Prawda, zdarzyło się, w komentarzu PAP strzelono gafę, mówiąc, iż w piotrkowskim procesie mieszkaniowym mamy do czynienia z wielomilionowymi nadużyciami, gdy suma „upominków" i „pożyczek" była stanowczo niższa.

Pan mec. Olczyk dobre dwadzieścia minut poświęcił artykułowi niżej podpisanego i... niżej podpisanemu, a to w związku z publikacją pt. *„To będzie kosztować..."* w „Odgłosach". Dylemat: *prominent — nie prominent*, już omówiłem. Może tylko jeszcze od jednego zarzutu się uchylę. Osądziłem przed ogłoszeniem wyroku pisząc, że jeżeli władze, zdarzało się, wywierały wpływ na przyspieszenie przydziału mieszkania, to nie kazały brać łapówek. *„Bo ich Stefan B. nie brał!"* — kontrował korzystając z dobrej akustyki sali rozpraw pan mecenas.

Wysoki Sąd był jednak zdania, że brał. Fakt, trzy tygodnie później wyraził takie zdanie. Od Józefa G. za załatwienie trzech mieszkań dwa razy po 20 dolarów USA (nie przywiązuję już wagi do kawy i koniaków), od Zdzisława A., kucharza motelu „Polichno" kwotę 46 tys. zł oraz urządzenie trzech bankietów, za które Zdzisławowi A. przyszło zapłacić ponad 40 tys. zł.

Dlaczego reporter przed ogłoszeniem wyroku uwierzył dwom „niewiarygodnym" zdaniem obrony, świadkom, a nie oskarżonemu, który się nie przyznał? Ano to tamte „obrazki" z drogi Stefana B. do „sali Macocha" go przekonały, no i jeszcze taki szczegół, jak pozycja petenta w przypadku Zdzisława A. i Józefa G. Przecież to oni byli stroną starającą się, zabiegającą o pozyskanie mieszkań. Prawda, że Józef G. już na procesie „zmodyfikował" zeznania — „pożyczył" te dolary. Stefan B. raczej miał' je oddać, ale nie zdążył, od wiosny 1980 roku...

Nie tylko reportera przekonuje „alkoholowa słabość" Stefana B., właśnie to picie w godzinach służbowych. Picie, nie tylko w jego przypadku, stało się społeczną chorobą i to zaraźliwą, demoralizującą współobywateli" a tym bardziej podwładnych. Chorobą rozkładającą organizację pracy, funkcjonowanie istytucji. Dlatego słowa Stefana B. *„jestem niewinny... proszę o uniewinnienie"* przychodzi wysłuchiwać z żalem, ze zrozumieniem stanu psychicznego i intelektualnego człowieka. Czy jednak aby nie za wielu naszych współobywateli zbyt często dzisiaj, bez tak potrzebnego samokrytycyzmu, recytuje tę formułę?

Apokalipsa według świętego Krzysztofa

ROBERT GLUTH

Myli się oczywiście ten, kto sądzi, że będą tu jakiekolwiek nieprzystojne wycieczki lub uwagi pod adresem Świątobliwego Męża. Jeśli tak można powiedzieć, to ze św. Krzysztofem jestem zaprzyjaźniony od wielu lat, a ściślej rzecz biorąc, darzę go wielką estymą. Pamiętam, że jako kilkuletnie pacholę w koszmarnych czasach sanacji, w willi letniskowej swojego dziadka — wysokiego urzędnika magistratu krakowskiego — w Myślenicach po drugiej stronie Raby, zauważyłem starodawną a piękną litografię, przedstawiającą bardzo chudego mężczyznę przenoszącego przez potok górski utrudzonego wędrowca.

— To właśnie jest św. Krzysztof — powiedział dziadek — jest on patronem wszystkich podróżnych.

Nie przewidziałem, że po przeszło pół wieku zetknę się z czterokołowymi, dosyć smrodliwymi maszynami, którymi nie tylko podróżować będę od czasu do czasu, ale będącymi celem marzeń wielu, wielu moich rodaków. A trzeba przyznać, że zmodernizowane wizerunki św. Krzysztofa zdobią wiele wnętrz tych pojazdów.

Od razu chciałem wyjaśnić, że nie jestem wrogiem motoryzacji, że z całą sympatią odnoszę się do kierowców, którzy w orgii nie kontrolowanego ruchu polecają się nadprzyrodzonej opiece... Krótko mówiąc, moje uczucia są nader ambiwalentne, gdy przystępuję do pisania niniejszego raportu.

CO JEST W RUCHU!

Kierownik Wydziału Komunikacji Urzędu Miasta należy do tego rodzaju urzędników, którym tylko zdecydowany idiota jest w stanie zazdrościć. Jest to stanowisko podobne do funkcji rzecznika prasowego rządu, któremu jakiś debil z Agencji Dobermann zadaje pytanie, czy to prawda, że w głodującej Polsce nagminnie zjada się psy. Mniejszym — ale również idiotą — był bez wątpienia wasz sprawozdawca, gdy zadawał szereg kłopotliwych pytań. Z odpowiedzi wynikało, że w chwili obecnej na terenie Łodzi zarejestrowanych jest 13.000 pojazdów mechanicznych (to znaczy bez jakichś tam motorowerów itp.). Wydział Komunikacji zdaje sobie sprawę z tego, że w czasie 5 dni w tygodniu dochodzi przynajmniej drugie tyle wozów z przeróżnymi rejestracjami WA, KT, PT, SK itd., itd. To wszystko w godzinach szczytu powoduje w wąskich uliczkach Łodzi straszliwy smród. Wystarczy, dajmy na to, przyjechać z wczasów, aby momentalnie człowieka rozbolała głowa, gdy zetknie się już z peryferiami naszej ukochanej aglomeracji. Ktoś powie, że taki problem jest ogólnoświatowy. A tymczasem, nie. Zabudowa Łodzi może być porównana chyba tylko z Bielskiem-Białą. Wąskie ulice, kaniony wysokich kamienic, praktyczny brak tras przelotowych o gabarycie odpowiadającym wymogom wzmożonego ruchu — a jeżeli do tego dołączymy liczne skrzyżowania, konieczne podporządkowania ulic, a co za tym idzie — przymusowe korki i nagłe hamowania, to wszystko przy nieumiejętnym spalaniu etyliny bądź oleju pędnego daje efekt straszliwy.

Informacja Instytutu Medycyny Pracy podaje mi najgroźniejsze trucizny wydychane przez rury wydechowe samochodów. Są to czteroetylek ołowiu, tlenki azotu oraz popularny czad, czyli tlenek węgla. Wśród tych trucizn czteroetylek ołowiu nie ulega w ogóle spalaniu, natomiast przy wolnej jeździe, względnie działaniu motorów w trakcie postoju, tlenek węgla i tlenki azotu wydzielają się w kilkakrotnie większej dozie, aniżeli przy jeździe szybkiej. Stąd wypadki omdleń na skrzyżowaniach.

Co robi Wydział Komunikacji? Stara się stworzyć jak największą ilość ulic jednokierunkowych, wciąż marzy o tzw. zielonej linii przelotów sygnalizacyjnych, ustala zakaz wjazdu samochodów powyżej 5,5 tony ładowności i traktorów, szczególnie w zaciśniętych i przeładowanych miejscach, kieruje tranzyt wielkich ciężarówek gdzie się tylko da — tylko gdzie można na dobrą sprawę, gdy szosa tranzytowa Warszawa — Gdańsk i Katowice — Wrocław rypie sobie środkiem miasta. To wszystko jednak nie stanowi głównej treści mojej relacji — jest po prostu zarysem tego, do czego przywykliśmy, jak do wypadków drogowych, jak do emisji trujących pyłów. Krótko mówiąc — normalka.

WIECZÓR, NOC, DNI POWSZEDNIE

Wymienione w śródtytule okresy czynią z Łodzi wielki, ponury parking. Nie parkuje się już w jakichś tam miejscach wyznaczonych, bo jest ich tyle, co kot napłakał, a wszystkie wypełnione po brzegi. Parkuje się, stawiając ukośnie, samochód przy samochodzie, żeby tego wszystkiego więcej weszło, na połowie jezdni, na chodnikach, w podwórzach domów, na trawnikach nowych osiedli — ktoś zażartował, że niedługo parkować się będzie w klatkach schodowych. Ale jest to żart ponury.

Przeprowadziłem swoim zwyczajem ankietę, co do której wyniku właściwie byłem pewien. Na odcinku od Piotrkowskiej do Wschodniej zadawałem kierowcom przy ul. Narutowicza to samo pytanie:

— Jak pan sądzi, co z tym wszystkim będzie za dziesięć lat?

Odpowiedzi brzmiały:

— Wszystko to, kochany panie, trafi szlag.

Jeden kierowca odpowiedział, że nie jest w humorze, a jeden zażądał ode mnie... legitymacji milicyjnej.

Już teraz Piotrkowska, ulica która najbardziej rzuca się w oczy, od późnych godzin wieczornych, przez całą noc jest ogromnym parkingiem, po którym poruszać się niebezpiecznie, ponieważ kierowcy, widocznie sądząc, że to przestała być pryncypalna ulica, ruszają nagle jak zwariowani, używają sygnałów dźwiękowych, awanturują się. Ale Piotrkowska to jest „małe piwo". Najstraszniejszy obraz przedstawiają boczne ulice i nie należy się wcale dziwić, iż uczyniono je jednokierunkowymi, ponieważ połowę jezdni zajmują parkujące wozy. W tej sytuacji furgonetki i ciężarówki dostawcze, bez żadnej żenady wjeżdżają na chodniki już tak wąskie, że w trakcie nieustannych dostaw towarów nie można praktycznie przejść.

CZYM SĄ ŁÓDZKIE PODWÓRZA

Kiedyś Rada Narodowa m. Łodzi wydała uchwałę, której nikt na świecie nie uchylił, że parkowanie samochodów w obrębie posesji jest wzbronione. Ta uchwała została brutalnie podeptana — co gorsza — podwórza czynszówek stały się zwyczajnymi zakładami remontowymi, gdzie każdy w swoim zakresie przeciąga kable elektryczne z okien mieszkań, wali młotkami, rozbiera na czynniki pierwsze mechanizmy silnikowe. Wiadomą rzeczą jest, że prywatni właściciele posesji oraz tzw. gospodarze domów państwowych otrzymują odpowiednią „dolę" za panoszenie się posiadaczy wozów. Niejednokrotnie do późna wieczór słychać odgłosy „warsztatowe", trzaskania drzwiczek, próbne zapuszczania motorów. To ostatnie jest już występkiem, jeżeli nie przestępstwem. Nikt nie obliczył o ile skróciło się życie mieszkańców parterów i pierwszych pięter, a szczególnie dzieci, które przez całe lato od czasu do czasu znajdowały się w swoistych komorach gazowych. Tu wrócę do przypomnienia najbardziej niebezpiecznych trucizn wydzielanych właśnie w warunkach postojowego uruchamiania motorów.

APOKALIPSA

Według danych Wydziału Komunikacji, w Łodzi przybywać będzie rocznie 7—8 tysięcy tylko samochodów osobowych. Jest to odpowiedź na moją nieudaną ankietę wśród kierowców. Rzeczywiście, nastąpi pandemonium.

A błąd popełniono w zarodku: w planowaniu przestrzennym, w budowie nowych osiedli bez garaży, w niezaplanowaniu parkingów. Najgorszą sprawą — za którą Łódź ciężko zapłaci, jest brak obwodnic, które przyjmowałyby cały ruch tranzytowy, ale również część ruchu miejskiego.

ŚRÓDMIEŚCIE — WIELKI PYTAJNIK

No, co robić ze Śródmieściem? Rozwalać substancję mieszkaniową, poszerzać ulice? Nonsens. W czasie, kiedy któryś z naszych członków rządu czy polityków oświadczył mądre zdanie, że sprawa mieszkań jest najważniejszym problemem politycznym kraju? Wówczas, gdy ogromna ilość kamienic łódzkiego śródmieścia stanowi przedmiot zainteresowań konserwatorów jako obiekty zabytkowe? W czasie, gdy ludzie czekają po kilkanaście lat na mieszkanie?

A więc same pytajniki. W Wydziale Komunikacji poinformowano mnie o jakichś próbach doświadczalnych w Poznaniu. Nie znam tych prób. Fachowcy łódzcy zapoznają się z nimi na bieżąco.

Istnieją natomiast dwa warianty znane na świecie. Wariant amerykański — a jak wiadomo w USA prawie całość transportu, zarówno osobowego, jak i towarowego, odbywa się samochodami — istnieją siecie obwodnic, pozwalających całkowicie prawie ominąć centra metropolii. Wariant skandynawski jest pozornie bardziej brutalny. Ale proszę zauważyć, że Sztokholm jest jedyną stolicą świata posiadającą status uzdrowiska. W krajach nordyckich po prostu wjazd samochodami do głównie zabytkowych, ale i posiadających wąskie ulice stref śródmiejskich jest po prostu zabroniony.

W wielu wypadkach reporter, kończąc swój raport, podaje przynajmniej częściową receptę. W tym wypadku wasz sprawozdawca jest całkowicie bezradny. Wiem, że za lat parę czeka nas — całą aglomerację łódzką — apokalipsa. Nie widzę żadnej rady. Opisuję stan rzeczy. Ilość pojazdów mechanicznych za dziesięć lat zrujnuje nasze miasto, o ile, oczywiście, przynajmniej jakimiś półśrodkami nie zapobiegnie się katastrofie. Jesteśmy miastem o największej chyba ilości pionowych znaków drogowych, o najdzikszym bodajże zachowaniu się części właścicieli „czterech kółek", miastem, w którym podeptało się na oczach wszystkich władz uchwałę Rady Narodowej i uczyniono z życia mieszkańców, zarówno starego budownictwa, jak i nowych bloków piekło wynikające z hałasu i emisji trucizn w gigantycznym stężeniu z racji tysięcy „majsterkowiczowskich" warsztatów, z których każdy obsługuje najukochańsze cztery kółka właściciela.

Jak rozwiązać rozwiązane?

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Od 21 lipca 14 tysięcy dusz profesji zbliżonych, interesów — teoretycznie zbieżnych, celów — w założeniu — wspólnych, egzystuje w dosyć dokładnej rozsypce.

Rozpamiętywanie dlaczego owe 14 tysięcy nie doczekało 40-lecia swojej organizacji wydaje mi się teraz nie na czasie. Kiedyś nadejdzie zapewne ten moment właściwy, aby dokonać pełnej analizy przyczyn, które spowodowały rozpad Związku Polskich Artystów Plastyków. Bowiem wydarzenia — zresztą wymieniane publicznie wielokrotnie, powtarzanie jest więc chyba zbędne — których rezultatem stało się rozwiązanie ZPAP, to jedynie wierzchnia warstwa.

Pewne sprawy trzeba jednak przypomnieć, choćby po to, aby pełniej ogarnąć spadek po organizacji plastyków wyrażający się tym, że po rozwiązanym związku pozostało wiele nie rozwiązanych problemów. Można nawet pokusić się o stwierdzenie, że po likwidacji ZPAP związków, możliwości wyboru tego, a nie innego stowarzyszenia; można również spodziewać się renesansu podziału na „sztukę użytkową" i „sztukę czystą", rozróżnienia sprzyjającego konfliktom i podziałom na artystów gorszych — „użytkowców" i lepszych — tych od sztuki czystej. Nie na wyrost są obawy, iż urzędy terenowe i centralne mogą się poczuć zwolnione z zobowiązań, jakie niegdyś poczyniły wobec ZPAP — wierzyciel przestał istnieć — długu nie ma.

To są realne zagrożenia, które w nie najgorszym układzie mogą mocno okaleczyć dotychczasowy dorobek środowiska, jak i ograniczyć jego zdobycze.

Wprawdzie obecność artystów w Narodowej Radzie Kultury, w ogniwach Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego — wciąż jeszcze zbyt moim zdaniem skromna, rokuje pewne nadzieje, że wiele spraw, którymi powinien był zajmować się ogólnopolski związek plastyków nie pozostanie jedynie w dawno zapisanych uchwałach, o których od czasu do czasu sobie przypominamy, żeby je znowu odłożyć na „lepsze czasy".

Niemniej, ani Narodowa Rada Kultury, ani szeroka reprezentacja społeczna, jaką utożsamia PRON, tym bardziej inne organizacje społeczne czy polityczne nie są w stanie w pełni zastąpić głosów i opinii środowiska plastyków. Zauważyć przy tym trzeba, że rozbicie na drobne stowarzyszenia zapewne nie ułatwi politycznej i światopoglądowej konsolidacji artystów. Bije to w każdą orientację po równi. Przyjdzie więc rozważyć tę kwestię. Zwłaszcza w odniesieniu do artystów — członków PZPR. Organizacja partyjna działająca przy byłym ZO ZPAP w Łodzi nie jest przecież już tą organizacją co niegdyś. Podobnie jest i w innych siedzibach dawnych okręgów. Nie wiem czy słuszniejszy będzie wariant wielu POP związanych z poszczególnymi stowarzyszeniami, czy też powinny one integrować twórców z różnych związków. Stopień politycznego zorganizowania środowiska plastycznego jest stosunkowo niewielki. Przyjęty wariant politycznego zespolenia musi uwzględniać tę niekorzystną nowo powstałą sytuację. Zarysowałam ją na przykładzie PZPR, bo tu występuje ona najostrzej, ale — jak zauważyłam — dotyczy ona nie tylko tej orientacji politycznej.

Tego rodzaju wątpliwości i związane z nimi pytania można by mnożyć. Wskazałam tylko nieliczne — jak przypuszczam — podstawowe. I nie dlatego, żeby je tutaj rozstrzygać. Pełnej i rzetelnej odpowiedzi można się bowiem spodziewać jedynie od samych zainteresowanych, czyli plastyków, a i to — jak sądzę — jeszcze nie dzisiaj, kiedy stanowiska poszczególnych grup nie zostały skrystalizowane ostatecznie. Wiele w tym zależeć będzie także od praktyki działania nowych stowarzyszeń, a nie tylko od układów organizacyjnych.

Chodzi przede wszystkim o to, że te pytania i wątpliwości są, i że w końcu trzeba będzie na nie odpowiedzieć, im wcześniej zresztą, tym lepiej.

Bodaj wszyscy, którym zależy na rozwoju sztuki polskiej, na jej znaczeniu nie tylko za granicą, ale przede wszystkim w kraju, chcieliby, aby organizacyjne przepychanki nie przysłoniły istoty działań środowiska plastycznego, jego służebnej wobec społeczeństwa roli.

Atoli wymuszony pośpiech w odbudowie więzi organizacyjnych w środowisku plastyków nie byłby — sądzę — najlepszym ojcem dla kompleksu spraw, które wymieniłam; jednak też zbytnie zwlekanie nie będzie sprzyjać sprawie sztuki, tak samo jak i sprawom samych twórców. O tych ostatnich nie wspomniałam dotychczas ani słowem. Problemy socjalno-bytowe, w tym i zaopatrzenia materiałowego, nie są wcale mniej ważne od tych zagadnień, które wymieniłam. Pominęłam je jednak świadomie, jakkolwiek samym twórcom może to się wydać krzywdzące. Ale w nowej sytuacji wydają się one najprostsze do uregulowania. Przy tym nie idzie mi o środki, materialne możliwości, zależą one bowiem od stanu całej gospodarki kraju. Są te sprawy najprostsze do uregulowania w sensie czysto technicznym, organizacyjnym. Ich niewątpliwe znaczenie dla dobrego samopoczucia twórców nie powinno jednak przysłaniać spraw niejako nadrzędnych. Poprzez ich właściwe rozumienie, a zatem i usytuowanie w hierarchii problemów o randze ogólnonarodowej uzyskamy przecież także należną środowisku jego pozycję w społeczeństwie, jak też warunki życia i pracy tegoż środowiska.

Są to stwierdzenia dosyć banalne. Tylko, że przyszłość, którą teoretycznie dosyć prosto jest charakteryzować, w praktyce klaruje się trudniej i wolniej. Nadal brakuje bowiem w środowisku wyraźnej przewagi zdecydowanych postaw, aby rozpoczętą — być może inną niż sobie wielu wyobrażało — drogą pójść dalej, traktując ją jako służebną wobec nadrzędnych celów.

Powtórzę tu jeszcze raz: w spadku po ZPAP pozostało wiele niepodważalnych osiągnięć, ale też ostatnie więcej niż dziesięciolecie zaowocowało licznymi niekorzystnymi zjawiskami w życiu sztuki i z nich zrodziła się mnogość problemów do dziś nie załatwionych. Skrystalizowały się też nowe zagadnienia, które w zmienionej sytuacji będzie można zapewne lepiej rozstrzygnąć niż w dawnym układzie monolitu — czasami bardzo problematycznego — dawnego związku.

Stąd właśnie tytuł: jak rozwiązać rozwiązane? — pozostałość po byłym ZPAP.

wystąpiły one ostrzej, widać je lepiej, niż wówczas kiedy związek jeszcze istniał i działał.

Postaram się te problemy wymienić, aby jednak nie zaprzepaścić wspomnianej ostrości ich postrzegania, konieczne jest ukazanie tła — warunków w jakich przyjdzie je rozstrzygać.

Rozwiązanie wspólnej dla wszystkich plastyków organizacji było próbą zahamowania niebezpiecznego — lepszym określeniem byłoby chyba: groźnego — procesu wewnętrznego rozbicia środowiska, jak i równolegle z tym powstającego przeciwstawiania tegoż środowiska społeczeństwu. Była to próba, gdyż dopiero przyszłość pokaże czy likwidacja dotychczasowej formuły organizacyjnej przyczyni się do stworzenia nowego, zgodnego z wymogami czasu, modelu funkcjonowania plastyki w naszym kraju.

Ta przyszłość już staje się teraźniejszością. W Warszawie działają od niedawna dwie organizacje: Związek Artystów Rzeźbiarzy i Związek Grafików Użytkowych. Wydaje się, że fakty te przesądzają o charakterze nowego zorganizowania się środowiska. Jest to bowiem niejako narzucenie innym grupom licznych rzesz plastyków podziału na związki według twórczych dyscyplin, podziału według miejsca działania.

Taka właśnie formuła nie jest wyrazem od dawna narastających wśród wszystkich plastyków dążeń. Różne bowiem postawy ujawniły się po likwidacji ZPAP. W niektórych środowiskach nie najliczniejszych i nie najsilniej zdominowanych przez rzeczników opozycji, tak było między innymi w Łodzi, artyści chcieli utrzymać jedność grup twórczych.

Wyprzedzili ich „branżyści", gdyż dwa związki o takim właśnie charakterze — jak już wspomniałam — są faktem. I gdyby teraz wprowadzić na zasadzie swoistej konkurencji model ogólnośrodowiskowy, skutek — jak sądzę — byłby raczej żałosny. Pomieszanie struktur organizacyjnych stworzyłoby bowiem bałagan blokujący jakiekolwiek stosowne działania środowiska jako całości w kraju, ale przede wszystkim uniemożliwiający skuteczne funkcjonowanie państwowego mecenatu nad sztukami plastycznymi.

Zgódźmy się więc, że skoro powiedziano „a" — trzeba konsekwentnie dopowiedzieć alfabet do końca.

Toteż można się spodziewać, iż następstwem powstania dwóch branżowych związków plastyków, a dokładniej już pierwszego — Związku Rzeźbiarzy, będzie tworzenie podobnych organizacji w innych miastach czy też regionach, że życie podpowie konieczność zespolenia poczynań nowych związków najpierw na wspólnym terenie określonym w statutach, później zaś wyłoni się zapewne jakaś jednocząca środowisko reprezentacja krajowa. To nie jest wróżenie z fusów. To logiczne następstwo powstania pierwszego „branżowego" związku plastyków, który będąc samodzielnym, niejako dyktuje ponowne scalenie się środowiska na zasadach autonomii grup twórczych reprezentujących poszczególne dyscypliny.

Ten przewidywany docelowy system nie zrodzi się jednak w ciągu paru dni. Potrzeba będzie na to, dobrze jeżeli tylko, miesięcy. Proces ten może bowiem potrwać również i kilka lat. A nie może to być czas próżni z odłożonymi na „lepsze czasy" sprawami współdziałania środowisk plastycznych z władzami administracyjnymi i politycznymi, uczestniczenia w kształtowaniu polityki kulturalnej, insprowania państwowego mecenasa, popularyzowania sztuki w społeczeństwie, czy wreszcie, nauczania plastyki, kształcenia twórców, rozwijania krytyki plastycznej. Po ZPAP pozostał w tym zakresie ugór, może z nielicznymi lokalnymi wyjątkami. Nie należy jednak interpretować tego w ten sposób, iż winę za ów stan rzeczy ponoszą jedynie plastycy. W orbicie tych problemów tkwią bowiem również rzesze działaczy kultury, urzędnicy od gminnej do ministerialnej rangi i przede wszystkim politycy.

Czy niezależność nowo powstających organizacji skupiających artystów poszczególnych dyscyplin będzie sprzyjać rekultywacji tego ugoru, o którym wspomniałam? Dziś chyba nikt nie pokusi się o jednoznaczną odpowiedź na to pytanie. Za dużo mamy niewiadomych. Nawet naszkicowany tu model organizacyjny dla środowiska plastycznego, gdyby go rozwinąć, straciłby na klarowności. Bowiem „branżowy związek plastyków" jest w dzisiejszej dobie tworem bardzo trudnym do ostrego zdefiniowania. Płynne są podziały pomiędzy poszczególnymi dyscyplinami sztuk plastycznych, jak również stosunkowo niewielu jest twórców o wąskich kierunkowych zainteresowaniach. Jawi się więc problem kryteriów przynależności do

Ucieczka ze świata kultury

1.

Młody człowiek napisał kiedyś scenariusz filmowy. Przesłał go do przeczytania Jerzemu Andrzejewskiemu, który teksty początkujących autorów czytywał ponoć chętnie. Andrzejewski ze scenariuszem się zapoznał, ale odpowiedzi nie udzielił. Po jakimś czasie odnotował jedynie w „Grze z cieniem" streszczenie. I ono właśnie, umieszczone na okładce powieści Andrzeja Barta-Sołtysiaka (bo scenariusz przemienił się tymczasem w powieść) zachęca do lektury.

2.

Zachęcam i ja do lektury tego interesującego debiutu. Główną jego zaletą jest wielka zręczność stylistyczna, która prowadzić może tylko w jednym kierunku, w kierunku pastiszu. Tak właśnie odbieram powieść Andrzeja Barta-Sołtysiaka: poprzez umiejętne, dyskretnie kpiące, naśladownictwo pewnej mody literackiej osiąga on zamierzony dystans wobec wszystkiego, z czym styka się jego bohater. A styka się ze snobizmem, demonstrowanym w całej pełni — od form prostackich po najbardziej wyrafinowane. Wartka, obfitująca w mniej lub bardziej wymyślne przygody, akcja pozwala umieszczać bohatera powieści, niezwykle utalentowanego, przemyślnego i przewrotnego młodzieńca, Marka Trzaskę, w coraz to innych środowiskach i sytuacjach. Sprzyja to demaskowaniu miałkości życia oraz jego brutalności (ta ostatnia wynika na równi z obserwacji rzeczywistości, co i z potrzeby zastosowania konwencji znanych z utworów o tzw. silnych ludziach). Mit przygody realizowany jest w „Człowieku, na którego nie szczekały psy" konsekwentnie: wszelkie tarapaty wiodą bohatera ku nieoczekiwanemu finałowi. Klamra spinająca powieściowe zdarzenia zamyka się — młody człowiek dotkliwie przegrywa. Ale to chyba jedynie pozór. Odrzucając fałsz, zakłamanie, oddalając się w panicznej ucieczce od snobistycznych wartości, bohater tej powieści zachowuje rzecz najważniejszą — poczucie własnej tożsamości, co i raz wystawiane dotąd na pokuszenie przez różne wcielenia seksu, mamony i łatwego sukcesu.

3.

Gęba, którą tu każdy każdemu stara się przyprawić, jest gębą zastygłą w ironicznym uśmiechu. Pojawia się wszędzie, jak serla plakatów towarzyszących jakiejś imprezie. Bo też proza Barta-Sołtysiaka nastawiona jest na pewną ilustracyjność tezy o nieautentyczności postaw wykształconych przez kulturę. Kreując swego bohatera na symbol niemalże autentyczności przydaje mu autor tyle przymiotów, iż Marek Trzaska mógłby z powodzeniem zagrać główną rolę w jednoaktówce pt. „Lis filozofem", o której rozmawiają młodzi adepci sztuki; trudno doprawdy rozpoznać, czy więcej w nim lisa czy też filozofa.

4.

Odrębnym niejako wątkiem nazwać można wszystko, co wiąże się z twórczością Juana Manuela Villariego, gwiazdy pierwszej wielkości (stworzonej na doraźny powieściowy użytek), którego twórczość stała się światowym przebojem. Człowiek, który postawił na głowie całą światową dramaturgię i prozę, to doskonały pretekst do pokazania niebezpieczeństw związanych z rozpanoszeniem się mody w sferze kultury. Sztukę Villariego „Cave canem" (Strzeż się psa) wystawia znany aktor i reżyser, Keller (czyżby aluzja do „Miazgi"?), w opowiadaniu Villariego „Człowiek, na którego szczekały psy" zaczytuje się duchowa i erotyczna przewodniczka Marka, w życiu zawodowym profesor Instytutu Teatralno-Filmowego. Przy okazji mamy do czynienia jakby z parodią prozy latynoamerykańskiej, którą pani profesor potrafi zachwycić się jak niczym innym.

5.

Bohater „Człowieka, na którego nie szczekały psy" pragnie zostać aktorem i życzeniu temu podporządkowuje wszystkie swe poczynania. Uważa, iż zawód ten daje swoistą władzę nad ludźmi, potrafi niekiedy rzucić tłum na kolana, sterować myślami i uczuciami. Być może z myślą o przyszłych sukcesach stara się młody człowiek być aktorem w życiu. Aktorstwo nie pozostaje jednak w zgodzie z jego naturą, stąd brak powodzenia. A może bierze sobie po prostu do serca przestrogę, w myśl której „powołanie do bycia każdym może okazać się powołaniem do bycia nikim"? Przecież kolejne wcielenia nie doprowadziły go do niczego. Jego inteligencja zwyczajnie marnuje się. Jego energia zmienia na manowce. Wydawało mu się, że kierował swymi krokami, podczas gdy w rzeczywistości był reżyserowany. Smutne to. Tym smutniejsze, iż nawet psy nie chciały na niego szczekać. Dlaczego? Przypomina się Grochowiak: „Są bo na świecie ludzie tak wymyci..." Świat kultury, w jaki wkroczył bohater powieści Andrzeja Barta-Sołtysiaka okazał się zbyt jałowy, sterylny. Pozostała więc jedynie rejterada. Czy słusznie?

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Andrzej Bart-Sołtysiak: „Człowiek, na którego nie szczekały psy". Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1983, s. 122, nakład 29.650 + 350 egz., cena zł 60.—

Odmienne stany świadomości

Napisał ktoś, że schizofrenia i szaleństwo są charakterystyczną dla naszych czasów modą. Jest w tym stwierdzeniu sporo racji, wystarczy przypomnieć, choćby u nas, niezdrową popularność „Obłędu" Krzysztonia, wokół którego niepotrzebnie narosła góra mitów, publikacji prof. Kępińskiego, czy takich filmów, jak „Lokator" Polańskiego i „Lot nad kukułczym gniazdem" Formana. Cytowana wypowiedź była zapewne przejawem zaniepokojenia, iż ten — jakby nie było — poważny problem traktowany jest na równi z UFO i różdżkarstwem. Jednak nie jest to chyba tylko i wyłącznie moda. Świat w którym żyjemy jest sam jednym wielkim szaleństwem i mówić by tu raczej należało o naturalnym odwróceniu zainteresowania ku własnemu wnętrzu, ku najgłębszym warstwom własnej psychiki, świadomości i podświadomości.

Zwrot ten widoczny jest również — a może szczególnie w SF. Fantastyka naukowa już dawno przestała być „naukowa", a tzw. „inner-space" to obecnie chyba jej najbardziej ceniony podgatunek.

„Odmienne stany świadomości" Kena Rus..., które weszły już na nasze ekrany to właśnie film, który doskonale charakteryzuje zainteresowania twórców i jeszcze bardziej, jak sądzę, widowni. Mamy w nim do czynienia z „opętanym" naukowcem, który za wydarcie Naturze Prawdy gotów jest oddać swe życie (jest nawet przez bohaterkę porównany do Fausta Goethego), a swe cele osiąga przez przyjmowanie środków psychotropowych, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok coraz bardziej zagłębiając się w swym własnym świecie. I nie jest to już tylko świat schizofrenika, Eddie, nasz bohater, jednoczy się z Praenergią, łączy swą świadomość z Absolutem, a jego ciało stanowi część Wszechświata.

Wpływ jogi, koncepcji Nirwany? Zapewne tak, szczególnie ze względu na wyjałowienie hinduskiej filozofii z wpływów religijnych. Eddie jako małe dziecko jest niezwykle pobożny i miewa często widzenia świętych, aniołów... Śmierć ojca w straszliwych męczarniach pozbawia go wiary, czyni nieodwracalnie ateistą. Odtąd poszukuje Prawdy na własną rękę, bez pomocy Boga, sam nim niekiedy będąc dla siebie i otoczenia. W wizjach dominują teraz obrazy-symbole zerwania z Bogiem, płonąca Biblia, czy ofiarny kozioł z pogańskiego obrządku, którego krew ma na ustach sam Eddie.

„Odmienne stany świadomości" to również wyzwanie rzucone współczesnej nauce, zinstytucjonalizowanej, zbiurokratyzowanej, niezdolnej do rozwiązania (a może najchętniej rozwiązaniu z obawy przed utratą wpływów) wielu zagadek dotyczących naszego życia. Czy mamy szacunek dla profesora uniwersytetu, który swe tezy udowadnia nie wynikami badań, a listą swych tytułów i funkcji?

Właściwie idee twórców filmu mogą zasługiwać na uznanie i zasadne byłoby porównanie „Stanów" do szczytowych osiągnięć gatunku. Jednak czasami w drodze od idei do efektów wiele wartości się gubi, bądź dewaluuje. Szkoda, że stało się tak również i w przypadku omawianego obrazu. Trudno jednak traktować poważnie film, w którym sekwencje z poważnymi, „uczonymi" dialogami oraz przedstawionymi serio i przekonywająco symbolicznymi wizjami, przeplatane są komediowymi (przynajmniej w końcowym efekcie) wstawkami, w których Eddie w łóżku ze studentką zamienia się w goryla albo, już jako stuprocentowa małpa, biega nago po Bostonie. Szczególnie razi zakończenie ostatniej sceny. Kiedy Eddie porwany przez Energię Wszechświata (cudne, komputerowe tricki a la „2001: Odyseja kosmiczna") wraca do swojego normalnego stanu świadomości, w kadrze, po pełnych emocji i napięcia zdjęciach, pojawia się wielka, goła pupa jego małżonki, która wyrwała go z objęć Absolutu. Żeby było śmieszniej, wyrwała go nie inaczej, jak siłą swej Miłości (toć Mniszkówna w kosmosie!).

Film godny jest jednak obejrzenia i to nie tylko jednorazowego. Bronią go bowiem nie tylko doskonałe technicznie zdjęcia, ale i to, że pozwala chwilę zastanowić się nad naszą egzystencją, jej źródłem, celem, istotą. Pobudzając zaś do refleksji osiąga swój cel — po projekcji nie ulatuje z głowy, jak „Gwiezdne wojny", a tkwi w naszej świadomości i uczy innego, szerszego spojrzenia na świat i ludzi.

Czy rzeczywiście schizofrenia i szaleństwo są tylko modą naszych czasów? To pytanie pozostawiam otwarte. Ale nawet jeśli to moda, to taka, która sprawią, że życie nabiera barw. I sensu.

ROMUALD SZOKA

Zdrowie

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

— Doktór cię leczy ziołami? Rozumiem, ziołami, które ci przysyła z Tybetu.

— Prawdziwy cudotwórca — mówiłeś o doktorze niegłośno, żeby nie nadwerężać gardła. Twój szept wsiąkał w ciszę pokoju i rozwiewał się jak dym. Drugą wychudłą dłonią, ledwie nie przejrzystą, jak ręce męczenników na świętych obrazach, zakreśliłeś w powietrzu delikatny gest i uśmiechałeś się łagodnie śmiechem szczęścia. — Prawdziwy cudotwórca — powtarzałeś.

Wiem, że optymizm twój był nieuzasadniony, ale nie chciałem się pozbawiać nadziei i potakiwałem gestem głowy, odgrywając żałosną komedię człowieka wierzącego w skuteczność ziół tybetańskich.

Siedzieliśmy we dwóch, ty i ja, o szarej godzinie zbliżającego się zmierzchu. Widziałem twoją twarz, wycieńczoną, i pożółkłą, i oczy gorejące chorobliwym lśnieniem. Siedziałeś w głębokim, wysokim fotelu, owinięty po pas grubym pledem i w serdaku zakopiańskim, z rękami na poręczach. — Przyjmuje chorych nie inaczej — mówiłeś o swoim lekarzu — nie inaczej, jak od rana do trzeciej.

— Na czczo. Rozumiem! To jest sławny konsyliant. Wyleczy się z pewnością — kłamałem wstydząc się samego siebie, ale nie mogłem przecież upewnić go, że wyzdrowieje. Zacząłem mówić prędko i dużo, żeby przerwać żenujące milczenie.

Okna zaróżowiły się od blasku zachodzącego słońca, a za nim zaróżowił się nocny stolik przy oknie, mały ołtarzyk ampułek zdrowia. Zaróżowiła się też naga sosnowa deska, umocowana prostopadle, jak ściana, u wezgłowia łóżka. Umieszczono ją tam, ponieważ sypiasz w pozycji siedzącej. Nie chcąc się zdradzić z wrażenia, jakie wywarł na mnie twój wygląd, po długiej chwili powiedziałem:

— Spójrz, jaki piękny pejzaż. Zimą pojedziesz w góry.

Spojrzałeś na mnie zgorszony i zaprzeczyłeś: — Serce! — Sięgnąłeś po szklankę.

Gotów byłem uwierzyć, że jesteś chory, gdy sięgnąłeś po szklankę z lekarstwem. Któż lepiej niż ty rozumie powagę chwili, w której przyjmujesz lekarstwo. Niech ci idzie na zdrowie, przyjacielu!

Połapałem się, że powiedziałem za dużo, zląkłem się, żeby nie przejrzał ukrytych celów mojej paplaniny i przestałem mówić. W mroku ujawnia się coraz wyraźniej rubinowy odblask lampki oliwnej. — Dochodzi szósta, muszę już iść — mówię. — Narzeczona czeka na mnie.

— Kłaniaj się ode mnie — szepczesz.

Całuję cię na pożegnanie, czując mdłą ciepłotę, która z ciebie emanuje i ogarnia mnie niepokój. Odchodzę.

Podnosząc nieznacznie głos dziękujesz mi za książki.

— Nie męcz się, proszę. Następnym razem przyniosę nowe.

Trudno mi uwierzyć, że odgłos zamykanych drzwi oznacza linię naszej granicy: twojej choroby i mojego zdrowia. Co za szczęście! Czy to ja idę ulicą? Czy to ja wchłaniam hausty chłodnego powietrza? Jakże ci współczuję, chory przyjacielu, i jakże się litуję nad tobą. Moje współczucie przemienia się w smutek, a smutek w niechęć. Jak gdyby to była twoja wina, że jesteś chory. Smutek i żal w niwecz obracają moje radosne obrazy życia i nie pozwalają myśleć o tobie inaczej, niż jak ze łzami w oczach. Ale oto wiatr otarł ze mnie łzy... Niechęć i bunt znów prężą się przeciwko tobie. Buntuję się wszystką mocą mojego zdrowia. I weselę, i pysznię, i skaczę na ulicy jak dzikus, i odbijam się piętami od chodnika patrząc na różowe obłoki na niebie, i wołam: — Zdrowie! Zdrowie!

Spotkałem narzeczoną, czekającą na mnie w parku. Opowiedziałem jej o tobie. Wysłuchała mnie i zasmucona spuściła głowę i ukryła twarz w futrzanym kołnierzu. Szliśmy wąską kolejką. Moja narzeczona przytuliła się do mnie. Pocałowałem zziębnięty policzek pachnący brzoskwinią.

Będziemy mieli synka. Nasz synek będzie różowy, tłusty jak kluska, zdrowy.

(Opowiadanie to zostało napisane przed pięćdziesięcioma laty i w 1935 roku nagrodzone w dorocznym konkursie „Wiadomości Literackich" dla młodych pisarzy. — Red.).

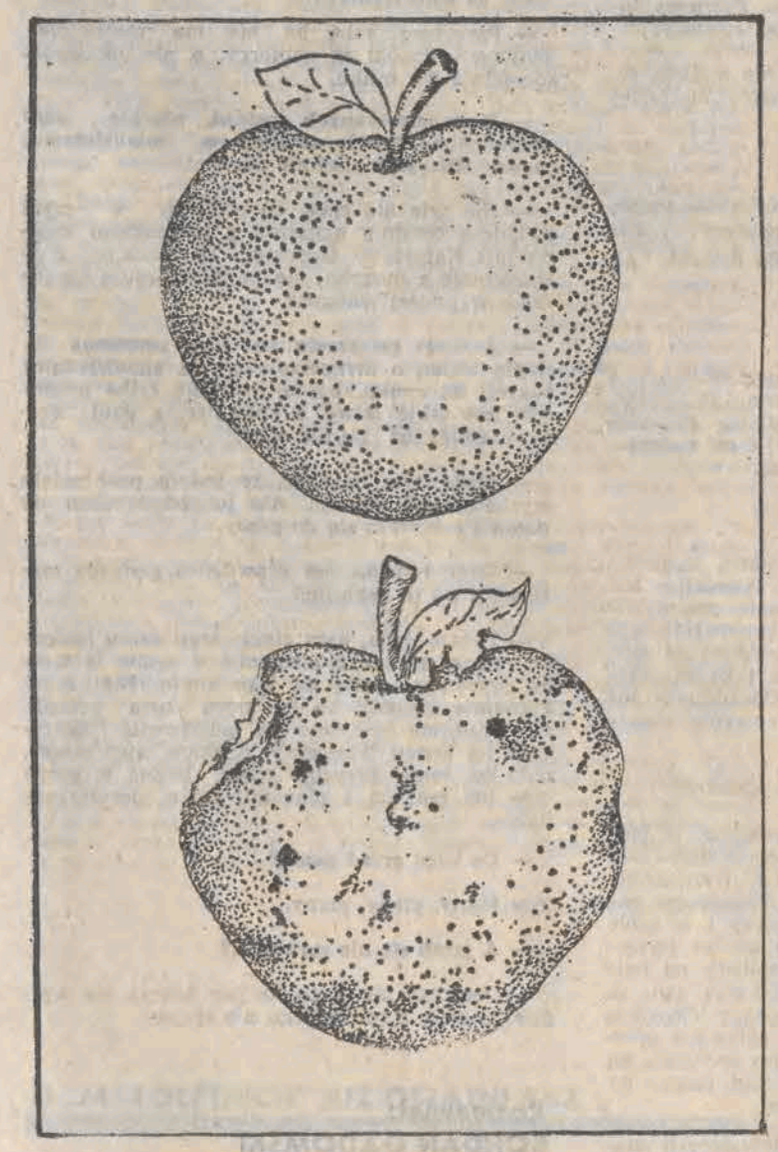

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Rozmowa z matką Violetty

Będąc w Kudowie, (na XXII Festiwalu Moniuszkowskim, o czym obszernie piszę oddzielnie), nie mogłem pominąć okazji odwiedzenia w pobliskim Lewinie rodzinnego domu mojej ukochanej gwiazdy Violetty Villas. Ponieważ od kilku lat jestem zaprzyjaźniony z matką Czesławy Cieślak-Gospodarek — panią Janiną Cieślak, z okazji — skorzystałem.

Rodzinny dom Violetty Villas w Lewinie jest duży, piętrowy, zbudowany na końcu miasteczka, na górze, wśród lasów. Na piętrze mieszka brat Violetty, z zawodu rzeźnik, prowadzący sklep mięsny w Kudowie. W Lewinie obok domu ma szklarnię, podobnie jak siostra Violetty, która pracuje w miejscowym sklepie meblowym. Na dole mieszka pani Janina Cieślak, która cierpi na chorobę oczu (prawym zawładnęła katarakta, lewe czeka operacja). Czesława-Violetta jest podobna do swojej matki. Pani Janina rozpoznaje mnie, wita serdecznie i gotuje dla mnie mleczną zupę.

Wspominamy Violettę.

— Słyszała pani ostatnie pogłoski, że córka wybiera się do klasztoru i jej decyzja jest nieodwołalna?

— Panie, a kto by ją tam przyjął? Zawsze miała zbyt wybujałą fantazję. To po ojcu. Wszystko lubili mnożyć przez trzy, może nawet przez cztery. Niech pan nie wierzy we wszystko co ona mówi.

— Nie słychać, nie widać córki tak często jak dawniej?

— I dobrze. Ona nie ma w sobie tej energii co dawniej. Nie chciałabym, żeby dalej śpiewała.

— A z czego się utrzymuje?

— Jest na utrzymaniu syna.

— Czyli nie jest już taka samotna w tej zakratowanej willi w Magdalence?

— Krzysztof mieszka z żoną w Warszawie, w Magdalence ma na parterze willi pracownię ramiarską. Violetta jest sama, bo nikt z nią na dłużej nie wytrzyma. Ja również rzadko ją odwiedzam i raczej na krótko.

— A co się stało z milionami, które wyśpiewała w USA?

— Szastała na prawo i lewo. Wydała więc wszystko co zarobiła. Ponadto dwukrotnie ją okradziono. Mogła być panią, a została dziadówką.

— To strasznie smutna historia!?

— Sama sobie winna.

— W jej obecnym życiu nic się właściwie nie dzieje?

— Ostatnio została babką. Krzysztofowi urodził się syn. Violetta nadała mu kilkanaście imion, ale rodzice pozostali przy Macieju.

— Czy pojawiła się na ślubie syna?

— Nie, bo młodzi bali się skandalu, więc jej nie zaprosili.

— I jaka była reakcja Violetty?

— Tłukła głową o podłogę i przez trzy dni płakała.

— Co teraz robi?

— Pewnie leży na tarasie, polewa się wodą z konewki i opala na czekoladkę. Jest bardzo zajęta, nie ma więc czasu, aby do mnie napisać.

— W jakiej formie psychicznej znajduje się obecnie?

— Jadę do niej, to później panu opowiem.

Spotkanie z Janiną Cieślak trwało kilka godzin. Wrażenia niezapomniane.

W miasteczku jest kino „Violetta". Maleńkie, smutne, jakby opuszczone. Na zewnątrz wygląda tak, jak jego słynna patronka. Pozostaje smutek, żal...

I pamiątkowe zdjęcie z matką Violetty Villas.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

I Górna ma swoje święto...

Przywykliśmy do tego, że niektóre z polskich miast, wśród nich zwłaszcza historyczne i zabytkowe, urządzają regularnie swoje „dni", chcąc w ten sposób nie tylko przyciągnąć turystów, ale także zwrócić uwagę krajowej opinii na swoje bolączki i kłopoty, a przy tej sposobności uzyskać wsparcie z państwowej i społecznej kiesy. Bywa, że takie „dni" pozyskują sobie najwyższy protektorat państwowy (przykładem Kraków), co podkreśla ogólnopolskie znaczenie danego ośrodka i jego problemów.

Znacznie chyba rzadziej słyszy się o „dniach" poszczególnych wielkomiejskich dzielnic, bo może jest to jeszcze nowość, ale jeśli już wzrok nasz padnie na afisz propagujący imprezę tego rodzaju, zaczynamy podświadomie doszukiwać się analogii z głośnymi „dniami" i skłonni jesteśmy podejrzewać, że władzom i instytucjom dzielnicy może chodzić o zainteresowanie, jeśli nie całego kraju, to przynajmniej społeczeństwa całego miasta — tymi sprawami dzielnicy, które wymagają ogólnomiejskiej pomocy.

— *Nasza impreza wcale nie ma na celu uzyskania czegokolwiek od społeczeństwa czy władz Łodzi, nie są też jej głównym celem imprezy dla publiczności, lecz przede wszystkim pobudzenie mieszkańców do czynnego uczestnictwa w kulturze i sporcie* — wyjaśniła moje wątpliwości Barbara Zboromirska, pierwsza zastępczyni naczelnika dzielnicy Łódź-Górna, przewodnicząca komitetu organizacyjnego „Dni Górnej 83". Zanim jednak zrelacjonuję co usłyszałem, a także wyczytałem z informacyjnych materiałów, najpierw słów parę o samej dzielnicy. Liczy ona sobie ok. 200 tys. mieszkańców, co daje jej II miejsce po Bałutach, ale pod względem obszaru zajmuje dalszą lokatę. W dalszej, bardziej odległej od śródmieścia części, na rozległym obszarze za torami kolejowymi przecinającymi po moście ulicę Pabianicką, dzielnica wchłonęła Rudę Pabianicką, będącą do niedawna samodzielnym miastem, przyłączonym do Łodzi dopiero po ostatniej wojnie.

„Dni", którym patronują najwyższe władze partyjne i administracyjne dzielnicy, odbywają się po raz drugi, poniekąd mają więc „prawo" do tego, by nie wszystko jak należy „wypaliło", no a do tego jeszcze czasy są nielekkie, a ludzie dość apatyczni i bierni, sądzimy więc, nie bez umotywowanych racji, że spełniamy wobec nich ważną powinność społeczną, jeśli pobudzamy ich aktywność, poprawiając w ten sposób samopoczucie. A że dzielnica oprócz kin nie ma żadnych zawodowych placówek i instytucji artystycznych, kładzie się tu nacisk na rozwój ruchu amatorskiego. Jeśli w czasie kolejnych etapów „dni" pokazuje się ludzi z zakładów pracy, wyróżniających się rozmaitą działalnością pozazawodową, to nie tylko po to, by dać im pewnego rodzaju satysfakcję, lecz żeby ich przykład zachęcił innych do rozszerzania swoich aspiracji i horyzontów, a przynajmniej by nauczyli się bawić i wypoczywać, z czym u nas nie jest najlepiej, choć podobno naród nasz dowcipny i wesoły.

W tym roku, na progu lata, kiedy właśnie przystępuje się do pierwszych prac organizacyjnych, zgłosiło się do udziału w „dniach" 14 zakładów w pionie konkurencji kulturalno-artystycznych i 17 w pionie sportowo-rekreacyjnym. Przez dwa typowo urlopowe miesiące: lipiec i sierpień, gdy kto mógł, przebywał na wczasach lub przynajmniej wyrywał się za miasto, odbywały się eliminacje w zakładach pracy, które — trzeba to podkreślić — nie były przez nikogo typowane „odgórnie", lecz przystępowały do imprezy z inicjatywy zakładowych domów kultury, klubów czy świetlic, a także dyrekcji przedsiębiorstw, a nad całością przebiegu kolejnych eliminacji sprawowali pieczę mgr Zofia Strzałkowska — zastępczyni kierownika wydziału oświaty, wychowania i kultury, mgr Krzysztof Dąbrowski — wizytator tegoż wydziału do spraw sportu i wreszcie sekretarz organizacji terenowych PZPR i zarazem kierowniczka Dzielnicowego Ośrodka Kształcenia Ideologicznego — Grażyna Guczyńska.

Udział uczestników w poszczególnych konkurencjach był oczywiście różny, nie wszystkie zakłady obsadzały wszystkie konkurencje, co uwzględniano w punktacji. Publiczne finały trwające tydzień w różnych punktach Górnej, pod dachem i na powietrzu, urozmaicały występy artystyczne, prelekcje, kiermasze, giełdy, spotkania z rozmaitymi ludźmi.

Oczywiście ani dokładna liczba uczestników konkurencji, ani widzów oglądających finały, nie powie jeszcze wszystkiego o „dniach" i daleki jestem od próby ich scharakteryzowania na podstawie samego tylko czynnika ilościowego, bez uwzględnienia merytorycznych treści i wykonawczego poziomu. Nawet wyrywkowo nie udało mi się przyjrzeć przebiegowi imprezy z bliska.

Można jedynie, wyrażając uznanie działaczom zarówno z zakładów pracy, jak i dzielnicowego aparatu władzy za próbę przełamywania kulturowej bierności społeczeństwa, wyrazić też podziw dla uczestników, że w otaczającej ich zewsząd atmosferze kulturalnej obojętności czy wygodnictwa (odnosi się to także do kibiców sportowych, nie dbających o kulturę fizyczną własną i najbliższego otoczenia), że są jeszcze ludzie znajdujący radość w zmaganiu się z trudnościami, którymi najeżona jest droga do opanowania jakiejkolwiek umiejętności, a w tych zmaganiach rozwijają swoje zdolności i charaktery. Oby tych ludzi czynnych fizycznie i psychicznie przybywało nam jak najwięcej.

J. KRZY

Kronika kulturalna

W MINIONY piątek odbyła się w Muzeum Historii m. Łodzi uroczystość związana z jubileuszem 35-lecia łódzkiego Studia Małych Form Filmowych „Se-Ma-For". W uroczystości uczestniczyli wiceminister kultury i sztuki **Jerzy Bajdor,** sekretarz KŁ PZPR **Andrzej Hampel,** wiceprezydent m. Łodzi **Jan Nosko,** przedstawiciele studiów filmów animowanych w kraju, twórcy realizatorzy, działacze kultury. Przemawiali: wiceminister kultury i sztuki **Jerzy Bajdor** i dyrektor „Se-Ma-Fora" **Bogusław Kuzio.**

Wyróżniającym się twórcom i pracownikom „Se-Ma-Fora" wręczono odznaczenia państwowe, **Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski** uhonorowani zostali: **W. Fedak, E. Ignaciuk, M. Janik, T. Wilkosz; Złotymi Krzyżami Zasługi: J. Hartwig, L. Kronic; Srebrnymi Krzyżami Zasługi: W. Bartoszek, W. Miksa, B. Sarnocińska, G. Świetlikowski, W. Turek, J. Zakrzewska, D. Zawilski.**

Odznakę „Zasłużony działacz kultury" otrzymała **T. Puchowska-Sturlis,** a nagrody ministra kultury i sztuki: **B. Chudziński, I Goncerz, S. Kostrzewski, J. Kudrzycka, B. Kuzio, Z. Mikołajczyk, J. Olszewski, M. Pach, T. Puchowska-Sturlis, H. Sitek, M. Szer.** Nagrodami dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki w Łodzi uhonorowani zostali: **L. Dembiński, M. Kiełbaszczak, S. Lenartowicz, A. Piliczewski, R. Szymczak.**

W imieniu odznaczonych przemawiał **T. Wilkosz.**

Odczytane zostały także listy gratulacyjne od ministra kultury i sztuki prof. K. Żygulskiego i władz polityczno-administracyjnych dzielnicy Łódź-Górna.

PRZYZNANO po raz 11 nagrody „Trybuny Ludu". Nagrody przyznano w trzech działach:

I. Za upowszechnianie ideologii partii i za wkład w rozwój badań społecznych;

II. Za obywatelskie inicjatywy społeczne;

III. Za kształtowanie i upowszechnianie socjalistycznych wartości kultury i sztuki.

Przyznane zostały również nagrody specjalne.

Laureatami zostali m. in.

— Wojskowa Akademia Medyczna im. gen. dyw. Bolesława Szareckiego w Łodzi (nagroda zespołowa) — za aktywną działalność społeczną na terenie Łodzi i regionu, a zwłaszcza za organizowanie „białych sobót i niedziel", inicjatywy służące ochronie zdrowia mieszkańców, współpracę z organizacjami młodzieżowymi;

— **dr Tadeusz Mendelski** z Łodzi (w grupie lektorów komitetu centralnego i komitetów wojewódzkich) — za popularyzację programu i polityki PZPR w społeczeństwie;

— Wirgiliusz Gryń z Łodzi za zaangażowaną działalność Artystyczną w Teatrze im. Stefana Jaracza oraz osiągnięcia aktorskie w filmie.

Łódzki Teatr Lalek „Arlekin" 29 września wyjechał na tournee do Jugosławii. Lalkarze łódzcy wystąpią w Lublanie, prezentując tam dwa spektakle: **„O Zwyrtale Muzykancie"** — Jana Wilkowskiego wg opowiadań Kazimierza Tetmajera, w reżyserii Stanisława Ochmańskiego, w scenografii Tadeusza Hołówko, z muzyką Bogumiła Pasternaka; oraz **„Lodoirkę"** Wojciecha Bogusławskiego w reżyserii Wojciecha Wieczorkiewicza, w opracowaniu scenograficznym Leokadii Serafinowicz, a z muzyką Józefa Rychlika.

Łodzianie wystąpią również na festiwalu w Zagrzebiu. Pokażą na nim te same przedstawienia.

W GALERII Sztuki BWA czynna jest wystawa retrospektywna malarstwa Tadeusza Kokietka. W Galerii Bałuckiej natomiast obejrzeć można wystawę fotografii artysty z Kolumbii **Abdu Eljaiek.**

Polska gwiazda w Ameryce...

Foto: Czesław Czapliński

Dokończenie ze strony 1

szy w USA?

— W 1976 roku. Na trasach objazdowych z zespołem estradowym zorganizowanym z okazji 200-lecia St. Zjednoczonych. Porównując trasy objazdowe z występami w klubach, zdecydowanie wybrałabym kluby, gdzie śpiewa się tylko trzy dni w ciągu tygodnia, a na trasie codziennie, nie licząc objazdów i braku czasu na zwiedzanie miast.

— I jaką Amerykę wtedy pani zastała?

— Bałam się Nowego Jorku, czułam się w nim zagubiona. Wcześniej nasłuchałam się różnych historii na temat tego miasta i jego groźnych ulic. Ale za każdym razem, jak w nim bywałam, coraz bardziej mi się podobało. Można tam spotkać ludzi wszelkich narodowości i czasami można się czuć jak w Chinach lub Izraelu... Poszczególne dzielnice mają swoje prawa, np. w dzielnicy włoskiej, mafia tak pilnuje porządku, że jest to jedna z najspokojniejszych dzielnic. Ludzie? Cechuje ich ogromna życzliwość, żyją na wspaniałym luzie, którego nam często brakuje. Nie są tacy drobiazgowi. Jednak dłuższy pobyt w Ameryce, jak ten obecny, trzymiesięczny, utwierdził mnie w przekonaniu, że chyba nie mogłabym tam żyć. Brakowałoby mi polskiej atmosfery, mojego domu i specyficznej mentalności Polaków.

— A Polacy w Ameryce?

— Często są ze sobą skłóceni, widzą przed sobą tylko jeden cel — pieniądze.

— Jak witała panią Polonia podczas pierwszych wizyt w USA?

— Bardzo sympatycznie. Była tylko zdziwiona, że w programie śpiewam dwie piosenki, moje przeboje wylansowane w kraju znane były wśród Polonii i ona chciała ich posłuchać na żywo.

— Ile było tych wizyt w Ameryce?

— Pięć. Dwa razy śpiewałam w klubach: „Skyline" i „Zodiak", odbyłam trzy trasy objazdowe po St. Zjednoczonych i Kanadzie.

— W czerwcu br. powróciła pani z kolejnego kontraktu amerykańskiego. Skąd tym razem przyszło zaproszenie?

— Z Chicago, od właścicieli Klubu „Cardinale". Byłam tam od 6 kwietnia do 26 czerwca.

— Z wizą nie było kłopotów?

— Mam wizę „H-1", którą od Amerykanów otrzymują artyści i ludzie uznani. Współpracuję z PAGARTEM, w którym mam stały paszport.

— Jak wyglądało powitanie polskiej gwiazdy na lotnisku w Chicago?

— Nie wiedziałam, czy będzie ktoś oczekiwał na mnie na lotnisku, nie wiedziałam też — czy ze pół muzyczny Jarosława Kukulskiego gra jeszcze w tym klubie i czy będę tam śpiewała czy nie. Słowem — dużo niepewności, łącznie z tą, czy wystarczy mi pieniędzy? Na szczęście jechał ze mną jeden z dyrektorów PAGARTU i pożyczył 40 dolarów na bilet z Montrealu do Chicago. Wszystko skończyło się dobrze. Właściciele klubu wyszli na moje powitanie, przywieźli mnie do klubu, tylko zespół muzyczny nie był przygotowany do moich występów, bo kasety wysłane dwa miesiące wcześniej, nie dotarły do Chicago. Ale miałam ze sobą trochę nut. Polonia jest spragniona polskich nazwisk na estradzie, szczególnie ostatnio, gdy bojąc się bojkotów nikt tam z Polski nie przyjeżdżał. Wyjątek stanowiła Kapela Czerniakowska. Niektórzy ludzie z Polonii uważają, że normalny Polak nie dostanie paszportu w Polsce, a ci, którzy otrzymują i pracują w Ameryce, zarobione tam dolary wiozą dla... Wojciecha Jaruzelskiego.

— Miała więc pani szczęście, bo z powitaniami polskich artystów w Ameryce było różnie, np. na Zdzisławę Sośnicką czekali „wielbiciele" z transparentem o napisie: „Sośnicka, kra, kra, wracaj do komunistycznej Polski". Jak było z panią?

— Transparentów nie było, napisów i okrzyków tego typu również. Swój pobyt w Ameryce traktowałam nie tylko zarobkowo, ale i artystycznie. Przygotowałam tam nowy repertuar, piosenki z aktualnych list przebojów, które będę śpiewała na obecnych koncertach w Polsce.

— Ale tak naprawdę, to jak wyglądał pobyt polskiej gwiazdy na kontrakcie w Ameryce?

— Nie tak tragicznie, jak się o tym opowiada w kraju. Wszystko zależy od właściciela klubu. Trafiłam dobrze.

— Zapewnił pani apartament w luksusowym hotelu?

— Mieszkałam na kwaterze w prywatnym domu, z używalnością kuchni i łazienki.

— A wyżywienie?

— Wyżywienie trzeba sobie zapewnić we własnym zakresie.

— Najważniejsze są jednak występy w klubie?

— W amerykańskich klubach występują największe gwiazdy, co nie stanowi dla nich ujmy, tylko u nas porównuje się nasze występy w klubach polonijnych z typowymi polskimi knajpami. Prawdą jest, że polonijne kluby nie dorównują wystrojem amerykańskim lokalom, ale jest w nich specyficzna, polska atmosfera. Spotykają się tam ludzie nie tylko po to, żeby potańczyć, wypić i zjeść, ale miałam dowody, że przychodzą posłuchać czegoś świeżego z Polski, przypomnieć sobie stare przeboje. Oni przychodzą po wspomnienia z kraju.

— Ale kiedy wypiją za dużo?

— Wtedy zazwyczaj żądają ulubionej piosenki.

— Taki koncert życzeń, podczas którego piosenkarka musi śpiewać wszystko, czego zażądają, za co zapłacą, nawet „Przybądź do mnie, dam ci kwiat paproci"?

— Nie było „koncertu życzeń", nie śpiewałam też do tańca. Miałam własny show. Dwa wyjścia po 5 piosenek. Śpiewałam „Kawiarenki", „Nie wrócą te lata", „Gondolierzy znad Wisły", „Wymyśliłam Cię", piosenki francuskie i modne, amerykańskie przeboje. Akompaniował mi zespół Jarosława Kukulskiego i Leszka Świerszcza z amerykańskimi muzykami.

— Kto przeważał wśród widzów na sali?

— Dwa lata temu przychodziła starsza Polonia, a obecnie bardzo dużo młodych ludzi, niedawno przybyłych tu z Polski. Wśród nich wielu ludzi siedzących przy jednym piwie, specjalnie po to, aby mnie posłuchać. Później rozmawiali ze mną, mówiąc, że wkrótce wracają do Polski.

— Zawsze udawało się pani stworzyć atmosferę do słuchania piosenek?

— Raczej tak. Tylko raz, jakiś widz, który za dużo wypił, wszedł podczas mojego występu na estradę i stanął przed mikrofonem. Natychmiast zjawił się właściciel klubu i odciągnął go siłą, na co ów człowiek zaczął krzyczeć: „Zapłaciłem, to mam prawo zobaczyć gwiazdę z bliska!". Inny pan chciał ze mną tańczyć. Zakręciłam się z nim parę razy i przeprosiłam, bo chciałam dokończyć swój program. Wcale się nie obraził. Na pożegnalnym koncercie ktoś z sali krzyknął: „Po co pani tam wraca". Nie wiedziałam co odpowiedzieć i potraktowałam to pytanie milczeniem.

— Ponoć Polonia nie szczędzi napiwków dla biednych piosenkarzy z Polski. Ile dolarów wciskano pani za dekolt?

— Taki przypadek miałam tylko raz, kiedy to na zakończenie mojego show, podszedł do mnie człowiek i włożył mi dolary za biustonosz.

— Jak pani zareagowała?

— Byłam zaszokowana. Wyjęłam dolary zza biustonosza i rzuciłam na podłogę. Dokończyłam śpiewanie i wyszłam.

— Nie patrząc nawet jaka to była suma dolarów.

— Nie interesowałam się, ile ich było. Właściciel klubu wytłumaczył panu, że w jego lokalu klienci w ten sposób wkładają pieniądze tylko barmankom za barem.

— O czym świadczą te incydenty?

— Świadczą o tym, jak bardzo różni ludzie przychodzą do klubów. Szczególnie ostatnio przybyła Polonia traktuje kluby jak polskie knajpy, nie mogąc się przyzwyczaić, że i w Ameryce są różne tradycje. Ale były to nieliczne przypadki wśród wspaniałej publiczności, która potrafiła się autentycznie bawić, wzruszać i brać udział we wspólnej polskiej atmosferze, którą starałam się wytworzyć w czasie swoich występów. Taki był cel mojego tam wyjazdu — przywieźć Polonii trochę wspomnień z Polski.

— To ładnie z pani strony. Była pani przygotowana, że przy okazji wzruszeń. Polonusy lubią komentować nogi, piersi i tył artystki?

— W czasie moich występów nie miałam takich komentarzy. Były komplementy na temat fryzury i kreacji. Po występie.

— Ile pani zarobiła?

— Dużo. Na spłatę długów, trochę dla siebie, na bieżące wydatki, na kupno nowych obrazów, na PAGART, na różności dla dziecka, na nowe kostiumy na estradę.

— Co pani kupiła?

— Trochę ubrania, które pomieściłam w trzech walizkach, wysyłając do domu 12 paczek. Ponadto dużo rzeczy do wyposażenia mieszkania, prezenty, płyty, video-kasety, dużo materiałów na kostiumy i buty na estradę.

— Kontrakt był przedłużony?

— Tak. Pojechałam na 4 tygodnie, z możliwością przedłużenia. Zostałam 6 tygodni. Nie chciałam zostawać dłużej, bo lubię pozostawić po sobie niedosyt. Otrzymałam propozycje występów w innych klubach z kontraktem do końca roku, ale nie interesuje mnie taka eksploatacja siebie na tamtym rynku. Chciałabym pojechać do USA raz do roku z nowym, ciekawym repertuarem.

— Zapewne do amerykańskich klubów?

— Otrzymałam propozycję występów w jednym z amerykańskich klubów i chciałabym tam pojechać z repertuarem w języku francuskim, angielskim i włoskim. W St. Zjednoczonych panuje snobizm na piosenkę francuską i w ogóle na muzykę europejską. Fakt, że wielką gwiazdą jest tam Julio Iglessias, specjalista od belcanta i tradycyjnej piosenki, świadczy sam za siebie. Bardzo podobały się występy Charlesa Aznavoura. Zauważyłam też, że śpiewane przeze mnie piosenki francuskie bardzo podobają się Amerykanom. Uważam więc, że jest szansa na wejście do amerykańskich klubów.

— Kogo z naszych dobrych śpiewających znajomych spotkała pani w Ameryce?

— Krzysztofa Krawczyka, Halinę Żytkowiak, Stana Borysa, Waldemara Koconia, Marię Jeżowską, Andrzeja Zielińskiego, Jerzego Połomskiego, Jerzego Abratowskiego.

— I jakimi ich tam zastała?

— Krzysztof Krawczyk w wielkiej formie, śpiewa we własnym show w Hotelu „Mint" w Las Vegas. W repertuarze stare rock and rolle, standardy amerykańskie. Halina Żytkowiak śpiewa ostrego rocka i szczególnie trafia w gusty Amerykanów. Oboje mają kontrakty do listopada. W tym samym czasie w Las Vegas śpiewali Diana Ross, Paul Anka, Mireille Mathieu i Tom Jones. Las Vegas to miasto przelotowe, w którym wciąż zmieniają się mieszkańcy i publiczność hotelowych show. Stan Borys wciąż taki, jakim go pamiętamy w kraju. Śpiewa „To ziemia", „Jaskółka uwięziona", ma udział w stacji radiowej, gdzie lansuje polską piosenkę, pisze w prasie polonijnej, m. in. artykuł o mnie w „Relaksie". Waldemar Kocon zrobił ogromną karierę wśród Polonii, miał swoje „5 minut", które na miarę swoich możliwości wykorzystał. Są różne zdania na temat jego działalności. Wnioskuję, że obecnie moda na Koconia już przemija. Furorę zrobiła Maria Jeżowska, wspaniale śpiewająca repertuar amerykański. Oglądałam jej występ w Klubie „Szanghaj". Andrzej Zieliński ma bardzo dobry zespół, z którym gra do tańca w Klubie, ale już chce wracać do Polski. Jerzy Połomski, po występach w Chicago występuje w klubie „Cardinale". Jesienią planuje powrót do kraju. Obecnie przybyła do USA na występy Halina Frąckowiak.

— Podobno Polakom płaci się coraz mniej za śpiewające usługi?

— Prawdą jest, że do polonijnych klubów przychodzi mniej Polonii, ludzie wydają więc mniej pieniędzy na tego typu rozrywkę. Zarobki właścicieli klubów zmalały, nie można więc wymagać zbyt wygórowanych stawek. Wśród artystów panuje bezrobocie. Przebić się tam jest bardzo ciężko. Konkurencja szalona.

— Czy widzi pani szansę na karierę na amerykańskim rynku u kogokolwiek z polskich piosenkarzy?

— Największą szansę według mnie ma Maria Jeżowska, ale musiałaby tam zostać na stałe. To, że śpiewa bardzo dobrze nie świadczy, że może zrobić karierę w Ameryce. Jest bardzo amerykańska w tym co robi i może przez to zbyt mało oryginalna jak na USA, ale na pewno znajdzie swój styl.

— A Krzysztof Krawczyk, który w USA śpiewa obecnie wyłącznie dla Amerykanów?

— Krzysztof Krawczyk, jako jeden z pierwszych wszedł do amerykańskich klubów, co jest dużym sukcesem, bo konkurencja jest ogromna. Ma własny show i podoba się snobistycznej, znudzonej publiczności amerykańskiej, a to już wiele.

— Natomiast pani zaniedbała rynek krajowy?

— Lubię dać odpoczynek od siebie. W międzyczasie zrobić coś ciekawego, to taka metoda na dłuższe przetrwanie.

— Co więc teraz?

— Koncerty w Polsce z wielkim programem recitalowym. Pracuje w nim 45 osób, wśród zespołu 18-osobowa orkiestra pod kier. Wiesława Pieregorólki, 5-osobowy balet, grupa wokalna „Music Market". Premiera 23 września w Szczecinie. Komponuję materiał na nowe nagrania radiowe i płytowe.

— Gwiazdy tradycyjnej piosenki pozostają obecnie w cieniu rockowych gwiazdek, nawet Rodowicz nie może się otrzebić ze swoimi szalonymi pomysłami, a Sośnicka chwyciła się ostatniej deski ratunku, farbując włosy i modelując fryzurę na „new romantic". Ciekawy jestem, co pani wymyśli?

— Pozostanę sobą, bo nie ma rzeczy niemodnych, dopóki są odbiorcy. A nie odczuwam specjalnie ich braku.

— Z renomowanych gwiazd, właśnie pani mogłaby się dobrze zmieścić w młodzieżowej modzie. Dlaczego pani nie chce?

— Nie tyle nie chcę, co próbuję, o czym świadczą ostatnie nagrania z piosenkami kompozycji Katarzyny Gaertner. To kolejne doświadczenie z muzyką, ale najlepiej czuję się jednak w „mojej" muzyce.

— A może po prostu jest pani zmęczona tą ciągłą walką o utrzymanie się na odpowiedniej pozycji na rynku, bo to wszystko tylko pozornie jest takie łatwe i kolorowe, a pani najzwyczajniej już się nie chce?

— Może, tym bardziej, że jestem pochłonięta wychowaniem dziecka. Ale już odpoczęłam w domu i zabieram się do pracy.

— Dom, rodzina, czy prawdziwa gwiazda może sobie na to pozwolić?

— Proszę pana, nam ciągle tego domu brakuje, muszą więc być momenty w życiu, iż trzeba przeważyć szalę na jego konto. Nie mam aktualnie gosposi, bo ta, która była poczuła się znudzona pobytem na pustkowiu, mieszkam na końcu Warszawy. Szukam więc nowej, póki co, sama wszystko robię. Będąc w domu żyję też muzyką i planami, które powoli realizuję.

— Co więc przed panią?

— Plany, plany, plany.

— A jeżeli się nie sprawdzą?

— Jest ich tak dużo, że jak któryś nie wyjdzie, to się nic specjalnego nie stanie.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Polemiki • Listy • Opinie

KTO POSIADA ZDJĘCIA I DOKUMENTY?

W Wydawnictwie Łódzkim została złożona do druku praca naukowa nt.: „Szkolnictwo akademickie i nauka polska w okresie okupacji hitlerowskiej 1939—1945". W dostępnych archiwach krajowych i pracach drukowanych w niewielkim tylko stopniu natrafiono na materiały o charakterze ilustracyjnym, jak zdjęcia organizatorów i uczestników tajnego szkolnictwa akademickiego i nauki polskiej, programów i planów kształcenia, notatek z zajęć i innych dokumentów, a dotyczących tej formy konspiracji.

Z uwagi na powyższe, zwracam się z uprzejmą prośbą o zamieszczenie krótkiego apelu do Czytelników o nadesłanie w.w. materiałów na adres: **BRONISŁAW GRALAK, Wojskowa Akademia Medyczna, Katedra Nauk Społecznych, plac 9 Maja 1, 90-650 Łódź.**

Uzyskane tą drogą materiały zostaną zwrócone nadawcom, jeśli wyrażą takie życzenie.

KONKURS DLA DZIENNIKARZY

Zarząd Główny Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego ogłasza kolejną edycję konkursu dziennikarskiego na prace o tematyce przeciwalkoholowej, które zostaną opublikowane w prasie, nadane w PR i Tv oraz w prasie i radiowęzłach zakładowych w 1983 r.

W tegorocznym konkursie organizatorzy preferują następującą problematykę:

1. Nowoczesne metody kształtowania postaw abstynencyjnych.
2. Różnorodne formy oddziaływań trzeźwościowych organizacji i instytucji na środowiska młodzieżowe.
3. Specyfika działania klubów AA.
4. Realizacja ustawy o „wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi".

WARUNKI KONKURSU

Do konkursu mogą być zgłaszane publikacje z okresu 1. I. — 31. XII. 83 r. nie publikowane dotąd w periodykach SKP („Problemy Alkoholizmu", „Zdrowie i Trzeźwość").

Prace zgłaszać mogą:
— autorzy publikacji
— kolegia redakcyjne
— jury konkursu

Jury wyłoni najlepsze prace w następujących grupach:
1. Prasa centralna i terenowa
2. PR i Tv
3. Radiowęzły i prasa zakładowa

NAGRODY

Dla każdej z wymienionych grup ustala się następujące nagrody:
I nagroda — 20 tys. zł.
II nagroda — 16 tys. zł.
III nagroda — 14 tys. zł.

Jury zastrzega sobie prawo nieprzyznawania poszczególnych nagród oraz innego ich podziału w ramach ogólnej kwoty.

Termin nadsyłania prac upływa 31. I. 1984 r.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w terminie do 1. III. 1984 r.

WYCIECZKA DO SPAŁY

W pewien słoneczny sierpniowy poranek, do oczekującego autokaru WSM wsiada rozbawiona grupa dzieci z „Nieobozowego lata" zorganizowanego wspólnie z Radą Osiedla przez SM „Chojny". Długo oczekiwana wycieczka do Spały. Wielka radocha dla dzieci pod koniec wspólnie spędzonych wakacji. Jest to już druga wycieczka. Pierwsza była do Sulejowa. Jestem uczestnikiem wycieczki z ramienia RO — również uszczęśliwiony niespodziewanym wyjazdem.

Niespełna godzinka podróży i już jesteśmy na miejscu. Grupa dzieci wysypuje się z autokaru — ciekawa na zwiedzanie miasta, okolicy renomowanego ośrodka turystycznego, znanego w Polsce. Idziemy w plener. Zwiedzamy ładny modrzewiowy kościółek, niestety z zewnątrz. Ten unikalny obiekt sakralny stoi zamknięty.

Dalej po drugiej stronie, obok kortu tenisowego widzimy stojącego na cokole „żubra", króla polskich knieji. Każde z dzieci pragnie dotknąć eksponatu rączką. — Popatrz Radek — ma nawet „siusiaka". Taki olbrzym, a jaki duży łeb i grzywa. — Ojejku!

Przystań wodna nad Pilicą. Niewielu wczasowiczów, chociaż pogoda dopisuje. Pijalnia piwa, podaż frytek, gorących kiełbasek — świeci pustkami. Nic dziwnego. Nie ma tu większych atrakcji. Kino „Wczasowe" w remoncie, nawet fryzjer damsko-męski nieczynny.

Potężna brama, nad którą widnieje napis „Ośrodek Wczasów Wodnych" FWP. Niegdyś służył wczasowiczom. Dziś widzimy obraz ruiny i rozpaczy. W byłej kawiarence, obecnie służącej za magazyn, widzimy przez oszklone szyby bardzo wiele poszukiwanego, deficytowego, bezużytecznego sprzętu. Czego tam nie ma. Lodówki, opony, dętki, łóżka, leżaki, ba nawet w ogóle nie rozpakowane nowe meble. Towar obecnie poszukiwany na rynku, a tu stoi bezużyteczny. Miałem szczęście porozmawiać z komisją inwentaryzacyjną, która w tym czasie się zjawiła. Cały majątek przekazywano nowemu kierownikowi. Czy się coś zmieni — raczej wątpliwa sprawa.

Dowiedziałem się, że powyższy ośrodek wodny podlega bezpośrednio dyrekcji FWP w Warszawie. Co najwięcej bulwersuje mieszkańców Spały, przyjezdnych gości — beztroska gospodarka sprzętem, gdzie indziej bardzo poszukiwanym, potrzebnym. W dobie reformy gospodarczej — szukamy zbędnych zapasów, oszczędności, a tu marnuje się tyle poszukiwanego sprzętu, chociażby rowery wodne.

Wspaniały, duży drzewostan. Wierzby „płaczące", nisko pochylone nad cuchnącym bagnem. Osty, dzikie ziele w niedługim czasie pokryją całą przestrzeń, niegdyś renomowanego ośrodka wodnego. Pozostaną jedynie nie tknięte zębem czasu latarnie, ławki umocowane w betonie, nowe kosze na odpadki, lokomotywa parowa, która sprawiła największą bodaj uciechę dzieciom.

Siedzę sobie na jednym z rowerów wodnych „pływających" w chwastach, zamiast na wodzie i myślę: jak daleko i głęboko sięgają korzenie ludzkiej bezmyślności, niemożności, niekiedy wręcz infantylizmu? Brakuje nam ośrodków wczasowych, sprzętu wodnego, innych artykułów przemysłowych, a to co tu widzimy — uraga wszystkiemu. Samodzielnemu myśleniu, jest brakiem bodaj najmniejszej troski o nasze, wspólne mienie społeczne. FWP posiada w Spale własny Zakład Remontowo-Budowlany, który musi mieć przecież stałe zajęcie. Zaś koszty związane z renowacją i tak pokryją wczasowicze w pełni sezonu. Nie dziwmy się więc wygórowanym cenom za wczasy — ktoś przecież musi pokryć poniesione koszty z braku wyobraźni, bałaganu, operatywności w działaniu.

W drodze powrotnej zatrzymujemy się nad brzegiem Pilicy. Dzieci baraszkują w wodzie pod bacznym okiem p. Wróblewskiej i p. Szuster. Są zadowolone z wycieczki. Sama Spała wygląda na miejscowość raczej zaspaną, którą nie warto polecać w następnym sezonie — chyba, że coś się tu zmieni. Dzieciom natomiast tak niewiele potrzeba do pełni szczęścia.

WŁADYSŁAW BIEŻEWSKI

O „MAŁOLETNICH" JUŻ OSTATNI RAZ

Proszę mi wybaczyć, że jeszcze raz zwracam się z uprzejmą prośbą o opublikowanie już po raz ostatni mojej odpowiedzi na bezsensowną i przeciągającą się w nieskończoność polemikę Pana Huberta Kazimierza Kujawy, dotyczącą mojego artykułu pt. „Małoletni", drukowanego w „Odgłosach" w sierpniu br.

Nie jestem, jak mój Przeciwnik polemiczny „historykiem lotnictwa", ale od roku 1948 zajmuję się tą dziedziną. Przyjąłbym słuszną krytykę moich publikacji, drukowanych w wielu czasopismach, opartych na dostępnych mi materiałach źródłowych, które — jak Pan Redaktor zauważył w ostatniej polemice na łamach „Odgłosów" — nie zawsze są wiarygodne, a ich autorzy w różny sposób komentują fakty i wydarzenia. Natomiast nie mogę zgodzić się z bezpodstawnym zaprzeczeniem wydarzeń i faktów, powołując się na niekompletne bądź nierzetelne dokumenty. Dlatego podtrzymuję wszystkie moje zarzuty, zawarte w poprzedniej polemice.

Wbrew sugestii Pana Kujawy, że na poparcie swoich racji mam zaledwie „racje z autopsji", posiadam pisany przeze mnie w formie pamiętnika „Dziennik wojenny" jeszcze w listopadzie 1939 roku, zaraz po powrocie do domu, po ucieczce z niewoli, gdzie dzień po dniu odnotowane są wydarzenia mojej eskadry od 1 września do 1 października 1939 roku i gdybym nawet zapomniał jakichś szczegółów, wystarczy zajrzeć do tegoż „Dziennika". Poza tym podałem cytaty z książki płk. obs. Kurowskiego „Lotnictwo polskie w 1939 roku", do których Pan Kujawa w ogóle się nie ustosunkował, a przecież ppłk. obs. Adam Kurowski (zmarł w 1979 roku) jest uznawany jako autorytatywny historyk lotnictwa polskiego, szczególnie jego dziejów we wrześniu 1939 roku. Płk. obs. Kurowski był przed wojną wykładowcą w Wyższej Szkole Wojennej i Wyższej Szkole Lotniczej. Publikował tak w okresie międzywojennym, jak i powojennym wiele prac o tematyce historyczno-lotniczej w periodykach wojskowych i fachowych lotniczych oraz wydał liczne książki o tej samej tematyce, które są materiałami źródłowymi dla wielu autorów zajmujących się historią lotnictwa, na które zresztą się powołują. Autor polemiki zlekceważył jednak pracę płk. obs. Kurowskiego, z której podałem cytaty dotyczące daty pierwszych nalotów na lotnisko krośnieńskie.

Pan Kujawa w ogóle lekceważy wszystkich autorów prac o historii lotnictwa, jak choćby M. Hasińskiego, który nad opracowaniem wspomnianej przeze mnie „Historii Szkoły Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich z Bydgoszczy—Świecia—Krosna 1930—1939" pracował ponad dziesięć lat, konsultując się z setkami „małoletnich" w kraju i we wszystkich zakątkach świata osobiście, bądź korespondencyjnie. Przede wszystkim we wrześniu 1939 roku był uczniem SPLdM i przeżył z nami bombardowania Krosna, jak i wędrówkę po ewakuacji Krosna. Również „Sprawozdanie o sytuacji w Krośnie w dniu 1 września 1939 roku" pisane przez por. obs. Antoniego Kaucza (w Anglii: kpt. obs. i mjr obs.) przysłane z Instytutu Polskiego i Muzeum gen. Władysława Sikorskiego w Londynie, Pan Kujawa krytykuje, twierdząc, że po pięciu latach (1939—1945) pamięć zawodzi. Znałem osobiście mjr obs. Kaucza i nie sądzę, aby jego pamięć zawodziła.

Autor polemiki kluczy i czyni uniki, nie odpowiadając na poruszane i zasadnicze kwestie dotyczące tej polemiki. Powołuje się na materiały źródłowe niemieckie, które niejednokrotnie były podważane nie tylko przez historyków lotnictwa polskiego, brytyjskiego, francuskiego, lecz nawet przez niemieckich specjalistów w tej dziedzinie. Jest niekonsekwentny i gubi się w odpowiedziach. Na przykład Pan Kujawa upiera się przy bombardowaniu w pierwszym dniu września Moderówki, zaprzecza natomiast bombardowaniu Krosna. Po pierwsze: jeżeli w Moderówce, odległej od Krosna w linii prostej około 15 kilometrów na północny-zachód nie było mgły, dlaczego miała być w Krośnie? Po drugie: Czy logicznym było bombardowanie małego lotniska zapasowego Krosna w Moderówce, a pozostawienie największego i najnowocześniejszego w Polsce przedwojennej (zbudowanego w latach 1937—1939) lotniska w Krośnie, w dodatku centrum szkoleniowego? Nie sądzę, aby sztab niemiecki był aż tak naiwny! Zapewniam Autora polemiki, że Krosno bombardowały jednak Dorniery Do-17E i Do-17Z-2 (wersje bombowe). Pan Kujawa twierdzi, że Luftwaffe posiadała niewiele maszyn typu Dornier Do-17. Tymczasem z wiarygodnych źródeł wynika, że ponad pięćset samolotów Do-17 użyli Niemcy nad Polską, a zbudowali ich w wersjach: rozpoznawczej, dalekiego i bliskiego zasięgu, bombowej i innych, około tysiąc siedemset sztuk!

Aby ostatecznie upewnić Autora Polemiki, że ppłk. obs. Adam Zaleski był komendantem Szkoły Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich, do końca istnienia szkoły, przytoczę cytat ze zlekceważonej książki M. Hasińskiego, „Historia Szkoły...": „...Przed ewakuacją Krosna 5 lub 6 września, odbyła się przysięga w obecności Komendanta Szkoły, ppłk. obs. Adama Zaleskiego..." Zaś na stronach 180 i 131 tejże książki są wyraźne fotografie świadectw szkolnych z lat 1938 i 1939, jak i innych dokumentów, z podpisem i pieczątką komendanta SPLdM ppłk. obs. Adama Zaleskiego.

Naloty w Krośnie przeżywało ponad tysiąc stu uczniów i żołnierzy SPLdM oraz bardzo liczny personel dowódczy i instruktorski. Nic zatem łatwiejszego, jak zwrócić się do żyjących jeszcze ludzi, którzy to przeżyli, a potwierdzą na pewno, fakty, w które Pan Kujawa nie chce uwierzyć, a które wydają się fantazją niejakiego Chojnackiego. Mało, jeżeli Pan Kujawa jest naprawdę historykiem, to wystarczy, aby chciał dociec prawdy o dacie bombardowania Krosna, porozmawiał ze starszymi mieszkańcami tego miasteczka, którzy tam byli we wrześniu 1939 roku, a na pewno potwierdzą datę i godzinę pierwszego nalotu mimo że upłynęło ponad czterdzieści lat od tego wydarzenia. Może nie podadzą dokładnej godziny, ale powiedzą: około szóstej rano.

Przykro mi bardzo, że po raz drugi muszę wyjaśniać kapitanowi-pilotowi rodzaje lotów, które są elementarną podstawą szkolenia lotniczego. Otóż lot koszący jest lotem równoległym do powierzchni ziemi, na małej wysokości (około 50 do 100 m, zależy od typu samolotu, pod względem ilości silników), z którego bombarduje się i ostrzeliwuje z broni pokładowej cele naziemne. Natomiast lot nurkowy polega na nurkowaniu (pikowaniu) z dużej wysokości ku ziemi pod bardzo ostrym kątem, wtedy pilot całym samolotem celuje w obiekt będący celem bombardowania, aby bombardowanie było skuteczniejsze, zrzuceniu bomb w cel z małej wysokości i wyrwaniu samolotu niemal „świecą" pod niebo i odlocie. Do takich właśnie lotów samolot musi być specjalnie skonstruowany, jak niemieckie Ju-87 (Stuka).

Na zakończenie jeszcze ostatnia uwaga. Jest w Polsce wielu pisarzy i autorów publikacji lotniczo-historycznych, bardzo szczegółowo opracowanych, a mimo to w przedmowach do swoich dzieł podkreślają, że mogą zaistnieć ewentualne nieścisłości lub błędy, o których sprostowanie proszą Czytelników. Tymczasem Pan Kujawa jest nieugięty i tak pewny, że jego opracowanie jest doskonałe i niepodważalne, że nie przyjmuje do wiadomości poprawek, nawet kosztem zaprzeczenia udowodnionych faktów. Wobec takiej postawy Autora polemiki uważam, że dalsze polemizowanie jest bezcelowe i bezsensowne.

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

„304 CONTRA PIRACI ATLANTYKU" CZYLI KOLEJNY NIEWYPAŁ!

Niezwykle „płodny" Pan Zbigniew Jan Chojnacki, w kolejnym numerze (39) „Odgłosów" opublikował artykuł o działaniach polskiego dywizjonu bombowego nr 304 „Ziemi Śląskiej" im. ks. Poniatowskiego, który brał udział w „Bitwie o Atlantyk" — jak nazwano okres działań lotnictwa RAF i Royal Navy przeciwko niemieckim jednostkom morskim na Atlantyku. Pomijam już fakt, że kilka lat temu na łamach „Dziennika Łódzkiego" o tym samym pisał płk. pil. Wacław Król, pomijam ponadto fakt — że na ten temat zupełnie niedawno wznowiono wydanie książki płk Króla p.t. „Polskie Dywizjony Lotnicze w Wielkiej Brytanii 1940—1945", że wreszcie wydawnictwo „Śląsk" wydało monografię 304 dywizjonu, Władysława Leny-Kisielewskiego.

Nie byłoby w tym nic dziwnego — bo sprawy polskiego lotnictwa szczególnie na terenie Łodzi nie są zbyt spopularyzowane i chwała Redakcji „Odgłosów", która podjęła się popularyzacji tego tematu. Ale... Sam widok zdjęcia samolotu Vickers Armstrong „Wellington" z podpisem: „Wellington" Mk 304 dywizjonu bombowego w służbie Lotnictwa Obrony Wybrzeża, lecący na patrol atlantycki" wyprowadził mnie z równowagi. Bo „konspiracyjny" skrót Mk — oznacza po prostu „Mark" — czyli wersję. A więc jest to „Wellington" Mk ile? Ponadto — skąd wiadomo Autorowi, że jest to „Wellington" 304 dyw.? W lotnictwie Obrony Wybrzeża stosowano oznaczenie tylko jedną literą, bez oznaczeń kodowych dywizjonu. Dotyczy to również błędu autora w dalszym tekście, kiedy podaje oznaczenie „Wellingtona" NZ-A, podczas gdy w 1944 roku dywizjon posiadał oznaczenie kodowe QD-A. Ponadto Autor popełnia zasadniczy błąd, pisząc jakoby oficerowie-obserwatorzy byli dowódcami samolotów i załóg. Owszem, było tak w przedwrześniowym polskim lotnictwie. Natomiast w Anglii dowódcą samolotu i dowódcą załogi był zawsze pierwszy pilot, bez względu na posiadany stopień wojskowy. Inna sprawa — to błędne podawanie stopni wojskowych — podoficerów. W lotnictwie polskim w Wielkiej Brytanii, członkowie personelu latającego bez względu na posiadany stopień wojskowy — polski, otrzymywali stopień sierżanta (dotyczy to podoficerów).

I tak, w odniesieniu do załogi „Wellingtona" sierż. Jońskiego Autor popełnia te same błędy. Po pierwsze: kpt. obs. nie nazywał się Wacław Walter, ale Wacław Waltera (zmarł w Kanadzie w 1980 roku) II pilot był plutonowym, radiotelegrafista również posiadał stopień plutonowego, natomiast strzelcy posiadali stopnie kaprali.

Dotyczy to także opisu walki w dniu 16 września 1942 roku. W Księdze Pamiątkowej 304 dywizjonu zachował się opis tego lotu sporządzony przez kpt. obs. Władysława Minakowskiego, w którym czytamy: „...Załoga w składzie: — piloci: por. Stanisław Targowski, i kpr. Z. Kowalewicz, kpt. obs. W. Minakowski, plut. rtg. Z. Piechowiak, strzelcy — kpr. W. Młynarski i kpr. F. Kubacik..." Oczywiście nie przeszkadza to Autorowi „awansować" wszystkich na sierżantów! Charakterystycznym jest i to, że kpt. Minakowski wymienia kolejno dowódcę samolotu, a swoje nazwisko umieszcza na trzecim miejscu. Podobnie zresztą jak i w pozostałych przypadkach.

Pomijając już strategiczny opis Autora na temat sytuacji Sprzymierzonych na Atlantyku — warto pokusić się o przytoczenie kilku opisów Autora i „per analogiam" opisów tych samych faktów w książce płk pil. W. Króla, cytowanej na wstępie.

Autor: „Toteż dywizjon 304 skierowano na odległe lotnisko Tiree, położone na całkowitym pustkowiu małej wysepki o tej samej nazwie, usytuowanej na Wewnętrznych Hebrydach, opodal północno-zachodnich brzegów Szkocji. Fatalny klimat — nieustanne ulewne deszcze i niezwykle silne wiatry z kierunków niemożliwych do ustalenia — był dla naszych lotników bardzo uciążliwy, pomijając trudne warunki bytowe załóg, mieszkających w blaszanych barakach... itd."

Płk W. Król — str. 223 — „...14 maja dywizjon przeniósł się z lotniska Lindholm na lotnisko Tiree, usytuowane na jednej z wysepek archipelagu Hebrydów, u północno-zachodnich wybrzeży Szkocji. Warunki bytowania na tym lotnisku były ciężkie — nie tylko ze względu na blaszane baraki, w których kwaterowano, ale również na dokuczliwe zimne wiatry i częste deszcze..."

Podobnie rzecz ma się z opisem zatopienia pierwszego niemieckiego okrętu podwodnego. Autor pisze tak: (cyt)

„... Toteż wielkim sukcesem było wytropienie i zaatakowanie niemieckiego okrętu podwodnego przez załogę „Wellingtona" NZ-R w dniu 13 sierpnia 1942 r. Szczęśliwą załogę stanowili: por. obs. Adolf Nowicki, piloci: sierż. L. Gołębiowski i sierż Kozłowski, radiotelegrafista ppor. S. Fronczak (powinno być Franczak — przyp. H. K.) oraz strzelcy: H. Gębicki i sierż. Stefan Lewkowicz. (jedynym sierżantem był I pilot, pozostałe stopnie zawyżone — przyp. H.K.) U-boota wykryto na Atlantyku w miejscu określonym 10 stopniem długości geograficznej zachodniej i 47 stopniem szerokości geograficznej północnej. Załoga zaatakowała niemiecki okręt podwodny trzema bombami głębinowymi wskutek czego U-boot przechylił się na bok i zanurzył, a po chwili na powierzchni morza pojawiła się oleista plama oraz bańki powietrza jak i liczne przedmioty pochodzące z atakowanego okrętu podwodnego. Admiralicja brytyjska uznała to zatopienie."

Płk W. Król — str. 226 „... 13 sierpnia 1942 r. rywizjon 304 zapisał na swoje konto zatopienie niemieckiego okrętu podwodnego. Sukces ten osiągnęła załoga Wellingtona oznaczonego literami NZ-R: por. obs. Adolf Nowicki, piloci — sierż. Gołębiowski, plut. Kozłowski, radiotelegrafista ppor. S. Franczak, strzelcy: sierż. Henryk Gębicki i sierż. Stefan Lewkowicz. Do spotkania z wynurzającym się U-bootem doszło na Atlantyku w punkcie określonym przez 10 stop. długości geograficznej zachodniej i 47 stop. szerokości geograficznej północnej. Załoga wykonała na U-boota udany atak, uzyskując trzy trafienia, w wyniku których okręt przechylił się na bok i zanurzył, na powierzchni morza pojawiła się oleista plama oraz dużo różnych rupieci, zauważono wydobywające się z głębin bańki powietrza. Sztab Admiralicji zatwierdził zatopienie okrętu podwodnego przez dywizjon 304..."

Pozostałe opisy wydarzeń, może Czytelnik znaleźć na kolejnych stronach wspomnianego wydania książki płk W. Króla. Zastanawia fakt nawet identycznych sformułowań.

Istnieje taki zwyczaj, że korzystając z czyichś opracowań, co reguluje prawo autorskie w PRL — podaje się w przypisach materiały źródłowe. W przeciwnym wypadku — można zostać posądzonym o plagiat. I tak należy ocenić opracowanie Pana Z. J. Chojnackiego.

Na zakończenie — jak za Panią Matką — Autor powtarza za płk Królem błędne dane dotyczące strat dywizjonu. Sam płk Król we wstępie do swojej książki, wydanej w 1976 roku pisze, że nie jest to historia polskich dywizjonów, nie jest nawet zarysem historii. Jest to po prostu pozycja, w której jak sam pisze — próbował zebrać w jedną całość najważniejsze materiały. Jako wybitny myśliwiec, płk Król poświęcił najwięcej uwagi dywizjonom myśliwskim. A zatem traktowanie tej pozycji jako dokumentu — jest niezbyt szczęśliwe, tym bardziej, że ostatnio dotarło do Polski wiele materiałów i dokumentów, które stanowić mogą podstawę do ostatecznych stwierdzeń.

I tak na zakończenie Autor stwierdza: (podaję wyciąg z książki płk Króla i dane przytoczone przez Autora).

Płk pil. W. Król		Z. J. Chojnacki
2.451	lotów	2.451
21.331	godzin	21.331
31	U-bootów atakowano	31
2	" zniszczono	2
2	" ciężko uszkodzono	2
3	" lekko uszkodzono	2
16	ataków z wynikiem nieznanym	16
8	ataków nieskutecznych	8
3—8—4	samoloty zestrzelone	3—8—4
69	poległych	69
6	zaginionych	6
31	poległych w lotach ćwicz.	—
19	samolotów stracono	19

Jak więc wynika z powyższego zestawienia, Autor pomylił się tylko w liczbie lekko uszkodzonych U-bootów o jedną sztukę. Prawda, rzecz jasna, jest nieco inna.

Straty personelu latającego 304 dywizjonu, za okres jego służby w Lotnictwie Obrony Wybrzeża wyniosły 106 osób, jak to podaje płk Król, natomiast liczba samolotów wynosi 24. W tej liczbie mieści się 19 samolotów straconych w lotach bojowych i 5 samolotów, które uległy zniszczeniu w lotach ćwiczebnych.

Dywizjon pozostawał w lotnictwie Obrony Wybrzeża do 31.V.1945 r. a następnie został przeniesiony do lotnictwa transportowego i w czerwcu 1945 r. otrzymał samoloty Vickers „Warwick" C Mk III, przy czym eskadra „B" nadal latała na „Wellingtonach" Mk XIV wykonując loty transportowe.

Pośród poległych w lotach bojowych, znalazła się załoga por. pil. Stanisława Targowskiego, odznaczonego za bohaterską postawę Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari V kl. trzykrotnie Krzyżem Walecznych i brytyjskim DFC (Zaszczytny Krzyż Lotniczy). Równo w miesiąc później od bohaterskiej walki z sześcioma Junkersami Ju-88, 16 października 1942 roku wystartował z lotniska Talbenny na samolocie „Wellington" nr fabr. R-1413 jako dowódca załogi: II pilot — plut. Gerard Twardoch (również VM i 3xKW), nawigator — por. obs. Tadeusz Oleś (VM i 2xKW), radiotelegr. — plut. Zygmunt Stanisław Piechowiak (2xKW), strzelec — kpr. Władysław Młynarski (VM i 2 xKW), strzelec — kpr. Franciszek Kubacik (3xKW). Zadaniem załogi było patrolowanie przeciwko łodziom podwodnym nieprzyjaciela. Około godziny 20.00 radiostacja lotniskowa odebrała sygnał SOS oraz informację o ataku niemieckich myśliwców. Mimo prób nawiązania łączności — nie udało się ustalić pozycji samolotu, który nie powrócił do bazy. Uznany został za prawdopodobnie zestrzelonego przez niemieckie myśliwce.

Odnośnie dramatycznego lotu kpt. pil. Emila Ladro, to „rycerski" gest Niemców w postaci pochylenia skrzydeł, był ostatnim gestem. Wezwane przez radio na pomoc brytyjskie „Beaufightery" przechwyciły Niemców i posłały w morze po krótkiej walce. Żaden z Junkersów Ju-88 atakujących polskiego „Wellingtona" nie powrócił do bazy.

HUBERT KAZIMIERZ KUJAWA

Przed ladą

A kiedy przyjdzie pora kupować dzieciom zabawki

Ekspozycję zabawek na 41 Krajowych Targach „Jesień 83" oglądali z przyjemnością nie tylko najmłodsi zwiedzający. Nieco starsi mogli przy okazji przypomnieć sobie własne dzieciństwo, tym bardziej, że asortyment zabawek od wielu lat pozostaje niemal ten sam. Królują różne odmiany lalek, miśków i innych pluszowych zwierzątek, niewiele różniących się zapewne od tych, jakie pokazano na pierwszych targach. Wynika to częściowo z możliwości przemysłu zabawkarskiego, ale również i... z upodobań najmłodszych. W sondach, jakie wśród dzieci przeprowadzała m. in. telewizja, zwyciężały zdecydowanie zabawki najprostsze, tradycyjne, wyprzedzając nawet importowane, politechniczne cuda. Tych ostatnich zabawek nie pokazano niemal w ogóle, i nic dziwnego. Ich produkcja wymaga odpowiednich maszyn i technologii, skomplikowanych nieraz części i wielu dobrych surowców, na które nas po prostu nie stać. Problem zresztą nie jest nowy.

Brak zabawek politechnicznych zawsze występował na naszym rynku. W latach siedemdziesiątych uzupełniał tę lukę import, z którego obecnie musieliśmy zrezygnować. Nie ma natomiast fabryki, która mogłaby w oparciu o krajowe środki i technologie produkować te, tak poszukiwane zabawki. Jest to zapewne wynik traktowania tej dziedziny przemysłu — tak przecież niezbędnego dla właściwego rozwoju przyszłych obywateli — z przymrużeniem oka.

Również w innych rodzajach zabawek — jak wynika nie tylko z oferty targowej, ale również wcześniejszych kontraktacji — nie należy spodziewać się pełnego pokrycia potrzeb. Dotyczy to m. in. rowerków dla najmłodszych dzieci, piłek, koni na biegunach (dwóch producentów koni większość swej produkcji przeznacza na eksport), wyrobów z drewna i metalu. Przewiduje się, że przemysł zabawkarski zaspokoi w przyszłym roku ok. 70 proc. potrzeb najmłodszych klientów.

Będzie więc tak, jak było do tej pory.

Nie będzie brakować jedynie lalek i zabawek szytych z tkanin. W większości przypadków te, które pokazano na targach (i które możemy kupować w sklepach) są ładne, choć bardzo często szalenie drogie. Dla przykładu: sporych rozmiarów misiek kosztuje 1600 zł, w tej samej cenie pluszowy żółw — puf, maleńka maskotka — kotek z prawdziwego futra — ponad 400 złotych, elektroniczna strzelnica, której „napęd" stanowią zwykłe płaskie baterie — 2150 zł. Biada rodzicom, zwłaszcza, jeśli mają więcej niż jedno dziecko.

Wydaje się pozornie, że zakłady produkujące zabawki nastawiają się na zbyt wysoki zysk, po bliższym wyjaśnieniu okazuje się, że jednak tak nie jest. Na cenę zabawek w istotny sposób wpływają wysokie ceny surowców. Kiedyś producenci zabawek dość łatwo mogli zaopatrzyć się w tkaniny, tworzywa sztuczne czy inne surowce odpadowe. Obecnie jest to niemożliwe. Reforma skłoniła wiele zakładów do znacznych oszczędności i wykorzystywania odpadów we własnym zakresie, często wyrabia się z nich towary bardzo odległe od właściwego profilu produkcji. Bywają i takie przypadki, że to, co dawniej było odpadem, obecnie uznawane jest przez sprzedającego za towar pełnowartościowy. Tu przykład tzw. krociaków — kawałków drewna, nie nadających się już do produkcji w zakładach meblarskich. Producenci drewnianych zabawek mogą kupować je nadal, ale już nie jako odpad, ale jako... półfabrykat, oczywiście po odpowiednio wyższej cenie. W tych warunkach nie ma mowy o obniżeniu cen zabawek.

Ceny jednak nie przerażają handlowców. Do tradycyjnych odbiorców zabawek — takich jak: RUCH, WPHW i CRS „Samopomoc Chłopska" doszli nowi: Społem, Cezas, DT „Centrum" i Dom Książki. Nie dla wszystkich starczyło zabawek oferowanych w Poznaniu. A więc i wszystkim, którzy staną przed ladą, aby dzieciom kupić zabawki, też ich może nie starczyć.

KLIENTKA

Foto: M. Zajdler

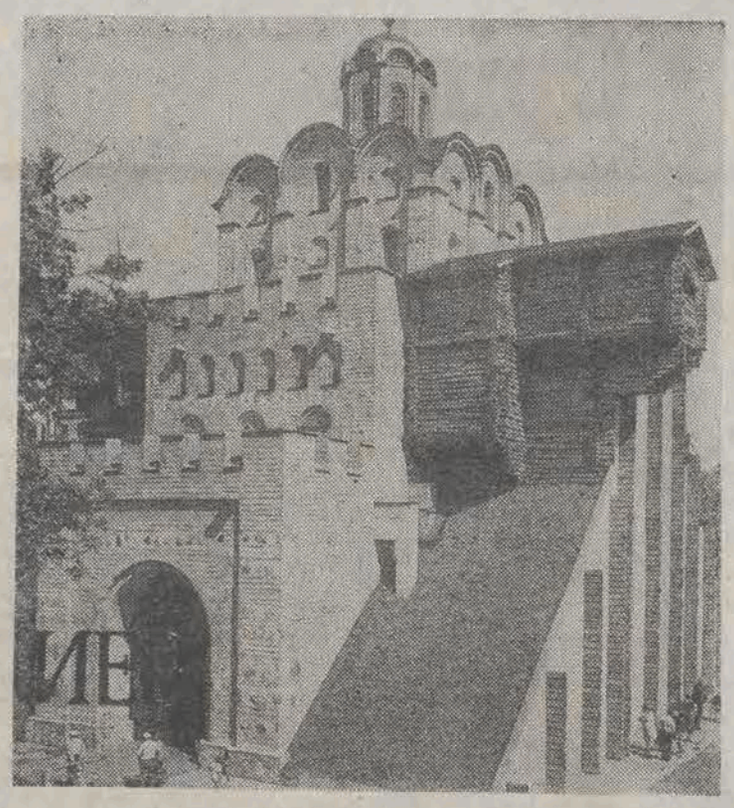

Na Kreszczatiku dojrzewają kasztany

KORESPONDENCJA WŁASNA Z KIJOWA

Dokończenie ze strony 1

dziło jubileusz 1500-lecia, centrum z jakim związana jest historia wielu narodów, w tym także i polskiego, zatem to miejsce — stolica przeszło sześćdziesięciomilionowej Ukrainy — odcisnęło się znaczącym piętnem na tematyce zjazdu. Z tego rodzaju zależnościami — co oczywiste — stykaliśmy się i podczas poprzednich kongresów. Były one zawsze swoistym homagium dla kultury i historii narodu, który sławistów gościł.

Nie umniejszając dokonań organizatorów poprzednich zjazdów, można powiedzieć, iż ten — kijowski — na długo zapadnie w pamięć jego uczestników. Choć byli przecież ekspertami w zakresie języków, i to niekoniecznie słowiańskich, z trudem znajdowali właściwe superlatywy, aby oddać wspaniałą gościnność gospodarzy, nieskazitelną organizację, ogrom różnego rodzaju starań zapewniających delegatom idealne warunki kongresowej pracy. — Jaka szkoda, że ten świat baśni już się kończy — żegnali się ostatniego dnia rozentuzjazmowani i pełni wrażeń uczestnicy zjazdu.

Bo też dla gospodarzy ten kongres nie był jakąś tam rutynową imprezą, gdzie trzeba zapewnić noclegi, coś do jedzenia i parę sal na obrady. Bez przesady rzec trzeba, że cały Kijów żył tym międzynarodowym zgromadzeniem sławistów, co uwidaczniało się podczas każdego dnia. Dla Kijowian, dla mieszkańców Ukrainy, było ono okazją do przedstawienia swojej wielowiekowej historii, imponującej kultury przeszłości i równie imponujących dokonań ostatnich dziesiątków lat. Umożliwiono więc gościom z całego świata bezpośredni kontakt z tym, co stanowi rzeczywistą dumę i chlubę piętnastowiekowych dziejów Kijowa.

Według archeologicznych świadectw właśnie na koniec piątego i początek szóstego wieku przypadają początki Kijowa. Staroruski kronikarz, autor „Powiesti wremiennych liet", Nestor, rozpoczynał swoje dzieło od zdań, że „otkuda poszła Russkaja ziemlia, kto w Kijewie naczał rańsze kniażiti". Piszę dalej o założeniu Kijowa przez trzech braci: od imienia jednego z nich — Kija — gród przybrał swoją nazwę. Rozłożony na naddnieprzańskich wzgórzach, był ważnym węzłem na handlowym szlaku „od Waregów do Greków". W kilkanaście lat po przyjęciu przez Ruś chrześcijaństwa (988) niemiecki kronikarz Thietmar opisując Kijów, mówił o nim jako o „wielkim grodzie, w którym znajduje się ponad 400 cerkwi, 6 rynków i niezliczona ilość mieszkańców".

Nie chcę przedstawiać po dyletancku historii tego miasta, mimo iż dzięki gospodarzom zjazdu mogłem się z nią zapoznać, poczynając od najstarszych znalezisk, gromadzonych w Muzeum Historycznym, a na najnowszym budownictwie kończąc. Zresztą chodząc po Kijowie natykaliśmy się na świadectwa historii co krok, w podziwie dla mistrzów z odległej przeszłości. Także w podziwie dla tych, którzy potrafili, pomimo dramatycznych i niekiedy tragicznych dziejów miasta, wielokrotnie niszczonego przez najeźdźców ze wschodu i zachodu, uchronić, zrekonstruować, odtworzyć jego pięk o i blask. Żadna to przenośnia. Błyszczą nad Kijowem złotymi kopułami cerkwie Peczerskiej Ławry, Sofijskiego Soboru, cerkwi św. Andrzeja i Wydubickiego monastyru.

Właśnie z podziwem staliśmy przed zabytkiem — wedle słów przewodniczki — „jednocześnie jedenastego i dwudziestego wieku", czyli przed „Złotymi Wrotami", paradnym wjazdem do kijowskiego grodu. Z XI wieku, z czasów Jarosława Mądrego, kiedy „Złotą Bramę" budowano, pozostały niewielkie fragmenty. Nad nimi zrekonstruowano całą budowlę z imponującą starannością i wiernością historyczną, a więc nadbramną cerkiew ze złotą kopułą i część murów obronnych. Nasi potomkowie Piastów i Jagiellonów, stojąc przed zabytkiem, poszukiwali śladów po Szczerbcu Bolesława Chrobrego nawet wtedy, gdy dowiedzieli się, że „Złote Wrota" zbudowano w dziewiętnaście lat po rodzinnej interwencji Bolesława. Przykład Schliemanna, który zamienił legendę w historię, wciąż fascynuje!

O przywiązaniu do własnej przeszłości świadczy także stan innych zabytków, a wśród nich całego kompleksu architektury cerkiewnej, jakim jest historyczne świadectwo światowej rangi — Peczerska Ławra. W czasach Rusi Kijowskiej tu powstawały pierwsze monumentalne budowle, na których wzorowała się cała wschodnia Słowiańszczyzna. Kijowsko-Peczerska Ławra będąc jednocześnie centrum polityczno-religijnym stanowiła ważny ośrodek życia kulturalnego i artystycznego (tu pracowali kronikarze i najwybitniejsi artyści swoich czasów). Podobnie — jak wspomniany już wyżej — Sobór Sofijski, przy którym Jarosław Mądry (XI w.!) założył pierwszą na Rusi bibliotekę. W znacznej części zniszczone, także podczas ostatniej wojny, dziś w wyniku prac naukowo-badawczych i renowacyjnych przywrócone — bądź przywracane, jak Sobór Uspieński — do dawnej świetności.

Z równym szacunkiem odnoszą się Kijowianie do swojej historii najnowszej, do czasów Rewolucji Październikowej (pamięć o niej przechowywana jest w licznych muzeach, pomnikach i na „memorialnych doskach"), do martyrologii Ukrainy i zwycięstwa nad hitlerowskim najeźdźcą (ekspresyjny pomnik w Babim Jarze upamiętniający ofiary faszystowskich zbrodni — zginęło tam przeszło sto tysięcy ludzi — oraz monumentalna, 67-metrowa statua Matki-Ojczyzny, górująca nad miastem, z tarczą i wzniesionym mieczem).

Ze starej, historycznej zabudowy Kijowa pozostały nieliczne zespoły architektoniczne lub pojedyncze zabytki. Wśród nich na Andriejewskim Zjeździe, dom w którym mieszkała rodzina Michaiła Bułhakowa i w którym rozgrywają się wydarzenia jego „Białej gwardii".

Dziś, przeszło dwumilionowa stolica Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej jest miastem na wskroś nowoczesnym, ciągle się rozbudowującym, o interesującej architekturze (np. gmachy Muzeum Lenina i Pałacu Kultury „Ukraina", który gościł uczestników zjazdu na inauguracji i zakończeniu obrad).

W nowym, od roku 1969, herbie Kijowa widnieje stylizowany liść kasztana z kiścią kwiatów. Rzeczywiście jest kasztan swoistym symbolem miasta: cała piesza aleja na najsławniejszej ulicy Kijowa, na Kreszczatiku, ukrywa się w cieniu tych drzew — spotyka się je także w niezliczonych parkach i na skwerach. Właśnie dojrzewając sypią się kasztany na głowy przechodniów i turystów. Niejeden z uczestników zjazdu wracając do siebie wiózł je w kieszeni na pamiątkę!

Dniepr, szeroki i malowniczy z rozmaitymi odnogami i wysepkami, wzgórza porośnięte bujną roślinnością nadają Kijowowi charakter miasta rozłożonego w ogromnym parku. Nawet nowe osiedla na lewym brzegu (np. Rusanowka), te które z reguły sprawiają wrażenie kamiennej pustyni, też rozplanowano z architektonicznym pomysłem i z całym szacunkiem dla krajobrazowych darów natury.

Tak więc gospodarze z ujmującą szczodrobliwością i narodową dumą przedstawili nam tradycję i kulturę, przeszłość i teraźniejszość Ukrainy. Gdy powieziono tę dwutysięczną grupę kongresowiczów w przeszło czterdziestu autokarach, które konwojował wóz milicyjny z błyskającym światłem (dowożono nas w ten sposób z hoteli na miejsce obrad i z powrotem codziennie, unikając korków i innych perturbacji komunikacyjnych) pod Kijów, na miejsce 150-hektarowego skansenu architektury ludowej, sławiści rozbiegli się po wsiach, siołach, i sadybach, przyciągani dźwiękami drumli, dumkami niewidomego lirnika i przyśpiewkami weselnymi Podolanek. Cały obszar skansenu rozplanowany został według kulturowych regionów Ukrainy. W każdym z nich, z zachowaniem geograficznych właściwości krajobrazowych, zrekonstruowano — przeniesione z macierzystych obszarów — całe zagrody, zespoły architektoniczne z cerkiewkami i wiatrakami. Chodziliśmy więc po wsiach podolskich i poleskich, zaglądając do chat, słuchając objaśnień w języku ukraińskim — przewodnika o kozackiej fantazji. Odpoczywał na przyzbie chaty biedniaka profesor Nilsson ze Sztokholmu z „Woprosami Jazykoznania" w ręku, zmęczony tańcami z Huculkami, przymierzał się do cepów, a potem młócił w zapamiętaniu, na podwórku którejś z naddnieprzańskich zagród, docent Czaplejewicz z Uniwersytetu Warszawskiego. Ujęła wszystkich ta Ukraina, choć skansenowa, ale na swój sposób autentyczna, barwna, rozśpiewana i roztańczona. Ożywiały ją właśnie liczne zespoły folklorystyczne po amatorsku prawdziwe, kumające się z międzynarodowym towarzystwem uczonych bez żenady i serdecznie.

Jakby dopełnieniem tej ekskursji był, specjalnie przygotowany dla uczestników zjazdu, uroczysty koncert w Pałacu Kultury „Ukraina", w którym wystąpili wybitni soliści kijowskiej filharmonii i Akademickiego Teatru Opery i Baletu im. Tarasa Szewczenki. W programie Vivaldi, Dworzak i Czajkowski. Jednak prawdziwy entuzjazm widowni i niekończące się burze oklasków zasłużenie towarzyszyły tancerzom i pieśniarzom zespołów ludowo-folklorystycznych. Jeśli wyżej wspomniałem o wspaniałej baśni, to właśnie jednym z jej epizodów był ów koncert. Absolutne mistrzostwo, maestria gestu, rytmu i choreograficznych układów, uroda i żywiołowość Akademickiego Ukraińskiego Ludowego Chóru im. G. Wierowki, Bukowińskiego Zespołu Pieśni i Tańca z obwodu Czernowickiego, Grupy „Troistyje Muzyki", Zespołu Tańca „Junost" z lwowskiego Pałacu Kultury im. Jurija Gagarina nadały koncertowi rangę widowiska, które nieczęsto się ogląda. Sprawił to także niepowtarzalny, bogaty, wielobarwny blask ukraińskiego folkloru. Słowiańska międzynarodówka opuszczała widownię oszołomiona i oczarowana.

Wiem, że dla wielu będą to odkrycia rzekome. Ale pamiętając o roziskrzonych oczach sławistów z całego świata nie mam zamiaru tego się wstydzić. Kongresowicze przecież z jednakowym zainteresowaniem przysłuchiwali się referatom swoich kolegów, dyskutowali nad etnogenezą Słowian i oglądali zaporoski żywioł na scenie „Ukrainy". Nie wspominając już o specjałach kuchni ukraińskiej, której dania uświetniały każdy obiad. Ich smakowe i kulinarne wartości roztrząsano z naukową wnikliwością, równą tej, jaka towarzyszyła obradom plenarnym zjazdu.

Żeby jeszcze o baśni: na scenie Państwowego Akademickiego Teatru Opery i Baletu oglądaliśmy widowisko baletowe według poematu dramatycznego Łesi Ukrainki „Leśna pieśń" o wiarołomnej miłości młodziana do wodnej nimfy; spektakl piękny, choć sentymentalny, wykorzystujący motywy ludowych przypowieści i legend.

Piękno Kijowa rozświetlonego we wrześniowym słońcu, prawdziwie słowiańska gościnność gospodarzy, długie dyskusje podczas obrad, niekiedy nad problemami sięgającymi w zamierzchłą przeszłość, wszystko to sprawiało na uczestnikach zjazdu wrażenie życia w jakiejś nierealnej enklawie, gdzie zapomina się o wojnach, rakietach i politycznych prowokacjach, gdzie panuje przyjaźń i serdeczność, znikają różnice ideologiczne i ustrojowe (przypominam, że kongres gromadził uczonych ze wszystkich kontynentów). Bo był także ten IX kijowski Zjazd Sławistów jeszcze jednym argumentem potwierdzającym możliwość międzynarodowej współpracy i porozumienia pomimo ostrych podziałów, konfliktów i rywalizacji.

Popadam w patos? A czy sprawy, o których piszę nie są tego godne? Rozumieli to uczestnicy kijowskiego spotkania. Z ich inicjatywy, zarówno tych z Zachodu, jak i ze Wschodu, uchwalono na koniec, przyjęte przez aklamację, posłanie-apel o pokój. Właśnie tam, w Kijowie, który wielokrotnie w swojej historii narażany bywał na tragedię i zniszczenie.

Obrady zjazdu toczyły się w gmachu głównym Uniwersytetu im. Tarasa Szewczenki, zbudowanym w latach trzydziestych ubiegłego wieku w stylu ówczesnego klasycyzmu. Budynek widoczny z daleka ze względu na czerwony kolor fasady i czerń żeliwnych baz i kapiteli kolumn u wejścia. Barwy te odpowiadają kolorom wstęgi orderu św. Włodzimierza, którego dewiza „Pożytek, honor i sława" przyświecała działalności Uczelni. W czasie przerw między obradami gromadzili się przed budynkiem i uczestnicy zjazdu, i zwykli przechodnie. Podchodzili do nas, rozpytywali o wrażenia. I dla Kijowian ten kongres był odświętnym wydarzeniem. Z ich życzliwą uwagą i zainteresowaniem stykaliśmy się wszędzie.

Właśnie o ludziach powinienem napisać na koniec. Przede wszystkim o tych, których dziesiątki rozmieszczonych we wszystkich biurach, agendach i zespołach organizacyjnych zjazdu potrafiło sprostać wszelkim życzeniom i potrzebom tłumu sławistycznych indywidualności o najrozmaitszych przyzwyczajeniach, przecież i często — dziwactwach. Pracowała ta machina organizacyjna jakby bezszelestnie, acz solidnie i bez jakichkolwiek zakłóceń.

Wielu z nas, zostawiło tam w Kijowie serdecznych przyjaciół. Kijowski zjazd bowiem inspirował przyjaźnie, naukowe więzi, utrwalał je i początkował nowe. Także z tego powodu trudno przecenić jego rangę.

GRZEGORZ GAZDA

Krajobraz po rewolucji

„Pięć lat po zdumiewającej rewolucji, imam Chomeini jest świadkiem chwiania się swego autorytetu, podczas gdy narastają rozczarowania, pogłębione wojną z Irakiem" — tak przedstawia LE MONDE DIPLOMATIQUE w nocie redakcyjnej artykuł, który przedrukowujemy. Ukazał się on pod powyższym tytułem w wydaniu tego miesięcznika z lipca br., a jego autorem jest André Mabon.

Ze swą wspaniałą przeszłością, bogatą kulturą i wpływem Zachodu na elity, mimo swego rozwoju zasobów ludzkich i ekonomicznych, Iran pozostaje krajem Trzeciego Świata. Wbrew widocznym oznakom nowoczesności, które uderzają podróżnego przybywającego do Teheranu, rewolucja — szczególnie przez swój przestarzały klerykalizm, antyimperialistyczną bojowość i poważne następstwa konfliktu z Irakiem — zdarła powierzchowną politurę, która pozwalała Irańczykom porównywać się z Europą raczej, niż z Azją lub Afryką. Rewolucyjne szermowanie hasłami, które zastąpiło imperialną paranoję szacha, pozwala dostrzec błądzenie polityczne reżimu. Ucisk policyjny wydaje się, że zelżał — przynajmniej pozornie — w porównaniu z ubiegłym rokiem, ale wśród zaaferowanego tłumu w mieście widzi się beztrosko spacerujących bezrobotnych, drobnych handlarzy ulicznych, ubóstwo metropolii świata słabo rozwiniętego.

Wbrew iluzjom opozycji na uchodźstwie, która w Paryżu czy Londynie uważa się za ośrodek wszystkich nadziei, większość Irańczyków — w Iranie — w ogóle jej nie zna. Owszem, słyszą jak stęka na falach krótkich emitowanych z Bagdadu, Londynu czy Waszyngtonu, ale nie ci, co najżarliwiej przemawiają mają największy posłuch opinii społecznej. Tutaj opozycji grożą tortury lub pluton egzekucyjny, toteż kryje się i nie wychodzi na światło dzienne. A tymczasem opozycjonistów jest wielu: w armii, upokorzonej i trzymanej w ryzach przez Strażników Rewolucji; wśród źle opłacanych funkcjonariuszy państwowych; wśród poniewieranych kobiet; w Kum, pośród tradycyjnego kleru, zaniepokojonego wykorzystywaniem religii do celów politycznych, nieaupełnie w zgodzie z klasyczną doktryną islamu. Ale ta pełzająca opozycja jest sparaliżowana strachem.

SUROWA, LECZ ABSURDALNA CENZURA

Większość Irańczyków, wewnątrz Iranu, nadal myśli i nadal ukrywa swoje myśli. Odwieczny zwyczaj w tym ośrodku despotyzmu. Cenzura zrosła się w prasie od pierwszych miesięcy rewolucji, za rządów Bazargana. Stała się jednak wszechogarniająca po usunięciu Bani-Sadra. Wydawcy okazali się krnąbrniejsi, niż gazety. W księgarniach można jeszcze zobaczyć książki atakujące wyraźnie idoli nowego reżimu, nadwerężające rusztowania władzy klerykalnej, analizujące konflikty społeczne w kategoriach marksistowskich, bez najmniejszego odniesienia do zasad islamskich. Wielka liczba drukarni, ogromny rynek książki w kraju wysokiej kultury, w którym brak rozrywek społeczeństwa konsumpcyjnego, czyniły uprawianie cenzury zadaniem trudnym dla zazwyczaj słabo wykształconych aktywistów, tworzących kościec nowego reżimu. Poezja, historia, nauki humanistyczne, od beletrystyki po socjologię — nie brak okazji do zakpienia z nadzoru ideologicznego.

System wprowadzony przez ministerstwo orientacji islamskiej przejął, ogólnie biorąc, metody dawnej cenzury, ale wymaga, by wszystkie egzemplarze książki zostały wydrukowane i zbroszurowane, zanim przedłoży się ją komisji, która udzieli lub nie udzieli zezwolenia na rozpowszechnianie po okresie oczekiwania, który może trwać kilka miesięcy. Oznacza to, że wydawca dwa razy pomyśli zanim zaryzykuje odmowę. Już i tak szalona cena papieru na wolnym rynku (nie dla instytucji rządowych, które drukują swoją propagandę w setkach tysięcy egzemplarzy), jak również zapory ideologiczne w drukarniach zniechęcają najodważniejszych. Często, wedle kaprysów polityki, wydawca jest zmuszony przeznaczyć swój cenny towar na makulaturę. Istnieje ryzyko, że sprawy szybko się wyjaśnią — 18 maja 1983 r. zamknięto w Teheranie 35 drukarni; mają one przejść pod bezpośrednią kontrolę rządu.

W miarę jak kurczy się teren myśli krytycznej i nikną okazje do ucieczki duchowej, zbiorowe marzenia koncentrują się wokół przedmiotów mało niebezpiecznych, jak hodowla egzotycznych rybek w akwarium, która zyskała bezprecedensową popularność w tym prawie pustynnym kraju, albo — bardziej prozaicznie — magnetowid, ze szczególnie perwersyjnym upodobaniem do najbanalniejszych filmów, zwłaszcza jeśli uszły cenzurze. Nie ma dzielnicy w Teheranie, która byłaby pozbawiona tego handlarza tanimi marzeniami, jakim jest dystrybutor wypożyczający wideokasety. Nie ma też zyskowniejszego handlu, jak sprzedaż magnetowidów, często importowanych niezbyt legalnie z emiratów znad Zatoki Perskiej.

UBODZY I NOWE ELITY

Mimo powolnego niszczenia struktur społecznych i gospodarczych, Iran żyje nadal dobrze, co nie jest najmniejszym z paradoksów. Iran — nie Irańczycy w swojej masie, gdyż są tu wydziedziczeni, bezrobotni, chorzy i prześladowani. Ale sklepy oferują tym, którzy mają środki, ten sam luksus, jeszcze bardziej jaskrawy i skandaliczny, co przedtem; restauracje prezentują sztukę kulinarną z dużą dbałością o poziom dla przyciągania dobrej klienteli i oskubania przy okazji cudzoziemców, wciąż jeszcze licznych w stolicy. Bogaci „taghoutis" (ci dawniejsi) z północnych dzielnic Teheranu znów wyprowadzili z garaży — odkąd skończyło się racjonowanie benzyny — swoje cadillaki i mercedesy; nie wstyd im być zamożnym.

To prawda, że kartki obowiązują jeszcze na wiele towarów: cukier, ryż, mięso i... papierosy. Stoi się też dużo w kolejkach, ale pozwala to masom ubogich zapewnić sobie minimum życiowe po subsydiowanych cenach. Pozostali zapewniają sobie dodatkowe zaopatrzenie na wolnym rynku, po trzykrotnie wyższych cenach. Te nierówności grają na korzyść nie tylko bogatej burżuazji, która w zamian zaznaje licznych upokorzeń i dokuczliwości, jako że nie wyznaje islamskiego populizmu, który otwiera drzwi do władzy; kształtuje się bowiem nowa klasa kierownicza, nie mniej arogancka, niż dawna. Ci, którzy pracują lub działają w instytucjach reżimu, meczetach, komitetach, armii Strażników Rewolucji, Krucjacie Odbudowy, islamskich stowarzyszeniach, administracji przedsiębiorstw, itd., otrzymują korzyści w naturze, pozornie błahe, ale bardzo poszukiwane przy obecnym niedostatku i w ten sposób uzupełniają sobie śmieszne pensje. Dostają więc po cenie oficjalnej (subsydiowanej), przy zapewnionym pierwszeństwie, artykuły przeważnie importowane: motocykle, lodówki, telewizory, nowe samochody, itp. Są to wszystko artykuły, na które normalni ludzie muszą długo czekać, aby je kupić, i które znajdują chętnych nabywców na czarnym rynku.

Najbardziej rzucającym się w oczy symbolem różnicy między nowymi elitami a przeciętnym człowiekiem są nowe samochody — wielkie, opancerzone mercedesy, najczęściej z oknami z ciemnego szkła, BMW, toyoty... wszystkie ostatnie modele importowane tuzinami do ich użytku. Starannie wypucowane, prowadzone przez brodatych bojowników, eskortowane przez milicjantów, wozy te jeżdżą po ulicach jak po zdobytej ziemi, z zapalonymi światłami, wyjącymi syrenami, nie bacząc na obowiązujący kierunek ruchu, ani na czerwone światła.

„PATROL GNIEWU BOŻEGO"

Milicjanci komitetów, którzy jeszcze kilka miesięcy temu jeździli starymi, poobijanymi ramblerami lub wielkimi amerykańskimi kombi przejętymi od rozwiązanych instytucji, siedzą obecnie za kierownicami nieskazitelnych wozów z wymalowanymi czerwonymi literami, wiele mówiącymi napisami: „Gaszt-e Sar-Allah" — Patrol Gniewu Bożego. Ta zmiana jest znacząca — reżim islamski usadowił się w siodle, jego ludzie dbają o prezencję, ale metody represji są coraz doskonalsze. Oni są wszędzie i nad wszystkim czuwają.

Podejmując znany temat, przewodniczący parlamentu islamskiego, Haszemi Rafsandżani, powtórzył podczas piątkowych modłów, 13 maja w Teheranie groźby, od których cierpnie skóra: republika islamska nie musi zatrudniać policjantów, jak to czynił szach, aby nadzorować opozycjonistów: mamy — taki był sens jego wypowiedzi — 36-milionową armię wywiadowców. Niechaj ludzie nadzorują się nawzajem w osiedlach i rodzinach.

— Pewien ojciec — oświadczył Rafsandżani — napisał do nas, że słyszał podejrzane słowa u swojego syna i prosi nas, żebyśmy go wzięli pod obserwację. Idźcie za jego przykładem! Mamy zawodowych wywiadowców, którzy załatwią resztę.

Represje, w chwili kiedy terroryzm (z wyjątkiem Kurdystanu) wydaje się prawie zupełnie zlikwidowany, dowodzą wyraźnie, że reżim islamski nie ufa już własnemu społeczeństwu. Wielkie ruchy patriotyczne, które można było obserwować jeszcze w ubiegłym roku, w szczególności po odbiciu Choramszaru (24 maja 1982), straciły — jak się zdaje — ogromnie na sile. Nie kończące się kontynuowanie morderczego i bezsensownego konfliktu nikogo już nie porusza. Nawet w środowiskach umiarkowanych i ludowych wskazuje się na zbrodnicze wykorzystywanie wojny przez rząd dla pokrycia swoich braków i dla lepszego niszczenia opozycji politycznej wewnątrz kraju. Krwawa tragedia trwa już zbyt długo, jak świadczy o tym demonstracja w Desful — mieście często bombardowanym przez irackie lotnictwo — przeciwko niepotrzebnemu kontynuowaniu działań wojennych.

Czy aresztowanie przywódców partii Tudeh jest działaniem dywersyjnym, mającym ułatwić Irańczykom akceptację zakończenia wojny bez osiągnięcia żadnego z głoszonych celów? Tudeh nie miał szerszej bazy społecznej. Była to więc łatwa ofiara, idealny kozioł ofiarny. Ale metody, którymi zmuszono jego działaczy do mówienia, świadczą o policyjnym wyrafinowaniu, do jakiego są zdolni irańscy przywódcy. A wojna trwa... Jaki jest więc cel, o który chodzi?

ZWYCIĘSTWO KLERYKAŁÓW

W przeciwieństwie do innych rewolucji niepodległościowych w Trzecim Świecie, które wydają się skazane na zbliżenie do Związku Radzieckiego, aby uciec od imperializmu zachodniego, rewolucja irańska miała u zarania kilka wyjątkowych atutów: duże dochody naftowe, olbrzymie rezerwy dewizowe, infrastrukturę gospodarczą, wysoko wykwalifikowane kadry we wszystkich dziedzinach. Nacjonalistyczna i religijna ideologia rewolucji wydawała się chronić Iran od pokus uzależniania się zarówno od Wschodu, jak i od Zachodu. Historia postanowiła — jak się zdaje — co innego, ale dopiero teraz zaczyna to być z pewnością widoczne.

Przez długi bowiem czas wahano się w interpretacjach powiązań międzynarodowych nowego reżimu. Podział ziemi, konfiskata dóbr, gwałtowne zerwanie ze Stanami Zjednoczonymi w chwili wzięcia zakładników, czynne poparcie Tudehu dla imama Chomeiniego itd. mogło nasuwać myśli o silnym wpływie radzieckim. Ale obalenie rządu Bazargana i zajęcie ambasady amerykańskiej to tylko fasada. Żadna z głębokich reform, do których parła lewica, nie została w końcu zrealizowana; nie wprowadzono w życie żadnego poważnego programu gospodarczego, aby zmniejszyć zależność kraju. Ktoś może powiedzieć, że młodym przywódcom stanęła tutaj na przeszkodzie wojna. Ale czy zaangażowaliby oni wszystkie swe siły w ten konflikt, odrzucając wszelkie mediacje, gdyby ich początkowy cel — eksport rewolucji — nie był iluzoryczny? Ten reżim, który uważał się za awangardę ruchów wyzwoleńczych Trzeciego Świata, w swej ucieczce do przodu, z okazji wojny, odrzucił wszystkie, proklamowane w pierwszych dniach priorytety: niezależność, wolność, a nawet Republikę Islamską, pozbawioną dziś wszelkiej treści.

STŁUMIONY NURT

Nowe związki Iranu z gospodarką zachodnią i światem kapitalistycznym — przede wszystkim z Turcją i Pakistanem, ale także z Japonią, Niemcami, Anglią i Stanami Zjednoczonymi — mogłyby być tylko niepożądanymi skutkami wojny z Irakiem, zakładając, że konflikt ten nie miał trwać długo. Oczywiście, Iran musi sprzedawać swą ropę i za uzyskane dolary — kupować potrzebne mu artykuły żywnościowe i przemysłowe. W obu wypadkach poddaje się prawom rynku, a ideologiczne uprzedzenia przeciwko kapitalistycznemu światu nie wchodzą tu w grę, wbrew wyraźnie głoszonym celom w pierwszych miesiącach rewolucji. Można by się w tej zaskakującej ewolucji dopatrzyć wyniku dwóch nacisków.

Nacisk zewnętrzny, najprawdopodobniej decydujący, ze strony świata zachodniego, zmierza usilnie do zachowania nienaruszonej pępowiny, która wciąż łączy z tym światem jego nieznośne dziecko. Z dwóch niebezpieczeństw — penetracji radzieckiej z jednej strony i ryzyka rewolucyjnej epidemii w świecie islamskim — z drugiej. Zachód wydaje się lękać przede wszystkim tej pierwszej i posługuje się tym lękiem dla ochrony własnych interesów ekonomicznych. Zresztą wojna powiększa tylko zyski, jakich można się spodziewać w regionie — dziś z handlu bronią, jutro z odbudowy. Oczywiście, nie jest powiedziane, że spekulacje te muszą się sprawdzić — wzrost napięć społecznych i niezadowolenia politycznego mogą sprawić, że pewnego dnia kraj stanie się dogodnym terenem dla niekontrolowanej penetracji rewolucyjnej.

Ochrona zachodnich interesów jest możliwa w chwili obecnej tylko dzięki naciskowi wewnętrznemu, inspirowanemu przez reakcyjną ideologię integrystyczną i popieranemu przez interesy ekonomiczne. Z dwóch islamskich składników rewolucji irańskiej — nurtu postępowego, inspirowanego dziełem Ali Szariatiego i nurtu klerykalnego imama Chomeiniego — pierwszy został powoli i skrycie wchłonięty przez swego potężnego rywala. Jeżeli portret Szariatiego towarzyszył wszystkim demonstracjom w zimie 1978—1979, to dlatego, że wpływ jego idei — idealnego islamu, który wyzbyłby się tradycyjnego, religijnego pustosłowia — zmobilizował masy młodych Irańczyków poszukujących tożsamości. Projekt opracowany przez Szariatiego w latach 1969—1973 w instytucie muzułmańskim Hosejnijeh Erszad — który został zamknięty przez Savak na żądanie teologów z Kum — zmierzał do zreformowania szyizmu, aby uczynić zeń zaangażowaną, nowoczesną religię „bez kleru", jako że mułłów oskarżano o sprzeniewierzenie dla własnych korzyści idei równości i wyzwolenia pierwotnego islamu.

CZY „MUZUŁMAŃSKI PROTESTANTYZM"?

Podczas rewolucji wydawało się, że imam Chomeini reaguje pozytywnie na aspiracje idealistycznej młodzieży. Jak dowodzi Bani-Sadr w swej „Zdradzonej nadziei", deklaracje Chomeiniego składane w Neauphle-le-Chateau były bardzo obiecujące. Wiele posunięć nowego reżimu potwierdzało początkowo tę iluzję: ustawa o reformie rolnej, nacjonalizacje, swoboda wypowiedzi... następnie, po wzięciu zakładników, słynne hasło: „Ani Wschód, ani Zachód — Republika Islamska", które sytuowało Iran w awangardzie antyimperializmu. Działacze nie zwrócili dostatecznej uwagi na fakt przejęcia władzy przez kler poprzez serię wewnętrznych zamachów stanu, które podważały nadzieje na demokrację; zajęcie ambasady amerykańskiej sprzyjało eliminacji liberałów; kilka miesięcy później subtelne manipulacje wyborcze sprawiły, że wybrano parlament zdominowany przez partię Republiki Islamskiej, która z łatwością narzuciła swe prawa Bani-Sadrowi. Ten ostatni został usunięty w chwili, kiedy znikały ostatnie niezależne dzienniki. W ten sposób stronnictwo klerykalne, będące w mniejszości za rządów Bazargana, zdołało przejąć wszystkie stanowiska.

Powolne zdławienie tendencji inspirowanej ideami Szariatiego dowodzi niemożliwości współistnienia integrystycznego kleru i postępowej frakcji odrodzenia islamskiego. Od zimy 1979—1980 r. dochodziło do gwałtownych demonstracji skierowanych przeciwko zwolennikom Szariatiego w Meshedzie, co doprowadziło do usunięcia gubernatora Chorasanu, Ahmadzadeha, mimo nieskazitelnej opinii, jaką cieszył się w samym Iranie (obecnie znajduje się w więzieniu Ewin). Dzisiaj kilka istotnych dzieł Szariatiego, zawierających krytykę klerykalizmu, nie może ukazać się w nowych wydaniach. Władze, odżegnując się od bezpośredniej krytyki (aby nie zrażać sobie działaczy, którzy doszli do rewolucyjnego islamu poprzez Szariatiego) przeciwko temu popularnemu pisarzowi, wielokrotnie potępianemu przez integrystycznych teologów, ostatnio ośmieliły się opublikować w Kum atakujący go pamflet. Wśród innych fałszerstw historycznych można w tym pamflecie przeciwko „muzułmańskiemu protestantyzmowi" przeczytać, że islamski socjalizm, o którym marzył Szariati, był dywersją inspirowaną przez Związek Radziecki w celu ponownej penetracji społeczeństwa irańskiego w rozbiciu partii Tudeh w latach 50-tych.

ROZCZAROWANIE

Zdecydowanie nowego reżimu nie okazało się skuteczniejsze od zdecydowania założyciela nowoczesnego Iranu. Rada Konstytucyjna, osądziwszy, że występuje sprzeczność między prawem religijnym — które uznaje świętość prawa do własności prywatnej — i cywilną ustawą zasadniczą zamierzającą je ograniczyć, anulowała ustawy uchwalone przez „islamskie" instancje legislacyjne, które dzieliły między chłopów wielkie majątki ziemskie i nacjonalizowały handel z zagranicą. Integrystyczny dogmatyzm stanął po stronie posiadaczy.

Kontrola państwa pozostaje w mocy w podstawowych dziedzinach wyżywienia (mięso, pszenica, ryż), rolnictwa (nawozy sztuczne) i przemysłu (maszyny, części zamienne, metale, produkty chemiczne...), jak to już było przed rewolucją. W równym stopniu, co dawniej kontrola ta nie zapobiega nieuczciwym transakcjom na pełnym braków rynku. Do dochodów z ukrytych prowizji, dochodzą zyski z handlu dewizami (służącymi studentom i uchodźcom, bądź też przeznaczonymi na import luksusowych artykułów, rozsprzedawanych po niewiarygodnych cenach) oraz czarny rynek.

Są też stare fortuny, które pozostawały w schronieniu podczas burzy, a teraz wystawiają nos na zewnątrz po aresztowaniu komunistów. Wiele majątków i przedsiębiorstw, skonfiskowanych pod naciskiem partii Tudeh i lewicy, zwraca się obecnie — powoli, ale pewnym krokiem — dawnym właścicielom, często w zamian za spłacenie długów zaciągniętych pod rewolucyjną administracją lub za innego rodzaju okup, będący tajemnicą nowego reżimu. Sektor prywatny działa dalej w najlepsze, obok sennego lub przymierającego sektora państwowego, rozdętego ponad miarę źle administrowanymi znacjonalizowanymi firmami. Ożywienie panujące w budownictwie i robotach publicznych (drogi), nawet na prowincji, dowodzi, że aktywizacja gospodarcza nie jest daremną nadzieją.

Jest zatem oczywiste, że zależność i integryzm podały sobie ręce w reżimie islamskim. Najzacieklejsi obrońcy tradycyjnego liberalizmu, na czele z obecnym ministrem handlu i byłym kandydatem na prezydenta republiki, Habibollahem Asgaren-Owaldim, zarzucają premierowi Musawiemu inklinacje do sztywnego kierowania gospodarką i tendencje socjalistyczne. Zupełnie się nie kryjąc, wywierają naciski, aby zapobiec reformom gospodarczym, nawet kiedy inspirują się one szyicką tradycją walki o sprawiedliwość.

Chociaż ta rywalizacja różnych nurtów wciąż jeszcze dzieli ekipę rządzącą, a nadzieje na postęp społeczny obróciły się chwilowo w niwecz, niezadowolenie ludu irańskiego z trudnością może wyrażać się wobec pretendującej do prawowitości władzy klerykalnej. Pewien młody licealista, a niebawem maturzysta i bezrobotny, były sympatyk mudżaheddinów ludowych, przypominając sobie niedawno swoje pierwsze zrywy, podkreślał, że czuje się sparaliżowany w obliczu reżimu, który we wszystkich swych przejawach utożsamia się z islamem. Jakże buntować się przeciwko islamowi? Oznaczałoby to negować samego siebie, wyzywać Boga. W obecnych warunkach oznacza to także pewną śmierć. Tak więc charyzmat imama Chomeiniego nadal działa na rzecz reżimu, który umacnia się, w niczym nie łagodząc frustracji ludu.

Intensywna propaganda przeniknęła wszystkie struktury oświaty, gdzie donosicielstwo, wyniesione do rangi cnoty, odbiera odwagę grzesznym duszom. Od najmłodszego wieku dzieci przyzwyczajają się do mieszania najpiękniejszych uczuć religijnych z hasłami śmierci, z upojeniem towarzyszącym ofiarnemu samounicestwieniu (apoteoza męczeństwa), z indoktrynacją polityczną. Wszystko jest nastawione na wychwalanie oficjalnej doktryny klerykalnej. Dzieci wzywa się do siedzenia zachowania rodziców, do zwracania im uwagi i denuncjowania ich. Ci, których rodzina chroni przed tym zaczadzeniem, uprawiają na co dzień wyczerpującą i nerwicującą sztukę podwójnej umowy. Tradycja despotyzmu, nawet w Iranie, nigdy nie wymagała tyle czujności i dwulicowości w wieku, w którym pod innym niebem dzieci uczą się spontaniczności.

To w szkołach odbywa się nabór większości nieletnich „ochotników" (basidżi) na front „wojny Sprawiedliwego przeciw Złemu" — przygotowani do złożenia najwyższej ofiary przez kaznodziejów, którzy przed atakiem oszałamiają ich wizją męczeństwa, mają w szczególności za zadanie rozminowywanie przedpola linii irackich. Oznacza to często prawdziwy dramat dla rodziców, którym wydziera się słynne zezwolenia, wciąż jeszcze wymagane, na wyjazd tych młodych żołnierzy. Czy można jednak ośmielić się odmówić tego daru meczetom, które tak hojnie szafują życiem i śmiercią? W reżimie, który bez przerwy nalega na jedność zbiorowych odczuć i utożsamienie uczuć religijnych z ideałem szyickiego islamu, mniejszości wyznaniowe żyją pod naciskiem nie do zniesienia. Dzieci sunnickie, zoroastryjskie, żydowskie, chrześcijańskie różnych społeczności: ormiańskiej i asyryjsko-chaldejskiej poddawane są w swoich szkołach intensywnej obróbce ideologicznej. Oczywistym jej celem jest przywiedzenia ich na dające poczucie bezpieczeństwa łono szyickiej większości. Co prawda, nie-muzułmańskie mniejszości mają prawo obywatelstwa, ale są to obywatele drugiej kategorii.

Mniejszości te mają trochę własnych szkół, gdzie mogą uczyć swego języka i wiary. Ale jeśli nawet wysiłki rządu, by przejąć w swoje ręce kierowanie tymi szkołami nie dały dotychczas rezultatu, naciski są nadal bardzo silne. Programy nauczania i podręczniki zawierają obowiązkowo gloryfikację zwycięskiego islamu i ukryte ataki przeciwko innym religiom. Wierni skupiają się wokół kapłanów i rabinów, ale straty są ciężkie. Ileż dzieci chrześcijańskich wraca do domu dumnych z tego, że zostały pochwalone za dobrą recytację Koranu? Ilu młodych ludzi musi ukrywać swoje pochodzenie wyznaniowe, aby dostać się na studia lub otrzymać pracę? Ilu rezygnuje z całego tego zamętu i udaje się na emigrację? Nie mówiąc już o bahajach, przyzwyczajonych do jawnych prześladowań i o których nieszczęsnym losie systematycznie informują zachodnie środki przekazu. Również Żydzi otrzymali bardzo wyraźne ostrzeżenie — 6 maja br. zrobiono łapankę w mieście i kilkuset mężczyzn, kobiet i dzieci spędziło noc w więzieniu Ewin pod „ochroną" Strażników Rewolucji. Muzułmanom nawróconym na chrześcijaństwo, rewolucyjne sądy grożą karami przewidzianymi przez prawo religijne dla apostatów — egzekucją bez sądu. A Kościół ewangelicki w Teheranie, którego językiem jest „język wszystkich Irańczyków" (art. 15 Konstytucji) został wezwany przez komitet rewolucyjny swojej dzielnicy do wyboru między chaldejskim a ormiańskim, aby zniechęcić ludzi do nawracania się.

Ludzie na Zachodzie niewiele wiedzą o irańskim dramacie, który w opinii publicznej stał się jedną z niezliczonych katastrof politycznych, sprawiających, że kraje Trzeciego Świata są tak mało interesujące, tak nieprzeniknione... Wojna w Zatoce Perskiej jest sto razy krwawsza i bardziej niszczycielska, niż bitwa o Malwiny, a represje, których ofiarami są Irańczycy, trudno z czymkolwiek porównać.

Gwałtowność represji, nietolerancja, brak wszelkich gwarancji prawnych dla osób i mienia, egzekucje, fanatyzm i polityczne wykorzystywanie uczuć religijnych narodu irańskiego — wszystko to może się na dalszą metę źle skończyć. Stosowane dzisiaj metody tłumienia strajków — lokauty, aresztowania organizatorów, represje zbrojne, które często pociągają za sobą rannych i zabitych — w najmniejszym stopniu nie likwidują niezadowolenia. Nikt nie jest głupi w Iranie — wojna jest tylko rodzajem ucieczki.

OCZEKIWANIE NA ZBAWICIELA

Autorytet, jakim wciąż cieszy się jeszcze imam Chomeini, słabnie z każdym dniem i nie przechodzi na żadnego z jego współpracowników. Ludzie ci, odcięci od narodu falą terroryzmu, która ich zdziesiątkowała (w latach 1981—1982), nie potrafili odnowić więzi wzajemnego zaufania, które pozwoliłyby im złagodzić swoje metody. Swoją niekompetencją i lekceważeniem aspiracji ludowych wywołują drwiny i oburzenie, i najczęściej muszą zadowalać się zewnętrznymi oznakami wierności. Ulubionym przedmiotem niezbyt wyszukanych dowcipów jest niewątpliwie ajatollah Montazeri, wielki „faghih", wyznaczony na następcę imama Chomeiniego. Mimo cierpień, jakich zaznał w cesarskich kazamatach, ten mało pociągający człowiek o przeciętnej inteligencji na nikim nie robi wrażenia, a teologowie z Kum mówią o nim z pobłażaniem.

Tematem rozmów staje się nieuchronnie próżnia, jaka powstanie — wcześniej czy później — wraz ze śmiercią imama. Czy Strażnicy Rewolucji okażą się dostatecznie zdyscyplinowani, by zachować jedność, która dziś jeszcze istnieje, przynajmniej pozornie? Czy dojdzie między nimi do otwartego konfliktu, zgodnie z ich przynależnością do skrzydła integrystycznego lub bardziej postępowego ekipy u władzy? Czy rywalizacja, która przeciwstawia ich armii regularnej, komitetom rewolucyjnym, mudżaheddinom rewolucji islamskiej (bojówki zwolenników chomeinizmu) lub innym jeszcze grupom przeistoczy się w wojnę domową, której koszty zapłaci raz jeszcze lud irański?

(„LE MONDE DIPLOMATIQUE")

W kręgu fantastyki

Reguła Redukcji

Już dawno nie obserwowano takiej burzy umysłów, zaciętych polemik i sporów, jakie wywołała ogłoszona ostatnio Reguła Redukcji Probabilistycznej, w skrócie zwana RRP. Rozmiarami, zasięgiem i gwałtownością reakcji można ją porównać jedynie do słynnego niegdyś w mechanice kwantowej problemu komutatywności operacji i wynikłego na jego tle sporu, czy ptaszkowanie daszka równa się daszkowaniu ptaszka.

Jako się rzekło, zgiełk wokół Reguły Redukcji Probabilistycznej przeszedł wszelkie wyobrażenia i rozprzestrzenił się z prędkością podświetlną na obszary pozagalaktyczne wywołując najczęściej tylko niezdrową sensację. Małoż było polemik — doszło niebawem i do bluźnierstw i klątw rzucanych na opornych w przyjmowaniu RRP. Zaś ortodoksyjni wyznawcy RRP negowali wręcz cały dotychczasowy dorobek myśli ludzkiej w dziedzinie poznawania Wszechświata jako takiego, a nie innego!

Niezaangażowani, którzy ani myśleli rzucać się w odmęty zamętu wywołanego wyniknięciem RRP (uważając to za niegodne prawdziwego badacza Uniwersum), komentowali mimochodem to nowe „uczenie": zaiste — powiadali — coś w tym tkwi poza tym, jednakowoż korzyści praktycznych z tego niewiele; to znaczy dla przypadków mało licznej populacji obiektów dowolnego rzędu otrzymywane rezultaty zastosowania RRP nie wnosiły niczego nowego w porównaniu ze starymi, wypróbowanymi metodami działania i badania. Natomiast w przypadkach, w których RRP mogłaby zdać egzamin, ilość badanych obiektów bywała tak ogromna, że do przeprowadzenia koniecznych operacji niezbędny stawał się komputer dorównujący rozmiarami przeciętnej galaktyce eliptycznej, podczas gdy inne podejścia na prostej drodze dawały wcale zadowalające wyniki i — co najważniejsze — nie prowadziły do nużącego zamętu. Co innego — mówili znawcy — zwątpienie umysłu, a już zupełnie co innego — zamącenie umysłu, dając tym samym poznać, że odcinają się zdecydowanie od zwalczających się nawzajem stron — zarówno od wyznawców RRP, jak i od jej przeciwników.

Nie warto byłoby o historii RRP wspominać, jeśliby jej zasięg, a także spór o niekompetencję, ograniczał się jedynie do obszaru działalności poznawczej istot myślących. Niestety, polemiki rychło przestały być hermetyczne i wywołały przewrotne zainteresowanie Regułą u podistot niemyślących, co stało się — w głównej mierze — za przyczyną nadgorliwych neofitów oświeconych w RRP, a także z winy Antymądryty Czwartego RRP.

Jęła tedy Reguła Redukcji Probabilistycznej święcić niewesołe tryumfy w najrozmaitszych dziedzinach działalności ludzkiej i nieludzkiej coraz bardziej rozprzestrzeniając się, z prędkością przyświetlną, również na odległe rejony pozagalaktyczne. Ponieważ centralnym jądrem Reguły, sformułowanej przez Antymądrytę Czwartego, było zagadnienie, czy wariacja kratek równa się kratkowaniu wariatów (stąd właśnie analogia do daszkowania ptaszka i ptaszkowania daszka), nic więc dziwnego, iż poniektórzy nader opacznie zrozumieli przewodnią ideę nowego „uczenia" i zgoła niewłaściwie zaczęli ją stosować w najprzeróżniejszych okolicznościach powiększając tym samym dostatecznie już mętne zamieszanie.

Z opóźnieniem lorentzowskim dotarły na przykład wieści, że pewien władca położonego na kresach Galaktyki układu planetarnego (którego nazwa już dawno uległa zapomnieniu), przeczytawszy w lokalnej popołudniówce „Echa Kosmosu" krótką notatkę o problemie wariowania kratek i kratkowania wariatów, po swojemu zrozumiał naczelną ideę RRP. Nakazał więc bezzwłocznie połowę mieszkańców owego układu zamknąć za... kratkami, zaś drugą połowę zmusił do noszenia jednolitego, kraciastego ubrania i dumnie odtąd twierdził, że zredukował podwładną mu społeczność do dwóch grup — wedle zaleceń Reguły.

Największa jednak przygoda spotkała Regułę Redukcji na dalekiej planecie o dźwięcznej nazwie Albarossa, położonej w sławetnej galaktyce spiralnej widocznej w gwiazdozbiorze Psów Gończych.

Na planecie tej niepodzielnie obowiązywała zasada „wielcy złodzieje małe wieszą", zawleczona tam ongiś z odległego Hryzostanu. Rządził planetą Albarossa Tyran Torqer, który zwykł się był wyręczać w sprawowaniu władzy Dyktatorem Departamentu Gwałtomatyki i Dezinformacji, co miało z reguły fatalne następstwa dla wszystkich, ponieważ Dyktator jako specjalista w dziedzinie teorii gier nieludzkich potrafił bezczelnie wprowadzać w błąd nawet Tyrana sypiąc mu w oczy pył kosmiczny. Było to ulubione zajęcie Dyktatora, oprócz kilku jeszcze innych, równie wyjątkowo odrażających. To on, wspólnie z oddanym mu w pacht bezprawnikiem oraz dwoma zausznikami, wprowadził powszechny — w oparciu o zasadę zawleczoną z Hryzostanu — przepis, zgodnie z którym nagradzano dopuszczających się wszelkiego rodzaju łajdactw i matactw, zaś karano tych, którzy brali w obronę pokrzywdzonych bądź rodzinę.

Dyktator Departamentu Gwałtomatyki i Dezinformacji — Azo Myliciel — nawłóczyciel akademicki, onże zjadacz gwiazd, rozprawiał się podstępnie również z oddanymi mu podistotami niemyślącymi, otaczając się kupionymi, lecz bezdusznymi automatami, które osobiście programował.

Azo Myliciel najchętniej urzędował w gmachu zwanym potocznie Copulatorium Maius, gdzie — jak twierdził — przeprowadzał życiowo ważne eksperymenty. „Chodzi bowiem o to — mawiał — żeby osiągnąć ograniczenie populacji nie ograniczając w niczym kopulacji". Będąc niezrównanym erudytą, a w dodatku obdarzony czarownym barytonem, potrafił zjednywać dla swoich eksperymentów niezliczone rzesze młodych kandydatek do wyższego wtajemniczenia, lecz zawsze tak jakoś się składało, że zamiast wyzwolenia następowało rozwiązanie i eksperyment należało oczywiście przeprowadzać od nowa — zgodnie zresztą z zasadą dziesięciu tysięcy prób jednostkowych.

I oto Azo Myliciel dowiedział się, nie bardzo wiadomo skąd, o sławetnej Regule Redukcji (niektórzy utrzymują, że Azo Myliciel i Antymądryta Czwarty RRP to jedna i ta sama osoba!). Od razu też docenił on i zrozumiał jak wielkie może Reguła oddać usługi planecie Albarossa, a zwłaszcza Departamentowi Gwałtomatyki i Dezinformacji. Przemyślawszy dokładnie wszystko udał się do Tyrana Torqera i wyjawił mu w wielkim sekrecie, jaki to wspaniały plan postępowania zwierzchności ułożył w oparciu o RRP. Wtajemniczając tak Tyrana często sypał mu pyłem kosmicznym w oczy, toteż ten przystał bez większego nawet wahania na perfidny plan swego zastępcy, a może już następcy.

Jakoż zaczęły się dziać na planecie Albarossa przedziwne rzeczy, których logiki nikt nie mógł odgadnąć. Cel również pozostawał niejasny — przy zachowaniu wszelkich pozorów praworządności nastały dla mieszkańców Albarossy sądne dni. Oficjalnie i w imieniu Tyrana Dyktator wygłaszał coraz to wznioślejsze i płomienne mowy, w których przewijał się stale jeden i ten sam motyw: rękojmią postępu jest bezwarunkowe przyjęcie RRP, zwłaszcza w nowej polityce demograficznej. Natomiast prywatnie Azo Myliciel urządzał wyrafinowane kosmorgie, podczas których rozwięźle oświadczył, że pracować w ogóle nie warto i tylko upić się warto ekstrahując w tym celu obłoki międzygwiazdowego C_2H_5OH. Nazajutrz po każdej takiej imprezie rozpoczynała się jego ulubiona gra bez reguł — nazywana też osiąganiem horyzontu torsyjnego — której ofiarami padali zarówno ci, co byli krytycznie nastawieni do poczynań Dyktatora, jak i jego najbliżsi współpracownicy, zaś neutralni bywali pozostawiani własnemu losowi. W praktyce oznaczało to, iż neutralni z powodu obłożenia ich obowiązkami ponad wszelką wytrzymałość bardzo szybko tracili rozsądek albo nawet życie...

Z wolna trwożny słuch o RRP popełznął po całej planecie wzburzając umysły. Wtedy to rozpoczęły się tajemnicze zniknięcia — dziwnym zbiegiem okoliczności głównie malkontentów, a jednocześnie wzrastał entuzjazm podistot niemyślących urzeczonych gładką wymową Azo Myliciela. Wkrótce całe społeczeństwo Albarossy, a zwłaszcza stołecznej Oasterii, było dokładnie skłócone między sobą i w nieopisanym chaosie, jaki nastąpił, Dyktator jął realizować drugą część swojego niecnego planu. Efekty jego poczynań zaniepokoiły nawet Tyrana Torqera, który zażądał wyjaśnień. Lecz nie na darmo Azo Myliciel był specjalistą od teorii gier nieludzkich i nie bez powodu był Dyktatorem takiego a nie innego Departamentu! Dezinformując i tłamsząc (czyli gwałcąc) świadomość Tyrana wytrącał go coraz bardziej z rzeczywistości i z mefistotelesowską przebiegłością umacniał Torqera w przekonaniu, iż tylko oni dwaj — jak każe RRP — są panami sytuacji i tylko oni wiedzą, ku czemu zmierzają.

„Takich trzech, jak my dwaj, nie ma ani jednego!" — zwykł mawiać Dyktator Tyranowi.

Niszczył też Dyktator swoich przyjaciół, a ze szczególnym upodobaniem tych, którzy do końca pozostawali wierni odtłumaczając na wszelkie możliwe i niemożliwe sposoby jego postępowanie. Dwóm najbliższym zausznikom nadał nawet przydomki — Chamilec i Durnicki — lecz i to nie zmusiło ich do zrewidowania swoich poglądów.

Kiedy tak Azo Myliciel sukcesywnie wprowadzał w życie program obłędu w kratkę, rozproszeni opozycjoniści zjednoczyli swe siły i zniecierpliwieni bezprzykładnym naigrawaniem się Dyktatora oraz Tyrana z ogólnie przyjętych norm społecznych i praw kosmicznych, postanowili dać stanowczy odpór, czyli wycisk. Na nic zdały się próby poważnienia i rozbicia jedności opozycjonistów. Nieobyci z towarzystwem Dyktatora szybko teraz dochodzili do obycia, czar pryskał i nie zwlekając coraz to nowi „przebudzeni" wzmacniali siły opozycjonistów. Szerzona przez Azo Myliciela dezinformacja przestała odnosić skutek — zadziałało zjawisko przeskoku. I wtedy dopiero wyszła na jaw perfidia i hipokryzja Dyktatora. Azo Myliciel czując się zagrożony usiłował jeszcze powtórzyć bezwiednie manewr bezimiennego władcy układu planetarnego bez nazwy, czyli pół na pół zakratkować społeczeństwo Albarossy. Jego zamiar nie został jednak ostatecznie zrealizowany, ponieważ dotarły wreszcie do Tyrana Torqera — po pamiętnym złamaniu blokady informacji! — prawdziwe wieści o sytuacji na planecie.

Okazało się wówczas, ku ogromnemu zaskoczeniu wszystkich, że skrót RRP wyklada się jako... Reguła Redukcji Personalnej! Jedynie Tyran udawał zdziwienie, lecz zmienił się na twarzy nie do poznania, kiedy dowiedział się, że rytualna formułka „redukcja do dwóch osobników" nie obejmowała w danym przypadku jego samego. Tak więc korzystając z usług bezprawnika i sypiąc pyłem kosmicznym w oczy Tyranowi, Azo Myliciel bliski już był wyprowadzenia go w pole bezgrawitacyjne i pozostawienie tam aż po zgaśnięcie gwiazd w stanie nieważkości.

W zaistniałej sytuacji opozycjoniści zajęli bez trudu stołeczną Oasterię. Zrezygnowany Tyran nie protestował przeżywając gorycz upokorzenia. Niestety, nie udało się pojmać Dyktatora. Jego Departament był ciemny, pusty i głuchy. Nie udało się też ustalić, kim miała być ta druga osoba, do której odnosiła się rytualna formułka RRP. W opuszczonym Departamencie natknięto się natomiast na wiele interesujących dokumentów, których Dyktator nie zdążył zniszczyć. Znaleziono między innymi klarownie wyłożoną Regułę Redukcji Personalnej wraz z komentarzem bezprawnika odnośnie sposobów jej realizacji. Obok znajdowały się załączniki — stos jednakowo brzmiących fałszywych donosów, do których wystarczało wpisać tylko nazwisko. Część blankietów była zresztą wypełniona. Zaznajomiwszy się z nimi Tyran Torqer dostał wysokiej gorączki i poważnie zaniemógł.

Dotarto też do planów likwidacji Oasterii, a właściwie całkowitego jej przekształcenia i podporządkowania Departamentowi Gwałtomatyki i Dezinformacji. Nowy kształt tego, co miało pozostać z Oasterii, oparty był oczywiście na planie kratownicy, która aż zadziwiała swoją regularnością.

Najbardziej sensacyjnego odkrycia dokonano w jednym z pawilonów Departamentu, znajdującym się nie opodal Copulatorium Maius. Pawilon zapełniony był po sufit... damskimi piżamami w różnobarwną kratkę. Wtedy to ktoś z opozycjonistów wyrzekł wielce znamienne słowa: „a czy zauważyliście, kogo z reguły redukowano, a kto pozostał?" — i nagle wszyscy odczuli straszliwą perwersję kryjącą się w stosowanej przez Dyktatora Departamentu Regule Redukcji Personalnej dla celów nowej polityki demograficznej. „Zaiste, potwornym troglodytą on był" — stwierdzili z wielkim niesmakiem. Jedynie wierni zausznicy — Chamilec i Durnicki — jak dawniej usiłowali bronić Azo Myliciela: „Ależ obywatele, demonizujecie tylko Dyktatora, to wcale niepodobna, żeby on do czegoś takiego zmierzał!" — na szczęście nikt już nie zważał na ich słowa, ponieważ to, w co chciał zamienić Albarossę ów zjadacz gwiazd, urągało wszelkiej etyce i rozumowi, tak iż wzdragamy się opowiedzieć nawet o tym...

Dyktator zaginął bez wieści. Krążą pogłoski, że został uratowany przez młodą sylfidę z Rurytanii pilotującą rakietę fotonową międzygalaktycznego zasięgu. Podobno udał się do dalekiego Hryzostomu.

Rys. Krzysztof Wieczorek

ZBIGNIEW DWORAK

„Fantastyka" po roku

Konkurencja ma urodziny. Ani się obejrzeliśmy jak minął rok od chwili ukazania się pierwszego numeru miesięcznika „Fantastyka". Jest to co prawda wiek niemowlęcy, ale już teraz trzeba „oseskowi" poświęcać sporo uwagi, bo w przeciwnym razie — kto wie co z niego wyrośnie?

Miesięcznik pojawił się nagle i niespodziewanie na wygłodzonym rynku czytelniczym sf. Niektórzy zorientowali się, że w ogóle coś takiego jest wydawane, dopiero przy trzecim numerze. Dwa pierwsze, w niewielkich nakładach (50 i 100 tys.), sprzedano niemal w całości „spod lady". Tego stanu rzeczy dopatrywać się należy w przybierającym wciąż w naszym kraju na sile boomie na fantastykę oraz indolencji wydawnictw, które nie nadążają za czytelniczymi potrzebami. Przygotowywany do edycji już od wielu lat miesięcznik „wystartował" wreszcie w chwili, gdy głód dobrej fantastyki sięgnął zenitu. W tej sytuacji teksty światowej klasy pisarzy (w niektórych przypadkach dotąd w Polsce nie znanych, jak George R. R. Martin, James Tiptree) i atrakcyjna szata graficzna sprawiły, że „Fantastyka" z miejsca osiągnęła szaloną popularność i oceniano ją bezkrytycznie. Dziś, gdy fala uniesienia już minęła, można spokojnie zastanowić się nad tym, czym „Fantastyka" jest dla fanów, a więc dla ludzi, do których jest adresowana.

Zasadniczą treść pisma stanowi proza fantastyczna i fantastyczno-naukowa autorów tak polskich, jak i zagranicznych. Dział ten można w zasadzie pominąć bez zastrzeżeń. Mówią za siebie same nazwiska publikowanych pisarzy: Harrison, Asimov, Strugaccy, del Rey, Czechowski... Zadbano o dobór tekstów atrakcyjnych reprezentujących niemal wszystkie podgatunki i zainteresowania twórców. Jest jednak jedno „ale...", a mianowicie bezceremonialne podejście redakcji do tłumaczeń. Każdy, kto czytał „Kosmiczny kalejdoskop" Boba Shaw, dostrzegł chyba różnicę w zakończeniach przekładów p. Zofii Uhrynowskiej-Hanasz i Tadeusza Markowskiego opowiadania „Deflacja 2001". Szczytu zaś edytorskiej samowoli sięgnęła „Fantastyka" zamieszczając nowelę „Houston, Houston..." z „wykastrowanym" (przepraszam, ale słowo jak najbardziej adekwatne) zakończeniem, które nie pozwala docenić walorów literackich oryginału. Pozostaje też żałować, że redakcja rezygnuje ostatnio z opowiadań krótkich preferując formy, jak na czasopismo zbyt długie oraz, zajmujące często i pół numeru, powieści. W numerze 7/83 są na przykład tylko cztery opowiadania, chociaż pięć miesięcy wcześniej było ich osiem.

Szczęśliwymi pomysłami okazały się „Parada wydawców", „Słownik polskich autorów fantastyki" i „Pożółkłe kartki". Rubryki to starannie prowadzone, nie zajmujące więcej miejsca, niż potrzeba, czego nie można powiedzieć o dziale paranaukowym. Zwłaszcza w pierwszych numerach straszyły długie i nudne artykuły o setki razy omawianych już płaskowyżach Nazca i temu podobnych. Nieporozumieniem jest również „Kosmos zaczyna się na ziemi". Co to ma wspólnego z science-fiction? Jedynie felietony Macieja Iłowieckiego zasługują na uznanie.

I znów kilka pochwał. Tym razem należą się plastykom. Chociaż nie mamy jeszcze własnej szkoły malarstwa sf, to widać, że zawiązuje się ona na łamach pisma. Dużo ilustracji wykonanych rozmaitą techniką przez kilkunastu autorów — wkrótce wyłoni się czołówka. Stawiam na Wojtyńskiego i Zalejskiego! Interesujące prace przyniósł też dopiero co zakończony konkurs, szkoda tylko, że jedna z grafik (ilustracja do „Mordair" Nesvadby) okazała się plagiatem z... austriackiego znaczka pocztowego. Ale o tym napisze sama redakcja.

Lista bestsellerów. Zacznijmy od definicji wyrazu „bestseller". Według słownika Kopalińskiego jest to „książka ciesząca się rekordowym popytem". Czy w kraju, w którym jednakowo wysokim popytem cieszą się wszystkie książki sf (bez względu na treść — ciekawostka), sensowne jest układanie list bestsellerów? Na Zachodzie służą one wydawniczej propagandzie, a u nas? Tylko gotują w człowieku krew, że „tego nie kupiłem, tego też nie, i tego, tego, tego...".

Komiks pominę milczeniem, a tych, którzy go wychwalają reklamując europejskim poziomem, odsyłam do komiksów (również sf) Franka Thorne'a, czy Fernando Fernandeza. „Funky" ma się do nich tak, jak „Milcząca gwiazda" do „E.T.". Mam nadzieję, że nowy komiks, według scenariusza Andrzeja Krzepkowskiego, będzie nieco lepszy.

I tak omówiliśmy już prawie wszystko. W sumie więcej plusów niż minusów, ale — ostrożnie! W wielu notach redakcyjnych daje się wyczuć samochwalcze uniesienie, to samo cechuje redakcję na spotkaniach z czytelnikami. Mija dopiero rok istnienia miesięcznika, co będzie za kilka lat?

Najważniejsze jest jednak to, że „Fantastyka" w ogóle istnieje i daje to, na co czekają setki tysięcy czytelników. Jest wszak pierwszym, długo oczekiwanym i jedynym w Polsce pismem profesjonalnym poświęconym sf. Jego wartość podkreśla przyznanie redakcji przez zakończony niedawno w Jugosławii Eurocon '83 nagrody za najlepszy, europejski magazyn science-fiction (przy okazji prezent urodzinowy). Notabene ten sam Eurocon przyznał swą nagrodę za najlepszy europejski fanzin polskiemu „Kwazarowi" wydawanemu przez Oddział w Poznaniu Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki. Gratulacje dla obu redakcji.

ROMUALD SZOKA

1 Zdarzenia i zwierzenia

Jaki związek?

Miesiąc temu, w felietonie „Gordyjski węzeł" pisałem o „patowej" sytuacji w Związku Literatów Polskich, o nieuchronności rozwiązań tego splątanego węzła problemów. Wkrótce potem sytuacja stała się diametralnie inna, bo prezydent m. stołecznego Warszawy rozwiązał ZLP.

Decyzja o rozwiązaniu ZLP nikogo nie mogła ucieszyć, ale też z drugiej strony nie do utrzymania była dotychczasowa sytuacja. Nastąpiła zatem pilna potrzeba odtworzenia zawodowo-twórczej organizacji pisarzy, skupiającej wszystkich niezależnie od orientacji politycznej, światopoglądu i artystycznej praktyki — szanujących ustrój i prawa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Związek Literatów Polskich jest bowiem potrzebny zarówno środowisku pisarskiemu jak i w ogóle polskiej literaturze. Pod warunkiem, że będzie to związek funkcjonujący w myśl zasad honorowanych od 1945 roku do roku 1980. Związek w tym kształcie, w jakim widziała go opozycja, był nie do przyjęcia — ani wczoraj, ani dziś.

Dla nowego — czy raczej odnowionego — związku otwiera się wiele obszarów konstruktywnego działania. Trzeba zadbać o sprawy socjalne pisarzy starszego pokolenia, roztoczyć opiekę nad — zagubioną nieraz — młodzieżą literacką. Trzeba też współtworzyć politykę kulturalną państwa, bowiem pisać możemy samotnie w domu, ale współdziałać w tworzeniu autentycznego życia literackiego w kraju możemy tylko poprzez samodzielną organizację pisarską.

Parę słów na temat statutu. Jest to w gruncie rzeczy ten sam statut, który obowiązywał dotychczas. Trzeba jednak pamiętać, że statut ów narastał latami — na kolejnych zjazdach wprowadzano w nim szereg zmian i poprawek, niektóre paragrafy grzeszyły brakiem precyzji, inne wprowadzono do niego na fali emocji i pod naciskiem opozycji w grudniu 1980 roku.

Na przykład dla wygody działania stołecznych centrów opozycji pozbawiono przedstawicieli terenowych oddziałów prawa współdecydowania w pracach Zarządu Głównego. Podobnie, zapisany w poprzednim statucie terminarz wyborów pozbawiał przedstawicieli terenu nawet szansy kandydowania do prezydium Zarządu Głównego.

W nowym statucie sprawy te wróciły na swoje miejsce.

Wrócono również do istniejącej niegdyś w statucie zwiększu pozycji członka-kandydata. Jest to wielka szansa właśnie dla młodzieży literackiej. W obecnych, kryzysowych warunkach wydawniczych, opublikowanie 2-3 książek rozciąga się na 10-15 lat. Jest to czas, w którym kształtuje się osobowość pisarska — i właśnie w tym czasie młodzi pisarze byli poza związkiem. Obecnie członkiem-kandydatem może zostać pisarz (oczywiście, jak to było zawsze — po przyjęciu przez Komisję Kwalifikacyjną i Zarząd Główny) — już po opublikowaniu jednej wartościowej książki. Kandydaci korzystać będą ze wszystkich uprawnień statutowych (socjalnych, stypendialnych, itp.) oprócz biernego i czynnego prawa wyborczego. Jest to zasada stosowana we wszystkich istniejących w Polsce stowarzyszeniach, które zakładają istnienie członków-kandydatów.

Tak zresztą było, jak powiedziałem, w Związku Literatów i niegdyś, wrócono więc po prostu do dawnej formuły, licząc się z określoną sytuacją wydawniczą, trudnościami debiutu i faktem, że instytucja kół młodych powstała w latach pięćdziesiątych wyraźnie się nie sprawdziła. Status członka-kandydata wzmocni pozycję młodego pisarza i silniej zwiąże z organizacją pisarską, ze środowiskiem literackim.

Natomiast — wbrew wieszczeniu przeciwników odnowionego ZLP — kryteria przyjęcia w poczet członków rzeczywistych nie tylko nie uległy obniżeniu, lecz przeciwnie — zostały zaostrzone.

Sprecyzowana została także w sposób jednoznaczny zasada, że Związek Literatów jest organizacją pisarzy, która stoi na gruncie zasad ustrojowych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Nie wyklucza to odmienności przekonań i światopoglądów członków, ale wyraźnie określa obszar działania Związku. Innymi słowy — przynależność do ZLP jest dobrowolna, lecz każdy kto się na nią decyduje, musi sobie uświadomić, że Związek nie będzie tarczą ochronną dla publikacji w dywersyjnych ośrodkach propagandy, ani dla działań w tzw. opozycji antysocjalistycznej.

Ta kropka nad „i" musiała zostać postawiona, bowiem nieprecyzyjność poprzedniego statutu dopuszczała dowolność interpretacji w tym względzie. A przecież w tym przedmiocie żadnych niejasności być nie może.

Tak w ogólnych zarysach wygląda sprawa organizacji zawodowo-twórczej pisarzy i statutu odnowionego ZLP. Oczywiście ostateczny kształt tego dokumentu określi walny zjazd, który odbędzie się jeszcze w tym roku. Natomiast ostateczny kształt Związku określą jego działania w interesie środowiska literackiego i samej literatury.

JERZY WILMAŃSKI

2 Przejście podziemne

Szczeniaki

Pisuardessa Metowa jest analfabetką (z drobnymi wyjątkami, o czym kiedy indziej). Gdy w jej rodzinnym skierniewickim powiecie w 1950 roku specgrupy młodziaków z naszego uniwersytetu likwidowały tę zakałę nowoczesnego społeczeństwa, niechlubną spuściznę po sanacji i jędrzejowiczowskiej reformie, Metowa — o drobne trzydzieści trzy lata młodsza — ukrywała się najpierw na strychu, a po sianokosach w stogu, taka wstydliwa była wobec potęgi wiedzy. Natomiast innych zahamowań jakoś od maleńkości nie miała, toteż gdy w tym stogu wreszcie zdybał ją lider specgrupy, asystencik-pistolet, bodajże z filologii (albo prawa), długo coś tam razem likwidowali, ale — o ile moja wiedza w tej materii jest pełna — nie był to analfabetyzm...

Mogę tedy z całą odpowiedzialnością zarzucić pewnemu poecie poważne fałszerstwo historyczne — poeta ów opublikował tamtego lata w wielu pismach, a potem w tomiku, wiersz „Na zlikwidowanie analfabetyzmu w powiecie skierniewickim". Ale cóż, poeta oparł się na nieco nadciągniętym sprawozdaniu specgrupy, nie poszkapiwszy się zweryfikować wyników eksperymentalnie w terenie. Zresztą jego ówczesny zachwyt też okazał się nieco przedwczesny — akcje tysięcy takich specgrup zaowocowały głównie rozkwitem grafomaństwa i korespondencyjnego donosicielstwa...

Tylko u Metowej likwidacja analfabetyzmu zaowocowała nieco inaczej — niecałkiem dobrowolną emigracją z podskierniewickich Lipiec do naszego miasta, coś w dziewięć miesięcy po spotkaniu z asystentem-pistoletem w zielonej koszuli. Co zresztą obojgu w gruncie rzeczy nie zaszkodziło. Metowa wprawdzie jest jaka jest, ale od czasu tamtej przygody z kampanii o powszechne oświecenie ma nader filozoficzny, refleksyjny stosunek do problemów egzystencji i pełna jest niezwykłej — jak na kobietę obiektywnie skrzywdzoną przez los — tolerancji.

Otóż to właśnie — tolerancja Metowej jest niemal totalna. Z jednakową sympatią odnosi się do solidnych obywateli jak i do ekstremy — politycznej, a nawet seksualnej. Toleruje na równi złodziejaszków, stróżów porządku publicznego, kurierów podziemia (nawet tego, co jej regularnie, na wewnętrznej stronie drzwi kabiny nr 5 w męskim, przylepia ulotki o treściach podburzających do), członków służb specjalnych, anarchistów, zomowców, twardogłowych dogmatyków, zgniłków liberalnych, endeków, grunwaldczyków, judeomasonów, hrabykowców, darwinistów, klerykałów, centrystów, pro- i antyschaffistów, słuchaczy Tirany i Monachium, spekulantów, celników, ekshibicjonistów, lesbijek i pederastów...

Jedyne kryteria wartościowania Metowej to — cyrka 20 cm bieżących z rolki, a potem kontrola: nabrudził(a) czy nie nabrudził(a). Porządek moralny skonstruowany wedle takiego wszechogarniającego klucza ma w dzisiejszych niepewnych czasach sporą atrakcyjność. Pisuardessa Metowa w każdym razie konsekwentnie się go trzyma i dobrze na tym wychodzi. Sny ma spokojne, a funkcje egzystencjalne organizmu niezakłócone.

Z niejakim wstydem przyznaję, że zazdroszczę Metowej. Zazdroszczę, albowiem sam jestem człowiekiem głęboko nietolerancyjnym. Gdy jeszcze nie byłem inteligentem rotacyjnym tylko tzw. aktywistą, cała moja siła brała się z nietolerowania pewnych konkretnych postaw, zjawisk czy ideologii. Nie oznacza to, że biegałem z grubą pałką po zebraniach, kawiarniach czy wiecach, nawołując do świętej wojny. Nie, chciało mi się wtedy używać racjonalnych argumentów wedle zasad kulturalnej dysputy politycznej czy światopoglądowej. Dziś już mi się nie chce, w szranki stanęło nowe pokolenie intelektualnych pałkarzy po obu stronach barykady. Ale nietolerancja pozostała, chociaż pod wpływem Metowej powoli kruszeje...

Zresztą my tu wszyscy uczymy się od niej tego przepysznego, dającego pełny komfort, stosunku do świata. Toteż powszechne zaskoczenie w przejściu podziemnym powstało ubiegłej soboty, gdy nasza mistrzyni i nauczycielka wyskoczyła ze swego przybytku z furią w oczach i mokrą, bynajmniej nie perfumowaną ścierą w potężnych rękach.

— Gdzie stoi ten skurwensyn, już ja go prześwięcę!

Z tym wojowniczym okrzykiem, tchnącym mordem z silnych pobudek emocjonalnych, wymachując ścierą, zaczęła obiegać filary przejścia podziemnego. Aż wreszcie dopadła chuderlawego smutasa, który z plastykową torbą w ręku (chował w niej zapas towaru!) oferował publiczności fajne, podobno rasowe szczeniaki owczarka podhalańskiego. Smutas, okładany przez łeb monumentalną ścierą, zaczął spieprzać, porzucając trzymanego akurat za połę marynary pieska. Triumfująca Metowa, wyjechawszy na łbie smutasa aż do szczytu schodów prowadzących na powierzchnię, powróciła zziajana, macierzyńskim ruchem przygarnęła drżącego szczeniaka i zniknęła w pakamerze między męskim i damskim.

Gdy ochłonęliśmy, szmukier Mareczek dał autorytatywną interpretację nietolerancyjnego ekscesu Metowej. Z czasów swej sielskiej młodości Metowa zachowała zdroworozsądkowy, funkcjonalno-pragmatyczny stosunek do zwierząt. Na łbie cherlawego smutasa po prostu wyładowała narastającą przez lata agresję przeciwko tysiącom wielkomiejskich paniuś i bęcwałów, trzymających psy dla zabawy, prestiżu, z głupoty, żywiołowo manifestującym szczęście z posiadania żywego zwierzątka i równie łatwo pozbywającym się go w razie niewygody.

Przyznaliśmy rację Mareczkowi, zrobiliśmy zrzutkę i jeszcze przed pierwszą poszliśmy wypić z Metową. Siedziała szczęśliwa, tuląc psiaka na obfitym aparacie oddechowym. I tak powróciła tolerancja do naszego przejścia podziemnego. Tolerancja dla wszystkich, tylko z nowo wytyczonymi granicami, za którymi znaleźli się cherlawy smutas i jego klienci. Ale szczeniak znalazł się wewnątrz obszaru miłości emitowanej przez Metową — szczeniak trudny do wychowania w górach, beznadziejny na nizinach i zupełnie niemożliwy pod ziemią. Ale Metowej nie takie numery wychodziły w życiu.

I. ROTACYJNY

3 Lewym okiem

Sprzedam dywan

Od wielu lat istnieje w Niemczech Zachodnich proceder zawierania małżeństw celem zdobycia obywatelstwa. Nie jest to zresztą wynalazek niemiecki. Wiele dziewcząt z wielu krajów też wychodzi fikcyjnie za mąż — za odpowiednią opłatą — za zagranicz-ników, żeby tylko w majestacie prawa wyjechać, potem się rozwieść i zaczynać od nowa. A w ogóle ludzie zawsze żenili się dla najrozmaitszych powodów, mniej czy bardziej ukrytych, a często nie mających nic wspólnego z wzajemną osobistą skłonnością.

Teraz będziemy się żenić celem zmiany firanek w oknach. Firanki są przecież wyłącznie dla młodych małżeństw, co należy czytać: dla małżeństw świeżo zawartych, przez niekoniecznie młodych ludzi. Co mam zrobić — ja, starszy pan, po kilkudziesięcioletnim stażu małżeńskim — jeśli firanki podarli mi w uspołecznionej pralni? Albo nie zawieszać nic albo rozwieść się i ożenić powtórnie, żeby iść do sklepu z talonem na zakup „MM". Innego sposobu nie ma.

Ja rozumiem, że trzeba młodym pomagać w ich życiowym starcie. Trzeba im zapewnić mieszkanie i ułatwić elementarne urządzenie się w tym mieszkaniu. Elementarne urządzenie to doprawdy niewiele rzeczy niezbędnych, prostych, standardowych, masowej produkcji. Wszystko co ponad to powinno być zdobywane później, tak jak biegacz zdobywa punkty po starcie, a nie za to, że startuje.

Napisano już o tym wiele i bez skutku. Używano już słów „demagogia" i „kupowanie sobie młodych" przez władzę — i nikt nie zareagował. Pisano o wielkich pieniądzach, jakie młodzi małżonkowie zarabiają na maksymalnym wykorzystaniu swych kredytów „MM" i natychmiastowym wyprzedaniu zakupionych w ten sposób rzeczy po cenach pięciokrotnie wyższych. Nikt tego nie nazwał spekulacją. Ten felieton też będzie na pewno jeszcze jednym rzuceniem grochem o ścianę.

Dlaczego tylko młodzi małżonkowie mają prawo kupić dywan, pralkę automatyczną, telewizor i luksusowy komplet mebli? Czy to jest **elementarne**, startowe urządzenie pierwszego w życiu własnego gniazdka? Dlaczego tylko dla nich przeznaczone są wykładziny podłogowe, odkurzacze, firanki, pościel, ręczniki, magnetofony, elektryczne rożna i maszynki do mięsa? Powiązanie zakupu tych rzeczy z zawarciem małżeństwa jest niewątpliwie motywacją w kierunku zawarcia małżeństwa, ale czy nie jest drastycznym ograniczeniem motywacji do stałej, solidnej pracy, gospodarności, oszczędności na całe późniejsze życie? Czego ma się później „dorabiać" młody człowiek — już tylko samochodu i daczy?

A jednocześnie co mają zrobić, ba — co mają mówić ludzie, którzy przez wiele lat pracy i życia w skromnych warunkach nareszcie mogliby sobie pozwolić na wielki luksus zakupu na przykład dywanu, czego im zrobić nie wolno? Albo zamienić wreszcie starą, wysłużoną „Franię" na pralkę automatyczną, jakże oszczędzającą sterane życiem siły — i też nie wolno? Jakaż tu sprawiedliwość, jakie powiązanie wysiłków i zasług z efektem?

Czytam w drobnych ogłoszeniach: „sprzedam nowy telewizor". „Sprzedam dywan 3 x 4". „Sprzedam nową pralkę automatyczną". Czytam i wiem, że to młodzi małżonkowie przehandlowują przyznane im kredyty i że korzystając z takiej oferty zapłacę niemałą karę za dożycie wieku więcej niż dojrzałego i za to, żem się ożenił już dawno. Nie, nie skorzystam, nie stać mnie. Rzucę tylko ten groch o ścianę, nic więcej zrobić nie mogę.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4 Sport

Nie było cudu

Nie było cudu ani w Gdańsku, ani w Bilbao, ani w Boras, ani w Berlinie. Było to, czego można się było spodziewać po wkładzie pracy, umiejętnościach i przygotowaniach. Proszę nie posądzać mnie o złośliwość, ale największym sukcesem gdańskiej Lechii jest to, że odremontowano trybuny, podniesiono jakość zaplecza. My przecież nadal nisko kłaniamy się przed ludźmi z zagranicy, przed cudzoziemcami. Nasi piłkarze mogą grać w gorszych warunkach, przed i dla cudzoziemców musi być wysoki połysk. Bo, co by sobie o nas pomyśleli? Poza tym piłkarze gdańskiej Lechii uzyskali w Gdańsku wcale niezły wynik w meczu z turyńskim Juventusem — 3 do 2, biorąc oczywiście pod uwagę różnicę poziomu gry.

„Express Ilustrowany" cytując „speców z krajów Europy zachodniej", „nie tylko dziennikarzy" napisał, że poznański Lech „zblamował się". Mając dwa gole przewagi nie potrafił tak zagrać, aby wyeliminować piłkarzy Athletica Bilbao. Można i tak. Athletic to doświadczona drużyna. Lech nie ma jeszcze takich doświadczeń, ale to przecież niezła drużyna, skutecznie walcząca o przewodnictwo w I lidze. Być może trochę im zaszumiało w głowach po zwycięstwie nad piłkarzami z Bilbao w poznańskim meczu. Przecenili własne siły. Zresztą i przed meczem w Bilbao, w ligowym spotkaniu, nie grali najlepiej. To powinien być sygnał ostrzegawczy, przynajmniej dla Wojciecha Łazarka. Usiłowano jednak tłumaczyć poznańskich kolejarzy z Lecha, że oszczędzają siły do decydującego pojedynku. Nie oszczędzili.

Na placu boju — jak to się ładnie mówi — pozostał tylko Widzew. Powinno to cieszyć, ale we mnie wcale nie ma optymizmu. W cytowanym już „Expressie Ilustrowanym" ktoś anonimowy pisze o „widzewskim fenomenie", że to niby drużyna z charakterem, że nie pozwoliłaby sobie na taki blamaż, na jaki pozwolili poznaniacy. Kazimierz Górski lubił powtarzać, że tak się w piłkę gra, jak przeciwnik pozwala. A Kazimierz Górski zna się dobrze na piłce nożnej i można mu wierzyć. Widzew okazał się drużyną dobrze przygotowaną, choć przecież odmłodzoną, mającą jeszcze braki. Więc chyba nie fenomen tu decydował, a przygotowanie i wola walki ludzi, ich umiejętności.

Szwedzi byli — jak twierdzą specjaliści — nie najmocniejszym przeciwnikiem, ale za to twardym i trudnym. Widzewiacy poradzili sobie z nim tylko remisami, nie zapominajmy o tym. Pod koniec meczu bronili wyniku w dziesiątkę w czasie o 5 minut dłuższym od regulaminowego. Teraz będą musieli spotkać się i stoczyć zaciętą walkę z bardzo trudnym i równie twardym przeciwnikiem, ze Spartą Praha. W europejskich pucharach mało jest łatwych przeciwników, a i ci potrafią robić niespodzianki. Nie liczymy więc na żaden „widzewski fenomen", na cud na boisku, tylko na rzetelne przygotowanie, dobre techniczne umiejętności, znakomitą kondycję. Bez tego daleko nie ujedzie żaden fenomen.

Na wstępie wspomniałam również o Berlinie. Czytelnik domyślił się, że chodzi mi o siatkarzy, którzy zdobyli wicemistrzostwo Europy. Nie udało się im pokonać drużyny radzieckiej. A więc i tu cudu nie było. Nie omylę się, jeśli napiszę, że Hubert Wagner na cud nie liczył. On wie, że o zwycięstwie decyduje tylko dobre przygotowanie, praca, praca, techniczne umiejętności, szybkość, kondycja, refleks. I takie cechy stara się wyrabiać i umacniać u swoich zawodników. Nie darmo niegdyś nazwano go „katem". Czy słusznie, to już inna sprawa. Polscy siatkarze wrócili z Berlina jako wicemistrzowie Europy i zakwalifikowali się na Olimpiadę w Los Angeles. Na drużynę Związku Radzieckiego nie starczyło jeszcze sił i umiejętności.

Chwała więc Hubertowi Wagnerowi, ale przy okazji Zdzisław Ambroziak napisał w „Sportowcu", nie bez uszczypliwości, że „jak zwykle w takich przypadkach wśród nieustannego hałasu wokół Wagnera zespół pozostaje w cieniu". I skomentował to następująco: „Jest to tyleż zrozumiałe, co niesprawiedliwe...". Otóż wydaje mi się, że jest tu problem zależności między tym, który przygotowuje i kieruje, a tymi, którzy wytyczone zadania realizują. Jest to też problem indywidualności. Nie odkryję żadnej tajemnicy, jeśli napiszę, że genialny trener zrobi niezły zespół nawet z przeciętniaków, choć może medali z nimi nie zdobędzie. Ale przeciętniak, rutyniarz i „remiecha" utopi w bagnie przeciętności nawet orłów. Nie przesadzajmy więc z tym hałasem i oddajmy to, co wagnerowskie Wagnerowi, a to co zespołowe zespołowi.

Hubert Wagner dotrzymuje słowa. Zespół wrócił z medalem i awansem do Los Angeles. Teraz trzeba wziąć się do roboty, aby medal zdobyty w Los Angeles był innego koloru. Cudu nie należy raczej oczekiwać. Pewnie, że pisanie o tym, że polscy siatkarze w pocie czoła i nie tylko czoła przygotowują się do dalszych zwycięstw, bo nic innego Huberta Wagnera nie interesuje, jest efektowne. Można też udawać, że wszystko zależy od fenomenu i cudownej natury sportowców. A to jest po prostu nieprawda. Niestety!

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karoleszak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (z-ca sekretarza redakcji), **Tomasz Sas** (z-ca redaktora naczelnego), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol I Stryjski, Janusz Szymański, Liliane** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Stale współpracują **Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Pauasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652 44, sekretarz redakcji 880 99. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedziby Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratorów. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00—958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-138-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty: na kwartał I półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa Książka —Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90—103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762.

Zam. 2604. L-5.

Miłość, namiętność i reszta

Jakub Łaski

Śmierć na Wojtkowej Drodze

Wesele zapowiadało się huczne i wystawne. Cała wieś, ciągnąca się wzdłuż torów kolejowych i podchodząca ostatnimi chałupami pod las, o niczym nie mówiła jak o tym niezwykłym mariażu. Przecież nie zawsze się zdarza, by syn bogatych gospodarzy, jedyny dziedzic dziesięciu hektarów, murowanych zabudowań, traktora, siewnika, roztrząsacza itp. sprzętu, do tego kilku krów i czwórki koni, żenił się z córką zwyczajnego dróżnika kolejowego, co to oprócz służbowego munduru nie ma co na grzbiet wciągnąć. Prawda, że Kryśka, córka owego dróżnika mogłaby występować w filmie, ale czy uroda potrzebna jest przy oprzątaniu świń i dojeniu krów? A jak zdążono się we wsi przekonać, panna do roboty jakoś się nie garnęła, raczej odpowiadały jej potańcówki i zabawy, i szlajanie się po nocach z przystojniakami z odległej o niecałe pięć kilometrów stacji rozrządowej. I nagle taka sensacja! Walek żeni się z Kryśką!

Zachodzili ludziska w głowę, kalkulowali i tak i siak, zastanawiali się. Przed sklepem geesu baby młóciły jęzorami aż dymiło i nijak nie można było pojąć, co strzeliło Walkowi do łba, żeby wiązać się z tym wycieruchem, co to wymierzyła plecami wszystkie okoliczne miedze i tarzała się na wszystkich wyrach w hotelu PKP. Ładna, to prawda, jak by chciała to nie ma chłopa, co by dla niej głowy nie stracił, jeno ten Walek — tak przynajmniej mówią ludziska — do tych spraw nie skory, zawsze trzymający się na uboczu, zawsze z dala od innych, nigdy nie widziano go z żadną dziewuchą...

Kiedy młodzi wsiedli do bryczki, kiedy za nimi uformował się cały orszak, można by rzec kawalkada bryczek przystrojonych w kwiaty, z papierowymi pióropuszami w końskich grzywach, kiedy podpici drużbowie puszczali oczka do Kryśki, szepcząc, by o nich pamiętała — było w otaczającej atmosferze, w gorącym powietrzu coś przytłaczającego, niedopowiedzianego, nie do końca wyjaśnionego. I w radości zaproszonych biesiadników, w śmiechach druhen, w okrzykach chłopaków siedzących na kozłach czuło się nieszczerość, skrywane zażenowanie, sztuczność.

W kościele ksiądz długo celebrował uroczystość i z troską wypowiadał formułkę o wierności, posłuszeństwie i o tym, że małżonkowie odtąd nie opuszczą siebie nawzajem aż do śmierci. Mówił i jakby jednocześnie wątpił we własne słowa.

Wesele odbyło się w obejściu rodziców Walka i było jak należy wystawne, głośne, pijane i długie. Przez trzy dni i dwie noce dwie orkiestry przygrywały tańczącym. Dla uświetnienia zaślubin oddały życie wieprzek, cielę, osiem gęsi i aż dwadzieścia kur. Najlepsi bimbrownicy z całej okolicy prezentowali swoje wyroby. Nikt, kto przekroczył obejście, nie opuścił go trzeźwym.

Walek trzymał się dzielnie: przez cały czas albo siedział za stołem, albo tańczył z młodą żoną, albo wpadał do obór, by nakarmić konie i bydło. Natomiast Krysia była w swoim żywiole. Tańczyła do upadłego, gdzieś znikała na długie godziny, pojawiała się, piła i tańczyła. Nie znać było na niej nieprzespanych nocy, trudów mijających dni, wyczerpania. Raz czy dwa podchodziła do Walka, głaskała go po twarzy, pozwalała się całować, a potem gdzieś przepadała, biegła z druhnami na pola, czegoś szukała w lesie...

Ojciec Walka siedział obok ojca Krysi i żując chleb, mówił:

— *Byleby nie zmarnowała gospodarstwa, ot, co. Dopóki żyję, nie popuszczę, potem niech sami dają sobie radę. Widzi mi się jednak, że twoja córka do roboty ma za delikatne rączki...*

— *Nie znasz jej* — wodził przekrwionymi oczami dróżnik kolejowy. — *Wdała się w swoją nieboszczkę matkę. Co to była za kobieta!*

— *Właśnie, jaka była?*

Dróżnik kolejowy usiłował coś wygrzebać ze zmąconej pamięci, marszczył czoło, zaciskał usta.

— *Suka była, ot co* — odpowiedział po namyśle. — *Przez nią zmarnowałem życie. I nie ja jeden* — dodał i nagle zapłakał zupełnie jak baba, zanosząc się i cichutko kwiląc.

— *Boję się o Walka, może sobie z nią nie poradzić.*

— *Nie poradzi* — zgodził się poprzez łzy dróżnik kolejowy. — *Kryśka zasmakowała w chłopach, a Walek, sam wiesz...*

— *Będzie gospodynią, najbogatszą we wsi, czy to nie wystarczy?*

— *Jej nie wystarczy. Ma gorącą krew i bez chłopa nie strzyma, to pewne. Mówiłem Walkowi, żeby pomyślał przed żeniaczką, żeby się zastanowił, ale on jak by ogłuchł. Nic tylko jedno: nie mogę bez niej. Teraz będzie miał za swoje.*

Istotnie było to chyba najbardziej niedobrane małżeństwo na świecie. Ona — nie mogąca sobie poradzić z potrzebami młodego ciała, on — kaleka niemal od urodzenia, nie będący w stanie zaspokoić wobec niej małżeńskich powinności. Kiedy miał pięć lat przewrócił na siebie kocioł z gotującymi się ziemniakami. Zanim przyprowadzono z pola konia, zanim przywieziono dziecko do miasteczka — na jakikolwiek ratunek było za późno. Walek przestał być mężczyzną. Fakt ten zdeterminował jego dalsze życie: odsunął się od kolegów, prawie nie opuszczał podwórza, poświęcił się hodowli. Kiedy miał piętnaście lat, stracił matkę. Szła torami i nie słyszała nadjeżdżającego pociągu. Kiedy miał lat dwadzieścia, ojca po raz pierwszy zabrano do szpitala na wylew krwi do mózgu. A kiedy miał lat dwadzieścia dwa spotkał Krystynę.

Po weselu życie młodych ciągle było tematem plotek i rozmów. Kryśkę widywano na stacji rozrządowej, spotykano ją w pociągach, w lesie, na miedzach. Zawsze w towarzystwie mężczyzn, a właściwie jednego wysokiego wąsala w kolejarskim mundurze. Walek jak dawniej zajmował się gospodarstwem i po powrocie z pola nieraz do rana czekał na powrót swojej pięknej żony.

A na początku sierpnia staremu ponownie krew zalała mózg i w dwa dni później było po wszystkim.

Teraz Walek był właścicielem ogromnego majątku, bowiem okazało się, że ojciec przed śmiercią dokupił całą połać lasu i z dziesięciu hektarów zrobiło się aż szesnaście. Las to zawsze las: zachodu przy nim niewiele, ale z roku na rok jego cena idzie w górę. Jest to kapitał procentujący bezustannie, kapitał trwały i nienaruszalny.

Ale ludzie we wsi nadal gadali. Byli tacy, co widzieli wąsatego kolejarza wychodzącego ze stodoły Walka, inni przysięgali, że Kryśka wpuszcza go do domu, że Walek musi im jeszcze usługiwać. Mówiono, że ten kolejarz jest kimś ważnym na stacji rozrządowej, że mieszka w wojewódzkim mieście i już od dawna mają się z Kryśką ku sobie, a Walek jest tylko parawanem. Zobaczycie — mówiono — Kryśka wywinie taki numer, że ziemia się zatrzęsie. Już ona znajdzie sposób na Walka.

Nadeszła jesień, chwyciły pierwsze przymrozki. Jednak w ciągu dnia grzało słońce i w lesie zbierano ostatnie grzyby, a dzieci i staruszkowie chodzili po suche gałęzie, które zimą będą na podpałkę. Las był dość duży, ciągnął się dziesiątki kilometrów po obu stronach torów kolejowych i tylko w jednym miejscu jakby się cofał pozostawiając pustą przestrzeń. Na tej przestrzeni właśnie usadowiła się omawiana przez nas wioska.

Babka Stasiakowa tego dnia zbierała chrust. Mając dziewięćdziesiąt lat mogła z łatwością dźwignąć sporą wiązkę, a jej oczy dostrzegały wśród ściółki najmniejszy grzybek. Babka Stasiakowa szła sobie Wojtkową Drogą przecinającą las z południa na północ i wypatrywała leżących na ziemi gałęzi. Nagle dostrzegła stojącego pod drzewem człowieka. Mając tyle lat nie sposób obawiać się napadu i babka Stasiakowa nie zwolniła kroku. Z bliska poznała Walka. Czego to tak stoi? — pomyślała. — Pewniek zasadził się na żonę, na tę ladaco, co to nie ma wstydu ani ambicji.

Podeszła bliżej i miała nawet zapytać Walka czy to prawda z tą jego żoną, kiedy spostrzegła, że Walek tylko udaje, że stoi, on zwyczajnie wisi.

Reszta historii jest banalna i nieciekawa. Kiedy babka Stasiakowa dotarła do wsi i podniosła larum, już się ściemniało. Zaraz ktoś wsiadł na rower i pognał do telefonu. Wkrótce zjawiła się milicja i to aż dwoma samochodami. W obejściu Walka ryczały głodne i nie wydojone krowy. Kryśki nigdzie nie było. Zjawiła się dopiero nad ranem i dowiedziawszy się, że mąż nie żyje, szeroko ziewnęła i zapytała, czy może iść spać.

— *Jaki tam mąż,* — zezłościła się — *chłop z pustymi portkami to żaden mąż.*

Niestety, tę noc i następne sypiała w areszcie, choć do dziś zagadkowa śmierć Walka nie została całkowicie wyjaśniona.

Bezbrzeżna samotność

Andrzej A. wrócił do akademika późną nocą i nie budząc pozostałych lokatorów pokoju 202, poszedł spać. Był studentem trzeciego roku stomatologii, zaś trzej śpiący obok koledzy dopiero rozpoczęli zmagania z nauką na pierwszym roku wydziału lekarskiego.

Rano trójka z lekarskiego w pośpiechu zapakowała notatniki i książki, i popędziła na wykłady. Andrzej A. spał w najlepsze. Wieczorem, po powrocie z zajęć i ćwiczeń, trzej lekarze in spe, skonstatowali, że ich starszy kolega jeszcze śpi.

— *Ale ma labę* — z zazdrością odezwał się Stefan. — *Dałbym nie wiem co, żeby tak się wybyczyć.*

— *Nie żałuj* — wtrącił się Bohdan. — *Miał dwa zaliczenia i teraz odbija.*

— *A może zwyczajnie jest złajdaczony?* — zastanawiał się trzeci, Mirek. — *Teraz regeneruje siły.*

— *Tacy chyba się nie przemęczają* — zwątpił w słowa Mirka Stefan. — *Nawet nie wyobrażam sobie, jak wygląda miłość w wydaniu pederastów.*

— *Ponoć jest piękna i intensywna.* — Bohdan starał się mówić głosem egzaltowanym i kokieteryjnym, jak to czynił ich śpiący współlokator Andrzej A.

— *Też wymyślił!* — Stefan z pogardą wzruszył ramionami. — *Kopanie w gównie nazywasz pięknem? A może ty także jesteś jednym z nich?*

— *Głupiś, przecież gdyby tak było, Andrzej od razu by to dostrzegł. Zresztą powiedział, pamiętacie, że żaden z nas nie jest w jego guście. Zaraz, zaraz, on to jakoś tak określił...*

— *Powiedział mniej więcej tak: chłopcy, bardzo was szanuję, ale w swojej urodzie jesteście wprost wulgarni.*

— *Jego szczęście, że się do żadnego z nas nie dobierał* — Stefan pokazał zaciśnięte pięści, podobne do mniejszych bochenków chleba. — *Już bym go ostudził jak należy...*

Później zabrali się za naukę, wieczorem zeszli na kolację, a jeszcze później przyprowadzili trzy koleżanki z ekonomii i, nie zapalając światła, dali upust gruczołom przemiany hormonalnej.

Andrzej A. ciągle spał.

Nazajutrz o świcie popędzili na kolejne wykłady i ćwiczenia, wrócili zmęczeni, głodni i zdenerwowani apelem ZSP, który nawoływał, by w nadchodzącą niedzielę wziąć udział w porządkowaniu jednego z terenów przyszpitalnych.

Andrzej nadal leżał na łóżku z twarzą odwróconą do ściany.

— *Obudź go* — powiedział Stefan do Mirka. — *Prześpi życie.*

Mirek dotknął ramienia śpiącego. Andrzej nawet nie drgnął.

— *Kochanie* — powiedział Mirek pieszczotliwie. — *Przyszli chłopaczkowie.*

— *Mocniej!* — poradził Bohdan. — *Nie cackaj się z tym pedałem.*

— *Wstawaj najdroższy!* — klepnął śpiącego po twarzy Mirek. — *Zaprezentujemy naszym przyjaciołom pozy plastyczne.*

I tym razem bez skutku.

Zdenerwowany Stefan podszedł do łóżka i schwyciwszy Andrzeja A. za podkoszulkę, ściągnął go na podłogę. Ciało głucho stuknęło o parkiet, głowa przechyliła się bezwładnie, jakby nie należała do reszty tułowia.

— *Co z tobą?* — zapytał niespokojnie Stefan i nagle pojął, że Andrzej się nie obudzi, że dzieje się z nim coś niedobrego, że ten sen być może jest równy śmierci.

Pogotowie przyjechało dość szybko. Lekarz pośpiesznie zapytał o kilka szczegółów i Andrzej A. odjechał kartką na sygnale.

Historia banalna i nie ma w niej niczego sensacyjnego: jakże często ludzie zapadają w śpiączki, letargi, długie omdlenia. To się zdarza. Ale w tym przypadku sprawa była bardziej skomplikowana, choć tak ludzka i godna współczucia.

Andrzej A. poznał w jednym z klubów młodzieżowych Krzysztofa Z., młodzieńca pięknego niczym cherubin, który zamiast oczu miał dwa błękitne jeziora, w których odbijało się słońce i światło lampionów. Od razu też zdał sobie sprawę z faktu, że Krzysztof jest jego przeznaczeniem, że jest tym, którego szukał przez całe swoje nieudane życie. Także Krzysztof przejawiał chęć przebywania w towarzystwie Andrzeja, a nawet, kiedy się żegnali, pozwolił się pocałować.

Od tego momentu Andrzej A. żył w świecie nierzeczywistym, pełnym wzniosłych uczuć, kolorów, muzyki i pięknych słów. Z zaoszczędzonych pieniędzy kupował Krzysztofowi drogie pończochy nie różniące się od mgły, jedwabną delikatną bieliznę, perfumy. Ich spotkania stawały się coraz bardziej intymne, przynosiły radość i dawały poczucie własnej wartości. Andrzej A. przeżywał swoją prawdziwą, pierwszą miłość.

Niestety, życie bywa czasem bez powodu okrutne, potrafi zmącić największe szczęście, zranić najszlachetniejsze serca. Otóż Krzysztof Z. był żonaty! Andrzej A. dowiedział się o tym dość późno, by móc się wycofać. Obaj kochankowie bolели nad tym faktem, wiele godzin spędzili, wylewając łzy i przeklinając niesprawiedliwy i bezwzględny świat, który niszczy piękne i szlachetne uczucia. Okazało się bowiem, że nie mają się gdzie spotykać, gdyż w domu u Krzysztofa przebywa niepracująca żona, a do akademika, nie ma po co chodzić, gdyż Stefan postawił sprawę jednoznacznie: — *jeśli pokaże się kiedykolwiek ten wymuskany pedał, zrobię z jego mordy tatara, i to bez cebulki i jajeczka!*

Zdesperowany Krzysztof przeprowadził rozmowę z małżonką. Pani Z. początkowo zareagowała tak jak Stefan z akademika, w końcu postawiła warunek, na który Krzysztof, acz niechętnie, ale musiał się zgodzić. W taki oto sposób Andrzej A. trafił do mieszkania państwa Z.

Ów warunek był dość prosty: możesz sprowadzać sobie kogo ci się podoba, ale ja chcę z tego także coś mieć. Więc najpierw gość pobawi się ze mną — gdyż jak dotąd nie wiem co to mąż — a potem róbcie co wam się żywnie spodoba. Andrzej, nie mając wyjścia, warunek przyjął, bo kochał Krzysztofa ponad życie.

Już po powrocie ze szpitala, kiedy przechodził rekonwalescencję, Andrzej A. tak opowiadał o tym, co się wydarzyło owego wieczoru, po którym życie straciło dlań wszelki sens, i kiedy to łyknął fiolkę luminalu.

Początkowo nic nie wskazywało na tragedię. Pili, palili, rozmawiali. Pani Z. była pełna humoru i gracji. W końcu nadszedł czas próby dla Andrzeja A. Pani Z. zrzuciła z siebie suknię, pomogła rozebrać się Andrzejowi A. (przy pomocy Krzysztofa) i padła na puchowy dywan. Niestety jej pieszczoty nie potrafiły obudzić w Andrzeju A. mężczyzny. Wówczas rozebrał się także Krzysztof Z. Andrzej A. widząc ciało kochanka poczuł podniecenie. Pani Z. klasnęła z radości w dłonie i przyciągnęła go do siebie.

— *To było najtragiczniejsze tamtego wieczoru* — mówił Andrzej A. — *Czyniłem coś, co było dla mnie wstrętne i upodlające. Przerażała mnie świadomość, że Krzyś jest obok, wszystko widzi i cierpi. A on rzeczywiście przeżywał zadawany mi gwałt w sposób rozpaczliwy, a zarazem szlachetny.*

Kiedy pani Z. poszła się umyć, objęliśmy się z Krzysiem i trwaliśmy długo w bezruchu, przeżywając wciąż na nowo naszą wspólną klęskę. Nawet nie mogliśmy się tamtego wieczora kochać, gdyż jego żona chciała się bawić i pić. A potem musiałem powtarzać jeszcze kilkakrotnie z nią miłość, czym ostatecznie zabiłem Krzysia. Łkał cichutko zwinięty w kłębek na tapczanie, gdy jego żona tarzała się po dywanie wydając rozdzierające krzyki.

— *Nie wiem kiedy i jak znalazłem się na ulicy: pamiętam, że padał śnieg, mokry i lepiący się do twarzy, pod butami chlupotało. Szedłem przez nocne miasto i pragnąłem śmierci. Nie chciałem was budzić, choć pragnąłem przed kimkolwiek wyrzucić z siebie nagromadzony żal i moją bezbrzeżną samotność. Przypomniałem sobie nagle, iż mam luminal. Połknąłem wszystkie tabletki, popiłem wodą i położyłem się z nadzieją, że więcej się nie obudzę. Tym bardziej, że po wyjściu od Krzysia stwierdziłem, że pani Z. zabrała mi zegarek. A tego już zupełnie nie rozumiem...*

Na tym się kończy opowieść o nieszczęśliwej miłości Andrzeja A. Jako post scriptum można jedynie dodać, że ukończył studia, jest dobrym stomatologiem i co jakiś czas przeżywa burzliwe miłości. Ostatnia dotyczy młodego aktora, którego Andrzej A. utrzymuje, i który sprawia mu sporo kłopotów. Ale teraz nie wchodzą w grę żadne środki nasenne.